



Nie boję się

Niccolò Ammaniti

Nie boję się

Niccolò Ammaniti

przełożyła Dorota Duszyńska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

*Książkę tę dedykuję mojej siostrze Luizie,
która jeździła za mną na dziecięcym rowerku,
ze srebrną gwiazdką przypiętą do kurtki*

*Dziękuję Chiarze Belliti za pomoc,
której mi udzieliła, i za serce okazane tej książce.*

*To jedno wiedział. Że zapadł się w ciemność.
I w tej samej chwili gdy zrozumiał, przestał rozumieć.*

Jack London

Właśnie miałem wyprzedzić Salvatora, kiedy usłyszałem krzyk mojej siostry. Odwróciłem się i zobaczyłem ją, jak znika, pochłonięta przez pszenicę, która pokrywała wzgórze.

Nie powinienem ciągnąć jej za sobą, mama da mi popalić.

Zatrzymałem się. Byłem spocony. Nabrałem powietrza i zawołałem ją. – Maria? Maria?

Odpowiedział mi cierpiący głosik. – Michele!

– Coś sobie zrobiłaś?

– Tak, chodź tutaj.

– Co cię boli?

– Noga.

Udaje, jest zmęczona. Idę dalej, pomyślałem. A jeżeli naprawdę coś się jej stało?

Gdzie są inni?

Widziałem ich ślady w pszenicy. Wspinali się powoli, w rzędach równoległych jak palce u dłoni, ku szczytowi wzgórza, pozostawiając za sobą ogony połamanych źdźbeł.

Tamtego roku pszenica była wysoka. Pod koniec wiosny mocno padało i w połowie czerwca zboża były bardziej wybujałe niż zazwyczaj. Wyrosły gęste, ciężkie od kłosów, gotowe do żniw. Wszystko było zarośnięte pszenicą. Niskie wzgórza biegły jedno za drugim niczym fale złotego oceanu. Po sam horyzont nic tylko pszenica, niebo, świerszcze, słońce i upał.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo było gorąco, w wieku dziewięciu lat nie ma się wielkiego pojęcia o stopniach Celsjusza, ale wiedziałem, że to nie jest normalne.

To przekłete lato 1978 roku zapisało się w pamięci jako jedno z najgorętszych w całym stuleciu. Upał przenikał kamienie, kruszył ziemię, wypalał rośliny i zabijał zwierzęta, rozżarzał domy. Kiedy zrywałeś w ogrodzie pomidory, nie miały soku, a cukinie były drobne i twarde. Słońce odbierało ci oddech, siły, ochotę na zabawę, na cokolwiek. A nocą też można było wyzionąć ducha.

W Skośnej Wodzie dorośli nie wychodzili z domów przed szóstą po południu. Zamykali się wewnątrz, za opuszczonymi roletami. Tylko my mieliśmy odwagę włóczyć się wśród rozpalonych, opustoszałych pól.

Moja siostra Maria miała pięć lat i łąziła za mną z uporem kundelka zabranego ze schroniska.

Chcę robić to co ty, powtarzała ciągle. Mama przyznawała jej rację. Jesteś, czy nie, starszym bratem? I nie było dyskusji, musiałem brać ją ze sobą.

Nikt się nie zatrzymał, żeby jej pomóc. Normalne, to był wyścig.

– Prosto do góry, na szczyt. Żadnych zakrętów. Nie wolno biec jeden za drugim. Nie wolno się zatrzymywać. Ostatni dostanie karę – ogłosił Czacha i udzielił mi łaski: – No dobra, twoja siostra się nie ściga. Jest za mała.

– Nie jestem za mała! – zaprotestowała Maria. – Ja też chcę się ścigać! – No i potem się przewróciła.

Szkoda, byłem trzeci.

Pierwszy był Antonio. Jak zwykle.

Antonio Natale, zwany Czachą. Dlaczego mówiliśmy na niego Czacha, nie pamiętam. Chyba dlatego, że kiedyś nakleił sobie na ramieniu trupią główkę, taką kalkomanię z tych, które kupowało się w kiosku i przyklejało wodą. Czacha był najstarszy z całej bandy. Dwanaście lat. I

był szefem. Lubił rządzić i jeżeli nie słuchałeś, wpadał w złość. Nie był z niego żaden orzeł, ale był duży, silny i odważny. I pruł pod górę, do szczytu, jak jakiś cholerny buldożer.

Drugi był Salvatore.

Salvatore Scardaccione miał dziewięć lat, tyle co ja. Chodziliśmy do jednej klasy. Był moim najlepszym kumplem. Salvatore był wyższy ode mnie. Typ samotnika. Czasami przyłączał się do nas, ale częściej chodził własnymi drogami. Był bystrzejszy od Czachy, bez trudu mógłby go zdetronizować, ale nie miał ochoty zostać szefem. Jego ojciec, adwokat Emiliano Scardaccione, był ważną postacią w Rzymie. I miał kupę forsy w Szwajcarii. Tak mówiono.

Potem byłem ja, Michele. Michele Amitrano. I tym razem też byłem trzeci, biegłem dobrze, ale zatrzymałem się przez moją siostrę.

Rozważałem właśnie, czy zawrócić, czy ją tam zostawić, kiedy spadłem na czwartą pozycję. Wyprzedził mnie ten łamaga Remo Marziano, biegnący po drugiej stronie stoku. I jeżeli nie mszę natychmiast w drogę, nawet Barbara Mura zostawi mnie w tyle.

To byłoby straszne. Wyprzedzony przez dziewczynę. Grubaskę.

Barbara Mura wspinała się na czworakach i wyglądała jak rozwścieczona maciora. Cała spocona i upačkana ziemią.

– No i co, nie idziesz do siostrzyczki? Nie słyszałeś jej? Coś sobie zrobiła, biedaczka – zachrumkała uszczęśliwiona. Przynajmniej raz nie na nią wypadnie kara.

– Idę, idę... I tak cię wyprzedzę. – Nie mogłem dać tak łatwo za wygraną.

Odwrociłem się i mszyłem w dół, wymachując rękami i krzycząc jak Siuks. Skórzane sandały ślizgały się na pszenicy. Parę razy wylądowałem tyłkiem na ziemi.

Nie widziałem jej. – Maria! Maria! Gdzie jesteś?

– Michele...

To ona. Jest tam. Mała i nieszczęśliwa. Siedziała w kręgu połamanego zboża. Jedną dłonią masowała sobie kostkę, a w drugiej trzymała okulary. Włosy miała przyklejone do czoła, a oczy błyszczące. Na mój widok wykrzywiła buzię i nadeła się jak indor.

– Michele...?

– Maria, przez ciebie przegrałem wyścig! Mówiłem ci, żebyś z nami nie szła, cholera z tobą. – Usiadłem. – Co ci się stało?

– Potknęłam się. Boli mnie noga i... – Rozdziawiła usta, zacisnęła oczy, pokręciła opuszczoną głową i wybuchnęła płaczem. – Okulary! Okulary się połamały!

Miałem ochotę palnąć ją w ucho. Już trzeci raz rozbiła okulary, od kiedy skończyła się szkoła. I za każdym razem do kogo mama miała pretensje?

Musisz uważać na siostrę, jesteś starszym bratem.

Mamo, ja...

Żadne mamó ja. Może jeszcze tego nie rozumiesz, ale ja nie zbieram pieniędzy w ogródku. Następnym razem kiedy rozbijecie okulary, oberwiesz tak, że...

Pękły pośrodku, w miejscu gdzie były już kiedyś klejone. Nadawały się do wyrzucenia.

Siostra tymczasem popłakiwała.

– Mama... Będzie się gniewać... Co zrobimy?

– A co mamy zrobić? Skleimy taśmą. Wstawaj, no już.

– Z taśmą są brzydkie. Okropne. Nie podobają mi się.

Schowałem okulary do kieszeni. Bez nich Maria słabo widziała, miała jakieś zwichrowane oczy i lekarz powiedział, że trzeba jej będzie zrobić operację, zanim dorośnie.

– Nic nie szkodzi. Wstawaj.

Przestała płakać i zaczęła pociągać nosem. – Boli mnie noga.

– Gdzie? – Ciągłe myślałem o tamtych, musieli już dotrzeć na szczyt z godzinę temu. Byłem ostatni. Miałem tylko nadzieję, że Czacha nie wyznaczy mi zbyt ciężkiej kary. Raz, kiedy przegrałem wyścig, kazał mi biegać w pokrzywach.

– Gdzie cię boli?

– Tutaj. – Wskazała na kostkę.

– Skręciłaś sobie. To nic. Zaraz przejdzie. – Rozsznurowałem jej tenisówkę i bardzo ostrożnie zsunąłem. Tak jakby to zrobił doktor. – Teraz lepiej?

– Trochę. Wracamy do domu? Tak mi się chce pić, że zaraz umrę. I mama...

Miała rację. Za bardzo się oddaliliśmy. I za długo byliśmy poza domem. Pora obiadu dawno minęła i mama pewnie już wypatrywała nas przez okno.

Źle się zapowiadał powrót do domu.

Ale kto by się tego spodziewał parę godzin wcześniej.

Tego ranka zabraliśmy rowery.

Zazwyczaj robiliśmy małe kółka wokół domów, dojeżdżaliśmy na skraj pól, do wyschniętego potoku i wracaliśmy urządzając sobie wyścigi.

Mój rower był kupą złomu, z połatanym siodłem, i tak wysoki, że musiałem niemal go położyć, aby dosięgnąć z niego ziemi.

Wszyscy mówili na niego Gruchot. Salvatore twierdził, że to rower dla strzelców alpejskich. Ale ja go lubiłem, należał wcześniej do mojego ojca.

Kiedy nie jeździliśmy na rowerach, spędzaliśmy czas na drodze, grając w piłkę, ścigając się, bawiąc w raz-dwa-trzy Baba-Jaga patrzy, albo też pod wiatą stodoły, nie robiąc nic.

Mogliśmy robić wszystko, na co mieliśmy ochotę. Samochody tamtędy nie jeździły. Nie było niebezpieczeństw. A dorośli siedzieli zaszyci w domach, jak ropuchy, które czekają, aż skończy się upał.

Tego ranka zaczęliśmy rozprawiać o świniach Melichettiego.

Często rozmawialiśmy między sobą o świniach Melichettiego. Mówiło się, że stary Melichetti tresował je w rozszarpywaniu kur, a czasami nawet królików i kotów, które łapał na drodze.

Czacha splunął strugą białej śliny. – Dotąd wam o tym nie mówiłem. Bo nie mogłem powiedzieć. Ale teraz wam powiem: te świny zeżarły jamnika córki Melichettiego.

Podniósł się gromadny sprzeciw. – Nie, to nieprawda!

– Prawda. Przysięgam na serce Madonny. Żywego. Całkiem żywego.

– Niemożliwe!

Cóż to musiały być za bestie, żeby pożreć nawet rasowego psa?

Czacha kiwał potakująco głową. – Melichetti wrzucił im go do zagrody. Jamnik próbował uciekać, to był sprytny zwierzak, ale świny Melichettiego są sprytniejsze. Nie dały mu szansy. Zmasakrowany w dwie sekundy. – Po czym dodał: – Gorzej niż dziki.

– A czemu im go rzucił? – spytała Barbara.

Czacha zastanowił się chwilę. – Nasikał w domu. A jak ty wpadniesz do ich zagrody, taka tłusta, obeżrą cię do kości.

Maria wstała. – To wariat, ten Melichetti?

Czacha znowu splunął na ziemię.

– Bardziej zwiariowany od swoich świń.

Umilkliśmy, wyobrażając sobie los córki Melichettiego, wychowującej się przy takim złym ojcu. Żadne z nas nie wiedziało, jak miała na imię, ale słynęła z tego, że nosiła coś w rodzaju żelaznej zbroi wokół jednej nogi.

– Możemy pojechać i je zobaczyć! – wypaliłem.

– Wyprawa! – zawołała Barbara.
– Strasznie daleko jest do farmy Melichettiego. Zajmie nam to kupę czasu – zaczął marudzić Salvatore.
– A właśnie, że jest blisko, jedziemy... – Czacha już wskoczył na rower. Nigdy nie tracił okazji, żeby dowieść swej przewagi nad Salvatore.
Przyszedł mi do głowy pomysł. – Weźmy kurę z kurnika Rema, jak dojedziemy, to wrzucimy ją do zagrody świń i zobaczymy, jak ją rozszarpia.
– Super! – zaaprobował Czacha.
– Ale tato mnie zabije, jak mu ukradniemy kurę, – rozmazał się Remo.
Nie było się nad czym zastanawiać, pomysł był świetny.
Weszliśmy do kurnika, wybraliśmy najchudszą i najbardziej wyskubaną kurę i wsadziliśmy ją do worka.
I tak wyruszyliśmy, cała szóstka i kura, żeby zobaczyć te słynne świnię Melichettiego. Pedałowaliśmy wśród pszenicznych pól i kiedy tak pędziliśmy, słońce wznosiło się coraz wyżej, a żar lał się z nieba.

Salvatore miał rację, farma Melichettiego była okropnie daleko. Kiedy tam dojechaliśmy, potwornie chciało nam się pić i w głowach mieliśmy wrzątek.

Melichetti siedział sobie w okularach słonecznych na starym bujaku pod krzywym parasolem.

Farma rozpadała się, dach był naprawiony byle jak za pomocą blachy i smoły. Na podwórzu poniewierało się mnóstwo niepotrzebnych rupieci: koła od traktora, zardzewiały rower, krzesła bez siedzeń, stół bez nogi. Na drewnianym palu porośniętym bluszczem wisały krowie czaszki, zbielełe od deszczu i słońca. I jedna mniejsza czaszka bez rogów. Kto wie, jakiego zwierza.

Psisko, sama skóra i kości, ujadało na łańcuchu.

W głębi znajdowały się blaszane baraki i zagrody dla świń, tuż przy krawędzi wąwozu.

Tutejsze wąwozy to takie mniejsze kaniony, długie rozpadliny wyłobione przez wodę w skale. Białe iglice, kamienie i zaostrome zęby sterczą z czerwonej ziemi. Często rosną w nich rachityczne drzewka oliwne, Chróścina jagodna i ostrokrzew, bywają tam też jaskinie, w których pasterze trzymają owce.

Melichetti wyglądał jak mumia. Pomarszczona skóra wisała na nim luźno, nie miał żadnych włosów z wyjątkiem białego kosmyka, który wyrastał mu pośrodku piersi. Szyję otaczał ortopedyczny kołnierz zapięty zielonymi gumkami. Miał na sobie czarne krótkie spodnie i klapki z brązowego plastiku.

Widział, jak zbliżaliśmy się na rowerach, ale się nie poruszył. Pewnie wziął nas za miraż. Tą drogą nikt nigdy nie jeździł, co najwyżej jakaś ciężarówka z sianem.

Śmierdziało sikami. I krążyły miliony gzów. Melichettiemu nie przeszkadzały. Siadały mu na głowie i wokół oczu, jak krowom. Dopiero kiedy włożyły mu do ust, parsknął.

Czacha wysunął się naprzód. – Proszę pana, chce nam się pić. Ma pan trochę wody?

Czułem się niepewnie, ponieważ ktoś taki jak Melichetti mógłby cię zastrzelić, rzucić świniom albo dać ci do picia zatrutą wodę. Tato opowiadał mi o takim jednym w Ameryce, który miał jezioro z krokodylami i jeżeli zatrzymałeś się, żeby go o coś zapytać, on zapraszał cię do domu, a potem walił w głowę i rzucał na pożarcie krokodylom. A kiedy przyjechała policja, żeby nie pójść do więzienia, sam dał im się rozszarpać. Melichetti świetnie pasował na kogoś takiego.

Starzec odsunął okulary na czoło. – Co wy tu robicie, dzieciaki? Nie jesteście aby za daleko od domu?

– Panie Melichetti, to prawda, że dał pan świniom na pożarcie swojego jamnika? – wypaliła Barbara.

Poczułem, że umieram. Czacha odwrócił się i spiorunował ją nienawistnym spojrzeniem. Salvatore wymierzył jej kopniaka w łydkę.

Melichetti wybuchnął śmiechem i dostał takiego ataku kaszlu, że omal się nie udusił. Kiedy doszedł do siebie odpowiedział: – A kto ci opowiada takie idiotyzmy, dziewczynko?

Barbara wskazała na Czachę.

– On!

Czacha zaczerwienił się, spuścił głowę i przyglądał się własnym butom.

Wiedziałem, dlaczego Barbara to powiedziała.

Parę dni wcześniej urządziliśmy konkurs rzucania kamieniami i Barbara przegrała. Za karę Czacha kazał jej rozpiąć bluzkę i pokazać nam piersi. Barbara miała jedenaście lat i małe cycuszki, ledwie przyszcze, nieporównywalne z tymi, które urosły jej w ciągu następnych kilku lat. Odmówiła. – Jeżeli tego nie zrobisz, zapomnij o kumpłowaniu się z nami – zagroził jej Czacha. Czułem się podle, to nie była uczciwa kara. Nie lubiłem Barbary, kiedy tylko mogła, próbowała człowieka wykiwać, ale żeby pokazywać cycki, nie, to już przesada.

Czacha postanowił:

– Albo nam pokażesz, albo spadaj.

I Barbara, nic nie mówiąc, rozpięła bluzkę.

Nie mogłem powstrzymać się od spojrzenia na nie. To były pierwsze piersi, jakie w życiu zobaczyłem, jeżeli pominąć mamy. Może raz, kiedy zatrzymała się u nas na noc, widziałem biust mojej kuzynki Evelyny, która była dziesięć lat starsza ode mnie. Mimo to miałem już wyobrażenie piersi, które mi się podobały, i te Barbary nie spodobały mi się ani trochę. Wyglądały jak grudki sera, fałdy skórne, niespecjalnie różniące się od wałków sadła, które miała na brzuchu.

Barbara wzięła sobie tę historię do serca i teraz chciała wyrównać rachunki z Czachą.

– Więc rozpowiadasz dokoła, że niby dałem mojego jamnika świniom do zeżarcia. – Melichetti podrapał się w pierś. – August, tak się nazywał ten pies. Jak cesarz rzymski. Miał trzynaście lat, kiedy zdechł. Kość z kurczaka utknęła mu w gardle. Pogrzeb miał chrześcijański, w ziemi. – Wycelował palcem w Czachę. – Ty, chłopczyku, założę się, jesteś najstarszy, prawda?

Czacha nie odpowiedział.

– Nigdy nie kłam. I nie obrzucaj błotem cudzego imienia. Musisz mówić prawdę, zwłaszcza młodszym od siebie. Prawdę, zawsze. Wobec ludzi, Ojca Niebieskiego i siebie samego, rozumiesz? – Mówił jak ksiądz na kazaniu.

– I nie siusiał w domu? – nalegała Barbara.

Melichetti spróbował pokręcić przecząco głową, ale kołnierz mu to uniemożliwił. – Był dobrze wychowanym psem. Świetnie polował na szczury. Pokój jego duszy. – Wskazał na pompę. – Jeżeli chce się wam pić, to tam jest woda. Najlepsza w całym regionie. I to nie są żadne bzdety.

Opiliśmy się jak bąki. Była zimna i smaczna. Potem zaczęliśmy się chlapać i wpychać sobie głowy pod mrę.

Czacha twierdził, że Melichetti to kawał drania. On wie na pewno, że ten dumy staruch rzucił jamnika świniom na pożarcie.

Utkwił wzrok w Barbarze i powiedział: – Zapłacisz mi za to. – Odszedł, coś mamrocząc, i usiadł samotnie po drugiej stronie drogi.

Ja, Salvatore i Remo zabraliśmy się do łowienia kijanek. Moja siostra i Barbara przycupnęły na krawędzi koryta i zanurzyły stopy w wodzie.

Po kilku minutach Czacha wrócił, cały podekscytowany.

– Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie, jakie wielkie!

Odwróciliśmy się.

– Co?

– Tamto.

To było wzgórze.

Wyglądało jak drożdżowa babka. Ogromna babka ustawiona na równinie przez jakiegoś giganta. Wznosiło się przed nami w odległości paru kilometrów. Złoczone i wielkie. Pszenica pokrywała je jak futro. Żadnego drzewa, żadnej sterczącej skały, żadnego defektu, który psułby jego profil. Niebo wokół było płynne i brudne. Inne wzgórze, w głębi, zdawały się karłami w porównaniu z tą gigantyczną kopułą.

Kto wie, jak to możliwe, że do tej chwili nikt z nas go nie zauważył. Patrzyliśmy na nie, naprawdę jednak go nie widząc. Może dlatego, że wtapiało się w krajobraz. Może dlatego, że wszyscy wbijaliśmy wzrok w drogę, wypatrując fermy Melichettiego.

– Chodźmy tam. – Czacha wskazał na nie. – Chodźmy na tę górę.

– Ciekawe, co jest na szczycie – powiedziałem.

Musiałoby to być niesamowite miejsce, może nawet żyło tam jakieś dziwne zwierzę. Tak wysoko żadne z nas jeszcze nigdy się nie wspięło.

Salvatore osłonił dłonią oczy i z uwagą przyjrzał się wierzchołkowi. – Założę się, że z góry widać morze. Tak, musimy tam wejść.

Przez chwilę patrzyliśmy na nie w milczeniu.

To dopiero była przygoda, nie jakieś tam świnię Melichettiego.

– A na czubku zatknijmy nasz sztandar. I jeżeli ktoś tam dotrze, będzie wiedział, że my byliśmy pierwsi – ogłosiłem.

– Jaki sztandar? Nie mamy sztandaru – zauważył Salvatore.

– Zostawimy kurę.

Czacha złapał worek, w którym był ptak, i zaczął wywijać nim w powietrzu. – Super! Ukręcimy jej łeb, a potem wsadzimy kołek w dupę i wbijemy go w ziemię. Zostanie szkielet. Ja ją tam wniosę.

Kurę wbitą na pal ktoś mógłby wziąć za znak czarownic.

I wtedy Czacha zwęszył okazję. – Prosto do góry, na szczyt. Żadnych zakrętów. Nie wolno biec jeden za drugim. Nie wolno się zatrzymywać. Ostatni poniesie karę.

Staliśmy bez słowa.

Wyścig! Po co?

To jasne. Żeby odegrać się na Barbarze. Będzie ostatnia i na nią spadnie kara.

Pomyślałem o siostrze. Powiedziałem, że jest za mała, żeby się ścigać, i że to nieuczciwe, bo wiadomo, że ona przegra.

Barbara zamachała przecząco palcem. Zrozumiała, jaką niespodziankę szykuje jej Czacha.

– Co z tego? Wyścig to wyścig. Przyjechała z nami. Jak nie, to niech zaczeka na dole.

Tego nie można było zrobić. Nie mogłem zostawić Marii. Historia z krokodylami wciąż krążyła mi po głowie. Melichetti potraktował nas uprzejmie, ale nie należy zbyt mu ufać. A jeżeli ją zamorduje, co ja powiem mamie?

– Jak moja siostra zostaje, to ja też zostaję.

– Nie jestem mała! – wtrąciła się Maria. – Chcę się ścigać.

– Ty bądź cicho!

Sprawę rozwiązał Czacha. Może iść z nami, ale się nie ściga.

Porzuciliśmy rowery za pompą i mszyliśmy.

To dlatego znalazłem się na tym wzgórzu.

Z powrotem założyłem but Marii.

– Dasz radę iść?

– Nie. Za bardzo mnie boli.

– Czekaj. – Dmuchałem dwa razy na jej nogę. Potem zanurzyłem dłonie w rozpalonej ziemi. Nabrałem jej trochę, splunąłem i rozsmarowałem papkę na jej kostce. – Teraz przejdzie. – Wiedziałem, że nie zadziała. Ziemia jest dobra na uządlenie osy i na pokrzywy, nie na skręcenia, ale może się nabierze. – Lepiej?

Wytarła nos ręką. – Trochę.

– Dasz radę iść?

– Tak.

Wziąłem ją za rękę. – No to chodźmy, zbieraj się, bo jesteśmy ostatni.

Ruszyliśmy w stronę szczytu. Co pięć minut Maria musiała usiąść, żeby dać odpocząć nodze. Na szczęście zerwał się lekki wietrzyk, co przyniosło ulgę. Szumiał w zbożu, wydając dźwięk podobny do oddechu. W pewnej chwili wydało mi się, że jakieś zwierzę przemknęło obok nas. Czarne, szybkie, ciche. Wilk? Nie było wilków w naszych stronach. Prędej lis albo pies.

Podejście było strome i nie chciało się skończyć. Przed oczami miałem tylko pszenicę, ale kiedy wreszcie zacząłem dostrzegać skrawek nieba, zrozumiałem, że brakuje już niewiele, że szczyt jest tuż-tuż, i wtedy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, znaleźliśmy się na górze.

Nie było tam nic specjalnego. Wszystko porośnięte zbożem, jak cała okolica. Pod stopami mieliśmy tę samą czerwoną i spaloną ziemię. Nad głowami to samo rozżarzone słońce.

Spojrzałem ku horyzontowi. Zasnuwała go mleczna mgiełka. Morze pozostawało niewidoczne. Przed nami rozciągały się niższe wzgórza i ferma Melichettiego ze swoimi zagrodami dla świń i wężem, dalej widać było bidą drogę, która przecinała pola, tę długą drogę, którą pokonaliśmy na rowerach, żeby dotrzeć aż tutaj. I, całkiem małą, widać było też osadę, w której mieszkaliśmy. Skośna Woda. Cztery domki i stara wiejska willa zagubione w zbożu. Lucignano, najbliższą wieś, skrywała mgła.

– Ja też chcę zobaczyć – powiedziała moja siostra. – Pokaż mi.

Posadziłem ją sobie na ramionach, chociaż ledwo trzymałem się na nogach ze zmęczenia. Kto wie, co ona tam widziała bez okularów.

– Gdzie są inni?

Ich drogę znaczył zburzony porządek łąnów, wiele źdźbeł było przełamanych na pół, inne całkiem stratowane. Poszliśmy ich śladem, który prowadził ku przeciwległemu zboczowi wzgórza.

Maria ścisnęła moją dłoń, wbijając mi w skórę paznokcie. – To wstrętne!

Odwrociłem się.

Zrobili to. Wbili kurę na pal. Tkwiła nadziana na kij. Nogi obwisłe, skrzydła rozpostarte. Jak gdyby, zanim oddała ducha Stworzycielowi, poddała się swoim katom. Z przekrzywioną na bok głową, jak wisiołek przesiąknięty krwią. Z uchylonego dzioba spływały ciężkie, czerwone krople. A z piersi sterczał koniec kija. Otaczała ją brzęcząca chmara metalicznie połyskujących much. Kłębiły się na jej oczach, na zakrzepłej krwi. Dreszcz przebiegł mi po plecach.

Poszliśmy dalej i po przekroczeniu grzbietu wzgórza zaczęliśmy schodzić w dół.

Gdzie u diabła podzieli się inni? Dlaczego zeszli na drugą stronę?

Poszliśmy jeszcze ze dwadzieścia metrów i odkryliśmy to.

Wzgórze nie było okrągłe. Z tyłu traciło swą nienaganną doskonałość. Wydłużało się w coś na kształt garbu, który opadał, wijąc się łagodnie, aż do zespolenia z równiną. Pośrodku znajdowała się wąska dolina, zamknięta, widoczna jedynie ze szczytu lub z samolotu.

Mając glinę, można by bardzo łatwo wymodelować to wzgórze. Wystarczyłoby zrobić kulę. Przeciąć ją na pół. Jedną połowę położyć na stole. Z drugiej połowy uformować kielbasę, coś w rodzaju tłustego robala, i przykleić go z tyłu półkuli, zostawiając pośrodku małe wgłębienie.

O dziwo, wewnątrz tego ukrytego wgłębienia rosły drzewa. Osłonięty od wiatru i słońca znajdował się tam dębowy zagajnik. I opuszczony dom, którego zapadnięty dach z brązowymi dachówkami i ciemnymi belkami wystawał z zielonego listowia.

Zeszliśmy ścieżką i znaleźliśmy się w dolince.

Była to ostatnia rzecz, jakiej mógłbym się spodziewać. Drzewa. Cień. Chłód.

Zamiast świerszczy słychać było szczebiot ptaków. I były tam liliowe fiołki. I dywany zielonego bluszczu. I przyjemny zapach. Aż się prosiło, żeby znaleźć miejsce pod drzewem i uciąć sobie drzemkę.

Salvatore pojawił się niespodziewanie jak duch. – Widziałeś? Super!

– Obłądnie! – odpowiedziałem, rozglądając się wokół. Może jest jakiś strumyk, żeby się napić.

– Dlaczego tyle czasu ci to zajęło? Myślałem, że wróciłeś na dół.

– Nie, tylko że małą bolała noga, no i... Usycham. Muszę się napić.

Salvatore wyjął z plecaka butelkę. – Niewiele zostało.

Podzieliliśmy się z Marią jak wzorowe rodzeństwo. Starczyło ledwie na zwilżenie ust.

– Kto wygrał wyścig? – Obawiałem się kary. Byłem śmiertelnie zmęczony. Miałem nadzieję, że Czacha ten jeden raz złagodzi ją albo przesunie na inny dzień.

– Czacha.

– A ty?

– Drugi. Potem Remo.

– Barbara?

– Ostatnia. Jak zwykle.

– Kto poniesie karę?

– Czacha mówi, że Barbara. Ale Barbara mówi, że to ty powinieneś dostać, bo przyszedłeś na końcu.

– No i co?

– Nie wiem, poszedłem się przejść. Dosyć mam już tych kar.

Ruszyliśmy w stronę domu.

Trzymał się w pionie na słowo honoru, Stał pośrodku placu z udeptanej ziemi, zasłanego dębowymi gałęziami. Głębokie pęknięcia przecinały go od fundamentów po dach. Z framug pozostały zaledwie ślady. Figowiec, cały poskręcany, wyrósł na schodach prowadzących na balkon. Korzenie rozsadziły kamienne schodki i zniszczyły balustradę. Na górze pozostały jeszcze stare drzwi pomalowane na błękitno, przegniłe na wylot i łuszczące się od słońca. W środkowej części budynku wielki łuk otwierał widok na pomieszczenie z kolebkowym sufitem. Obora. Zardzewiałe stemple i drewniane pale podtrzymywały strop, który zawalił się w wielu miejscach. Na ziemi zalegał wyschnięty nawóz, popiół, sterty płyt i gruzu. Mury, z których opadła większość tynku, ukazywały kamienie ułożone bez zaprawy.

Czacha siedział na zbiorniku na wodę. Celował kamieniami w jakiś zardzewiały pojemnik i obserwował nas.

– Udało ci się – powiedział i dodał, aby było jasne: – To miejsce jest moje.

– Jak to twoje?

– Moje. Ja pierwszy je zobaczyłem. Rzecz należy do tego, kto pierwszy ją znajdzie.

Zostałem pchnięty do przodu, tale że omal nie wylądowałem twarzą na ziemi. Odwróciłem się.

Barbara – cała czerwona, brudny podkoszulek, rozczochrane włosy – doskoczyła do mnie, gotowa do bójki.

– Na ciebie wypadło. Ty byłeś ostatni. Przegrałeś! Nastawiłem pięści. – Zawróciłem. Inaczej byłbym trzeci. Wiesz o tym.

– I co z tego? Przegrałeś!

– Kto ma dostać karę? – zapytałem Czachę. – Ja czy ona?

Długo zwlekał z odpowiedzią, aż w końcu wskazał na Barbarę.

– No widzisz? Widzisz? – Kochałem Czachę.

Barbara tupiała, wzbijając pył z wyschniętej ziemi. – To niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! Zawsze ja! Dlaczego zawsze ja?

Tego nie wiedziałem. Ale wiedziałem, że zawsze jest ktoś, na kogo spada cały pech. W tamtych dniach była to Barbara Mura, grubaska, ona była barankiem, który dźwiga ciężar cudzych grzechów.

Było mi jej żal, ale cieszyłem się, że nie jestem na jej miejscu.

Krążyła między nami niczym nosorożec.

– W takim razie głosujmy! On nie może o wszystkim decydować.

Z perspektywy dwudziestu dwu lat nadal nie rozumiem, jak ona mogła nas znosić. Pewnie ze strachu, że zostanie sama.

– Niech będzie. Głosujmy – zezwolił Czacha. – Ja mówię, że wypada na ciebie.

– Ja też – powiedziałem.

– Ja też – powtórzyła Maria jak papuga.

Popatrzeliśmy na Salvatore. Nikt nie mógł wstrzymać się od głosu. Taka była zasada.

– Ja też – wykrztusił Salvatore niemal szeptem.

– Widzisz? Pięć do jednego. Przegrałaś. Wypada na ciebie – podsumował Czacha.

Barbara zacisnęła usta i pięści, widziałem, jak przełyka z trudem, jakby w gardle utkwiała jej piłka tenisowa. Spuściła głowę, ale się nie rozplakała.

Wzbudziła we mnie szacunek.

– Co... mam zrobić? – wymamrotała.

Czacha masował sobie szyję. Jego łajdacki umysł zabrał się do pracy.

Wahał się przez chwilę. – Masz nam ją... pokazać... Masz ją wszystkim pokazać.

Barbara zachwiała się. – Co mam wam pokazać?

– Ostatnim razem pokazałaś nam cycki. – I zwracając się do nas: – Tym razem pokaże nam szparkę. Szparkę włochatą. Spuścisz majtki i pokażesz nam. – Zaczął chichotać, spodziewając się, że my zrobimy to samo, ale tak się nie stało. Zamarliśmy zmrożeni, jakby niespodziewanie powiał w dolinie wiatr z bieguny północnego.

To już przesada, taka kara. Nikt z nas nie miał ochoty przyglądać się szparce Barbary. To była kara także dla nas. Poczulem skurcz żołądka. Chciałem być daleko. Było w tym coś brudnego, coś... Nie wiem. Wstrętnego, właśnie. I drażniło mnie, że jest przy tym moja siostra.

– O tym zapomnij – powiedziała Barbara, potrząsając głową. – Wszystko mi jedno, możesz mnie zbić.

Czacha wstał i podszedł do niej z rękami w kieszeniach. W zębach trzymał kłos pszenicy.

Stanął przed nią. Wyciągnął szyję. Nie żeby był wiele wyższy od Barbary. Ani nawet dużo silniejszy. Nie dałbym sobie ręki uciąć, że gdyby Czacha i Barbara pobili się, Czacha dałby jej łatwo radę. Gdyby Barbara przewróciła go i skoczyła na niego, mogłaby go nawet udusić.

– Przegrałaś. Teraz ściągaj portki. Nauczysz się podskakiwać.

– Nie!

Czacha uderzył ją w twarz.

Barbara rozdziawiła usta niczym pstrąg i rozcierała sobie policzek. Jeszcze nie płakała. Odwróciła się w naszą stronę.

– A wy nic nie powiecie? – zachlipała. – Jesteście tacy jak on!

Staliśmy bez słowa.

– Dobrze. Ale nie zobaczycie mnie nigdy więcej. Przysięgam na głowę mojej matki.

– Co robisz, płaczesz? – Czacha świetnie się bawił.

– Nie, nie płaczę – zdołała zaprzeczyć, powstrzymując łkanie.

Nosiła zielone bawełniane spodnie z brązowymi łatami na kolanach, jakie kupowało się na targu z używanymi ciuchami. Opinały ją ciasno i tłuszcz wylewał się jej nad paskiem. Zwolniła sprzączkę i zaczęła odpinać guziki.

Dostrzegłem białe majtki w żółte kwiatuszki. – Czeka! Ja byłem ostatni – usłyszałem swój głos.

Wszyscy się odwrócili.

– Tak – przełknąłem ślinę. – Ja chcę to zrobić.

– Co? – zapytał Remo.

– Ponieść karę.

– Nie. Wypadło na nią. – Czacha spiorunował mnie wzrokiem. – To nie twoja sprawa. Zamknij się.

– Właśnie że moja. Ja byłem ostatni. Wypada na mnie.

– Nie. Ja decyduję. – Czacha stanął naprzeciw mnie.

Trzęsły mi się nogi, ale miałem nadzieję, że nikt tego nie zauważy. – Powtórzmy głosowanie.

Salvatore wsunął się pomiędzy mnie i Czachę. – Można powtórzyć.

Istniały między nami pewne reguły, wśród nich także ta, że głosowanie można było powtórzyć.

Podniosłem rękę. – Wypada na mnie.

Salvatore podniósł rękę. – Wypada na Michele.

Barbara zapięła pasek i łkając, wyjąkała: – Wypada na niego. To sprawiedliwe.

Czacha był kompletnie zaskoczony, przygwoździł Rema wściekłym spojrzeniem. – A ty?

Remo westchnął. – Wypada na Barbarę.

– Co mam zrobić? – zapytała Maria.

Kiwnąłem przytakująco głową.

– Wypada na mojego brata.

I Salvatore ogłosił: – Cztery do dwóch. Wygrał Michele. Wypada na niego.

Dostać się na piętro domu nie było łatwo.

Schody nie istniały. Stopnie zamieniły się w stos kamiennych bloczków. Musiałem wspinać się po gałęziach figowca. Jeżyny drapały mi ręce i nogi. Jakiś kolec rozciął mi skórę na prawym policzku.

Nie było mowy, żeby przejść po balustradzie. Gdyby się zwała, spadłbym na dół, w gęstwinę pokrzyw i dzikich róż.

To była kara, jaką dostałem za odstawianie bohatera.

– Musisz wyleźć na piętro. Wejść do środka. Przejść cały dom, z okna na końcu skoczyć na drzewo i zejść.

Bąłem się, że Czacha zmusi mnie, żebym pokazał ptaszka albo wsadził sobie kołek w zadek, zamiast tego jednak postanowił wyznaczyć mi niebezpieczne zadanie, przy którym co najwyżej mogłem się poturbować.

Tym lepiej.

Zaciskałem zęby i szedłem, nie skarżąc się, naprzód.

Pozostali siedzieli pod dębem i napawali się przedstawieniem o tym, jak Michele Amitrano skręca sobie kark.

Od czasu do czasu dobiegała do mnie jakaś rada.

– Przejdź tamtędy. – Musisz iść prosto. Tam jest pełno kolców. – Zjedz sobie jeżynkę, dobrze ci zrobi.

Nie słuchałem ich.

Byłem na balkonie. Pomiedzy krzakami jeżyn a mu rem prześwitywała wąska przestrzeń. Wsunąłem się w nią i dotarłem do drzwi. Były zamknięte na łańcuch, ale kłódka, przeżarta przez rdzę, była otwarta. Pchnąłem jedno skrzydło i drzwi rozwarły się, przeraźliwie skrzypiąc.

Wielki trzepot skrzydeł. Stado gołębi zerwało się do lotu i uciekło przez dziurę w dachu.

– Jak tam jest? Co tam jest w środku? – usłyszałem, jak pyta Czacha.

Nie zadałem sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Wszedłem, uważając, gdzie stawiam stopy.

Byłem w obszernym pomieszczeniu. Dużo dachówek pospadało i pośrodku zwisała belka stropowa. W jednym kącie znajdował się kominek z okapem w kształcie piramidy, poczerniały od dymu. W drugim leżały meble, rzucone na kupę. Stara kuchenka, przewrócona i zardzewiała. Butelki. Skorupy. Dachówki. Rozdarta siatka. Wszystko pokryte było gołębiim gównem. W powietrzu unosił się silny odór, ostry smród, który wciskał się w głąb nosa i gardła. Na posadzce z lastryka wyrósł las traw i dzikich ziół. W głębi znajdowały się pomalowane na czerwono, zamknięte drzwi, które z pewnością prowadziły do następnych pomieszczeń.

Musiałem tamtędy przejść.

Postawiłem stopę, deski zatrzeszczały pod podszewkami, a podłoga zafalowała. W tamtych czasach ważyłem jakieś trzydzieści pięć kilo. Mniej więcej tyle co kanister z wodą. Zastanawiałem się, czy gdyby pośrodku tego pomieszczenia postawić kanister z wodą, podłoga by się załamała. Lepiej nie próbować.

Żeby dotrzeć do następnych drzwi, najostrożniej było iść przy samej ścianie. Wstrzymując oddech, na czubkach palców jak baletnica posuwałem się po obwodzie pokoju. Gdyby podłoga runęła, wylądowałbym w oborze, po co najmniej czterech metrach lotu. Wystarczy, żeby połamać sobie kości.

Ale nic się nie stało.

W następnym pomieszczeniu, o rozmiarach mniej więcej takich jak kuchnia, podłogi nie było w ogóle. Zawaliła się przy ścianach i teraz tylko coś w rodzaju mostu łączyło moje drzwi z tymi na drugim końcu. Z sześciu belek, które podtrzymywały kiedyś podłogę, w całości zachowały się tylko dwie środkowe. Z innych pozostały jedynie kikuty zjedzone przez komiki.

Nie mogłem trzymać się ścian. Musiałem pokonać ten most. Belki, na których się wspierał, nie były pewnie w lepszym stanie od pozostałych.

Tkwiałem na progu jak sparaliżowany. Nie mogłem zawrócić. Truliby mi tyłek aż do śmierci. A gdybym tak skoczył w dół? Niespodziewanie te cztery metry, które dzieliły mnie od klepiska obory, przestały wydawać mi się dużą wysokością. Mógłbym powiedzieć tamtym, że nie dało się dojść do okna.

Są takie chwile, kiedy umysł płata brzydkie figle.

Jakieś dziesięć lat później wybrałem się na narty na Gran Sasso. Dzień był nieodpowiedni, padał śnieg, panowało polarne zimno, wietrzysko mroziło uszy i była mgła. Miałem dziewiętnaście lat i wcześniej jeździłem na nartach tylko jeden raz. Ogromnie podekscytowany nic sobie z tego nie robiłem i choć wszyscy mnie ostrzegali, że to niebezpieczne, ja chciałem jeździć. Wsiadłem na wyciąg krzeselkowy, okutany niczym Eskimos, i ruszyłem ku trasom zjazdowym.

Wichura była tak silna, że układ napędowy kolejki wyłączał się automatycznie i uruchamiał na powrót, kiedy porywy wiatru słabły. Kolejka jechała dziesięć metrów, po czym blokowała się na kwadrans, potem następne czterdzieści metrów i znowu dwadzieścia minut postoju. I tak w nieskończoność. Do zwariowania. O ile mogłem dojrzeć, kolejka była pusta. Stopniowo przestałem czuć koniuszki stóp, uszy i palce u rąk. Usiłowałem strącić z siebie śnieg, ale był to daremny wysiłek, płatki padały cicho, lekko i nieprzerwanie. Po jakimś czasie zacząłem zapadać w drzemkę, wolniej myśleć, ale zebrałem wszystkie siły i powiedziałem sobie, że jeżeli zasnę, to czeka mnie śmierć. Zacząłem krzyczeć, wołać o pomoc. Odpowiedział mi wiatr. Spojrzałem w dół. Byłem dokładnie nad trasą narciarską. Zawieszony jakieś dziesięć metrów ponad śniegiem. Przypomniałem sobie historię pewnego lotnika, który podczas wojny wyskoczył z płonącego samolotu i nie otworzył mu się spadochron, a jednak nie zginął, bo uratował go puszysty śnieg. Dziesięć metrów to nie tak dużo. Jeżeli dobrze upadnę, jeżeli się nie usztywnię, nic sobie nie zrobię, spadochroniarzowi też się nic nie stało. Jedna część mózgu powtarzała obsesyjnie: „Skacz! Skacz! Skacz!”. Podniosłem barierkę bezpieczeństwa i rozhuściłem krzeselko. Na szczęście w tej samej chwili kolejka ruszyła, a ja odzyskałem poczucie rzeczywistości. Opuściłem barierkę. Było bardzo wysoko, co najmniej połamałbym nogi.

W tym domu doświadczyłem tego samego. Chciałem rzucić się w dół. Potem przypomniałem sobie, że w jakiejś książce od Salvatore wyczytałem, iż jaszczurki mogą wspinać się po ścianach, ponieważ mają idealnie rozłożony ciężar ciała. Rozkładają go na łapki, brzuch i ogon, ludzie natomiast tylko na stopy i dlatego zapadają się w ruchomych piaskach.

To właśnie muszę zrobić.

Przykląknęłam, a następnie położyłem się i zacząłem pełznąć. Lekko, lekko jak jaszczurka, powtarzałem sobie. Czuję drżenie belek. Zajęło mi to dobrych pięć minut, ale dotarłem cały i zdrowy do końca pomieszczenia.

Pchnąłem drzwi. Były ostatnie. W głębi znajdowało się okno, które wychodziło na podwórze. Długa gałąź podchodziła prawie pod dom. Zrobione. Tutaj też podłoga zapadła się, ale tylko w połowie. Druga jeszcze się trzymała. Zastosowałem starą technikę, chodzenie z plecami przyklejonymi do ściany. Pod spodem widziałem jakąś pogrążoną w półmroku izbę. Ślady ogniska, puste puszki po pomidorach i paczki po makaronie. Ktoś musiał tam być całkiem niedawno.

Doszedłem do okna bez przeszkód. Spojrzałem w dół.

Zobaczyłem małe podwórze ogrodzone jeżynowymi krzakami, na które napierał las. Na ziemi leżało koryto z popękanego cementu, zardzewiałe ramię żurawia, stopy gruzu porośnięte bluszczem, butla gazowa i materac.

Gałąź, na którą miałem wejść, była blisko, dzielił mnie od niej niecały metr. Jednak nie na tyle blisko, żebym mógł jej dosięgnąć, nie skacząc. Była gruba i poskręcana jak anakonda. Długa na ponad pięć metrów. Utrzyma mnie. Jeżeli dotrę do pnia, znajdę jakiś sposób, żeby zejść.

Wspiąłem się na parapet, przeżegnałem i skoczyłem z rękami wyciągniętymi do przodu, jak gibbon w amazońskiej puszczy. Wylądowałem brzuchem na gałęzi, usiłując ją objąć, ale była za

gruba. Zapierałem się nogami, ale brakowało mi oparcia. Zacząłem się zsuwać. Próbowałem wbijać w korę paznokcie.

Ocalenie było blisko. Inna, mniejsza gałąź znajdowała się kilkanaście centymetrów obok.

Sprężyłem się, wybiłem jednym rzutem bioder i uczepiłem się jej obiema rękami.

Była uschnięta. Złamała się.

Spadłem na plecy. Pozostałem bez ruchu, z zamkniętymi oczami, pewien, że skręciłem sobie kark. Nie czułem bólu. Leżałem jak skamieniały, z gałęzią w rękach, usiłując odgadnąć, dlaczego nic mnie nie boli. Może zostałem paralitykiem, który nie czuje niczego, nawet jeżeli zgasisz mu papierosa na ramieniu albo wbijesz widelec w udo.

Otworzyłem oczy. Przez chwilę wpatrywałem się w ogromny zielony parasol dębu, rozpięty tuż nade mną. Migotanie słońca pomiędzy liśćmi. Musiałem spróbować unieść głowę. I uniosłem ją.

Odrzuciłem tę kretyńską gałąź. Pomacałem dłońmi dokoła. I odkryłem, że leżę na czymś miękkim. Materac.

Ponownie zobaczyłem siebie, jak spadam, jak lecę i uderzam o ziemię, nic sobie nie robiąc. W chwili gdy wylądowałem, rozległ się niski, głuchy odgłos. Słyszałem go, mógłbym przysiąc. Poruszyłem nogami i spostrzegłem, że pod liśćmi, gałązkami i ziemią leżała zielona płyta falista, jakaś kłapa z przezroczystego plastiku. Ktoś ją przykrył, jakby chcąc zamaskować. A ten stary materac położono na wierzchu.

To ta plastikowa płyta mnie uratowała. Wygięła się, amortyzując upadek.

A zatem pod spodem musiała być pusta przestrzeń.

Mógł to być tajemny schowek albo podziemny chodnik, który prowadził do jaskini pełnej złota i drogich kamieni. Stałem na czworakach i pchnąłem płytę do przodu.

Była ciężka, ale powoli, powoli, odsunąłem ją nieco. Rozszedł się okropny smród gówna.

Zachwiałem się, zasłoniłem usta dłonią i znowu pchnąłem.

Trafiłem na dziurę w ziemi.

Było w niej ciemno. Ale im bardziej odsuwałem płytę, tym więcej wpadało tam światła. Ściany były zrobione z ziemi, wyciosane rydlem. Korzenie dębu zostały przycięte.

Udało mi się jeszcze trochę przesunąć płytę. Dziura była szeroka na parę metrów i głęboka na dwa, dwa i pół metra.

Była pusta.

Nie, coś tam było.

Kupa zwiniętych szmat?

Nie...

Zwierzę? Pies? Nie...

Co to takiego?

Bez włosów...

białe...

noga...

Noga!

Odskokczyłem gwałtownie w tył, omal się nie potykając.

Noga?

Nabrałem powietrza i pochyliłem się na chwilę nad dziurą.

To była noga.

Uszy mi płonęły, głowa i ramiona stały się ciężkie.

Czułem, że za chwilę zemdleję.

Usiadłem, zaniknąłem oczy, zrobiłem parę wdechów. Kusilo mnie, żeby uciec, żeby pobiec do tamtych. Ale nie mogłem. Najpierw musiałem jeszcze raz popatrzeć.

Przysunąłem się i wsadziłem głowę do środka.

To była noga chłopca. I łokieć wystawał spomiędzy szmat.

Na dnie tej dziury był chłopiec.

Leżał na boku. Głowę wtulił między nogi.

Nie poruszał się.

Był nieżywy.

Pozostałem tak, przyglądając mu się nie wiem jak długo. Stało tam też wiadro. I garnuszek.

Może spał.

Wziąłem kamyczek i rzuciłem w niego. Trafiłem go w udo. Nawet nie drgnął. Był nieżywy. Całkiem nieżywy. Dreszcz ukąsił mnie w kark. Wziąłem drugi kamyk i trafiłem go w szyję. Miałem wrażenie, że się poruszył. Nieznaczny ruch ręki.

– Gdzie jesteś? Gdzie jesteś? Co z tobą, cioto?

Tamci! Czacha mnie wołał.

Chwyciłem płytę i pociągnąłem ją tak, żeby zasłonić dziurę. Potem rozrzuciłem liście i ziemię, a na wierzchu z powrotem ułożyłem materac.

– Gdzie jesteś, Michele?

Odszedłem stamtąd, ale jeszcze odwróciłem się parę razy, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu.

Pedałowałem na Gruchocie.

Słońce za moimi plecami było czerwoną gigantyczną kulą, a kiedy wreszcie wydostaliśmy się z pszenicy, zniknęło, pozostawiając za sobą pomarańczowo-fioletową poświatę.

Pytali mnie, jak mi poszło w tamtym domu, czy było niebezpiecznie, czy spadłem, czy było tam coś dziwnego, czy trudno było przeskoczyć na drzewo. Odpowiadałem półsłówkami.

W końcu, znudzeni, mszyliśmy w powrotną drogę. Z doliny wychodziła ścieżka, która przecinała pola w kolorze ochry i łączyła się z drogą. Odnaleźliśmy rowery i pedałowaliśmy w milczeniu. Chmury muszek brzęczały wokół nas.

Patrzyłem na Marię, która jechała moim śladem na dzieciennym rowerku z kołami nadgryzionymi przez kamienie, na Czachę, z przodu przed wszystkimi, ze swym giermkim Remem u boku, na Salvatora, który poruszał się zygzakami, na Barbarę na jej za dużej kolarzówce, i myślałem o chłopcu w dziurze.

Nic nikomu nie powiem.

– Rzecz należy do tego, kto pierwszy ją znajdzie, – ogłosił wcześniej Czacha.

Jeżeli tak jest, chłopiec na dnie dziury należał do mnie.

Gdybym o nim powiedział, Czacha jak zwykle sobie przypisałby całą zasługę odkrycia. Opowiadałby wszystkim, że to on go znalazł, ponieważ pomysł, żeby wejść na wzgórze, był jego.

Tym razem nie. Ja poniosłem karę, ja spadłem z drzewa i ja go znalazłem.

Nie należał do Czachy. Ani do Barbary. Nie należał do Salvatore. Był mój. Był moim tajemnym odkryciem.

Nie wiedziałem, czy znalazłem martwego, czy żywego. Może ręka się nie poruszyła. Wydawało mi się tylko. A może były to drgawki trupa. Takie jak u os, które nawet jeżeli przetniesz je na dwoje nożyczkami, nadal chodzą, albo jak u kurczaków, co choć już bez głowy, jeszcze trzepoczą skrzydłami. Ale co on tam mógł robić?

– Co powiemy mamie?

Nawet nie zauważyłem, że siostra jedzie obok mnie.

– Co?

– Co powiemy mamie?

– Nie wiem.

– Ty jej powiesz o okularach?

– Tak, ale pamiętaj, żebyś nie mówiła, gdzieśmy pojechali. Jak się dowie, będzie, że rozbiłaś okulary, bo weszliśmy na górę.

– Dobra.

– Przysięgnij.

– Przysięgłam. – Pocałowała koniuszki palców wskazujących.

Dzisiaj Skośna Woda jest osiedlem należącym do Lucignano. W połowie lat osiemdziesiątych jakiś geodeta wytyczył dwa długie szeregi betonowych domków. Kostki z okrągłymi oknami, błękitnymi balustradami i stalowymi drutami zbrojeniowymi, które sterczą z dachów. Potem pojawił się supermarket Coop i bar-tabak. I asfaltowa dwupasmowa droga, która biegnie prosto jak pas startowy, aż do Lucignano.

Tymczasem w 1978 Skośna Woda była tak mała, że prawie jej nie było. Osada wiejska, jak by nazwano ją dzisiaj w jakimś magazynie podróżniczym.

Nikt nie wiedział, dlaczego to miejsce nosiło taką nazwę, nawet stary Tronca. Wody tam nie było, ze wyjątkiem tej, którą dowożono co dwa tygodnie cysterną.

Stała tam willa Salvatore, którą nazywaliśmy pałacem. Wielkie domostwo zbudowane w dziewiętnastym wieku, długie i szare, z dużym kamiennym portykiem i wewnętrznym dziedzińcem z palmą. Pozostałych domów było cztery na krzyż. Nie w przerośni. Wszystkiego cztery domy. Cztery nędzne domy z kamieni sklejonych zaprawą, z dachami z dachówek i małymi oknami. Nasz. Rodziny Czachy. Rodziny Rema, która dzieliła go ze starym Troncą. Tronca był głuchy, zmarła mu żona i zajmował dwie izby, które wychodziły na ogród warzywny. I jeszcze dom Pietra Mury, ojca Barbary. Angela, jego żona, prowadziła na parterze sklepik, gdzie można było kupić chleb, makaron i mydło. I można było skorzystać z telefonu.

Dwa domy z jednej, dwa z drugiej strony. Pośrodku droga z ubitej ziemi, pełna dziur. Żadnego placu. Żadnych zaułków. Były za to dwie ławki pod pergolą z winorośli i pompa z kranem zamykanym na klucz, żeby nie marnować wody. Wszędzie dokoła pola pszenicy.

Jedyną rzeczą, na jaką zasłużyło sobie to miejsce zapomniane przez Boga i ludzi, była piękna granatowa tablica z wypisaną wielkimi literami nazwą SKOŚNA WODA.

– Tata przyjechał! – wykrzyknęła siostra. Porzuciła rower i wbiegła po schodach.

Przed naszym domem stała jego ciężarówka, fiat lupetto z zieloną plandeką.

W tamtych czasach tato pracował jako kierowca i całymi tygodniami przebywał poza domem. Ładował towar i zawoził go na Północ.

Przyrzekł mi, że mnie też zabierze kiedyś na Północ. Nie za bardzo potrafiłem wyobrazić sobie tę Północ. Wiedziałem, że Północ jest bogata, a Południe biedne. I my byliśmy biedni. Mama mówiła, że jeżeli tato dalej będzie pracował tak ciężko, to już wkrótce nie będziemy biedni, będziemy zamożni. A zatem nie powinniśmy narzekać, że go wciąż nie ma. Robi to dla nas.

Wpadłem do domu zdyszany.

Tato siedział przy stole w slipach i podkoszulku. Przed sobą miał butelkę czerwonego wina, w ustach lufkę z papierosem, a na kolanie przycupniętą moją siostrę.

Mama, odwrócona plecami, gotowała. Rozchodził się zapach cebuli i pomidorowego sosu. Czarno-biały telewizor, wielkie pudło marki Grundig, które tato przywiózł parę miesięcy wcześniej, był włączony. Wentylator brzęczał.

– Michele, gdzie byliście przez cały dzień? Wasza matka o mało nie zwariowała z niepokoju. Nie pomyślcie o tej biednej kobiecie, która nie dość, że musi czekać na męża, jeszcze ma czekać i na was? Co się stało z okularami twojej siostry?

Nie był naprawdę rozgniewany. Kiedy gniewał się naprawdę, oczy wychodziły mu z orbit, jak u ropuchy. Cieszył się, że jest w domu.

Siostra spojrzała na mnie.

– Budowaliśmy szałas nad strumieniem – wyjąłem okulary z kieszeni. – I się rozbiły.

Wypluł chmurę dymu. – Chodź tutaj. Pokaż mi je.

Tato był mężczyzną niskim, chudym i nerwowym. Kiedy siedział w kabinie swojej ciężarówki, ledwie było go widać zza kierownicy. Miał czarne włosy, pociągnięte brylantyną. Szorstki biały zarost pokrywał podbródek. Czuć go było papierosami Nazionali i wodą kolońską.

Podąłem mu je.

– Nadają się do wyrzucenia. – Odłożył je na stół i powiedział: – Już po okularach.

Wymieniliśmy z siostrą spojrzenia.

– To co ja zrobię? – zapytała Maria z niepokojem.

– Obejdiesz się bez okularów. Będziesz mieć nauczki.

Maria nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nie może. Nic nie widzi – wtrąciłem się.

– I co z tego.

– Ale...

– Żadne ale. – I zwrócił się do mamy: – Teresa, podaj mi tę paczuszkę, która leży na kredensie.

Mama przyniosła mu ją. Tato odwinął papier i wyciągnął granatowy futerał, twardy i aksamitny.

– Masz.

Maria otworzyła go, a wewnątrz była para okularów w oprawkach z brązowego plastiku.

– Przymierz.

Maria nałożyła okulary, a dłonią wciąż gładziła futerał.

– Podobają ci się? – zapytała mama.

– Tak. Bardzo. Pudełko jest śliczne – i poszła przejrzeć się w lustrze.

Tato nalał sobie kolejny kieliszek wina.

– Jeżeli te też rozbijesz, to następnym razem zostaniesz bez okularów, jasne? – Potem chwycił mnie za rękę. – Pokaż mi mięśnie.

Zgiąłem łokieć i napiąłem ramię.

Ścisnął mi biceps. – Coś mi się nie wydaje, żebyś się poprawił. Robisz pompki?

– Tak.

Nienawidziłem robić pompek. Tato chciał, żebym ćwiczył, bo mówił, że jestem rachityczny.

– Nieprawda – odezwała się Maria – nie robi.

– Czasem robię. Prawie zawsze.

– Siadaj tutaj. – Teraz ja usiadłem na jego kolanach i spróbowałem go pocałować. – Nie całuj mnie, bo jesteś cały brudny. Jak chcesz całować swojego ojca, najpierw się umyj. Teresa, co robimy, pošlemy ich do łóżka bez kolacji?

Tato miał piękny uśmiech, białe, idealnie równe zęby. Ani ja, ani moja siostra nie odziedziczyliśmy ich po nim.

Mama odpowiedziała, nie odwracając się:

– Należałoby im się! Już nie daję rady z tą dwójką. – Ona gniewała się naprawdę.

– Zrobimy tak. Jeżeli chcą zjeść kolację i dostać prezent, który im przywiozłem, Michele musi mnie pokonać na rękę. Inaczej do łóżka bez jedzenia.

Przywiózł nam prezent!

– Ty sobie żartuj, żartuj... – Mama była szczęśliwa, że tato znów jest w domu. Kiedy tato wyjeżdżał, bolała ją żołądek i w miarę upływu czasu coraz mniej mówiła. Po miesiącu całkiem przestawała się odzywać.

– Michele nie może cię pokonać. Nie liczy się – stwierdziła Maria.

– Michele, pokaż siostrze, że potrafisz. I trzymaj szeroko te nogi. Jak będziesz siedział taki pokrzywiony, przegrasz od razu i nici z prezentu.

Usadawiłem się odpowiednio. Zaciśnąłem zęby i dłoń ojca i zacząłem na nią napierać. Nic. Nawet nie drgnęła.

– Mocno! Galaretę masz zamiast mięśni, czy jak? Słabszy jesteś od komara! Wyciśnijże z siebie trochę siły, o Chryste Panie!

– Nie dam rady – wymamrotałem.

To było tak, jakby wyginać żelazną sztabę.

– Baba z ciebie, Michele. Maria, pomóż mu, no!

Moja siostra weszła na stół i we dwoje, zaciskając zęby i sapiąc przez nos, zdołaliśmy wreszcie zmusić go do opuszczenia ręki.

– Prezent! Daj nam prezent! – Maria zeskoczyła ze stołu.

Tato sięgnął po kartonowe pudełko, wypełnione zwiniętymi w kulki strzępkami gazety. W środku był prezent.

– Łódka! – zawołałem.

– To nie łódka, to jest gondola – wyjaśnił mi tato.

– Co to takiego gondola?

– Gondole to są łodzie weneckie. Używa się w nich tylko jednego wiosła.

– A co to są wiosła? – dopytywała się moja siostra.

– Takie tyczki do odpychania łodzi.

Była bardzo piękna. Cała z czarnego plastiku. Miała srebrne ozdoby – a w środku laleczkę w podkoszulku w biało-czerwone pasy i słomkowym kapeluszu.

Ale okazało się, że nie możemy jej sobie wziąć. Była przeznaczona do stania na telewizorze. A pomiędzy gondolą i telewizorem musiała leżeć serwetka z białej koronki. Jak jezioro. To nie była zabawka. To był cenny przedmiot. Bibelot.

– Czyja kolej iść po wodę? Zaraz będzie jedzenie – zwróciła się do nas mama.

Tato siedział przed telewizorem i oglądał wiadomości.

Nakrywałem właśnie do stołu. – Kolej na Marię. Wczoraj ja poszedłem.

Maria siedziała na fotelu ze swoimi lalkami. – Nie chce mi się, ty idź.

Żadne z nas nie lubiło chodzić do pompy, robiliśmy to więc na zmianę, każde co drugi dzień. Ale wrócił tato, co dla mojej siostry oznaczało, że reguły przestały obowiązywać.

Zamachałem przecząco palcem. – Twoja kolej.

Maria skrzyżowała ramiona. – Ja nie idę.

– Dlaczego?

– Boli mnie głowa.

Za każdym razem, kiedy nie miała ochoty czegoś zrobić, mówiła, że boli ją głowa. To była jej ulubiona wymówka.

– Nieprawda, wcale cię nie boli, kłamiesz.

– Prawda! – I zabrała się do masowania sobie czoła z wyrazem cierpienia na twarzy.

Miałem chęć ją udusić. – Na nią kolej! Ona musi iść! Mama, zniecierpliwiona, wetknęła mi dzban do ręki.

– Idź ty, Michele, jesteś starszy. Dostyc tych dyskusji – powiedziała, jakby chodziło o jakiś drobiazg, coś bez znaczenia.

Triumfalny uśmiech rozciągnął usta mojej siostry.

– No widzisz?

– To niesprawiedliwe. Ja byłem wczoraj. Nie pójdę. Mama zwróciła się do mnie tym cierpkim tonem, którym mówiła zawsze tuż przed wpadnięciem w furję:

– Usłuchaj mnie, Michele.

– Nie. – Poszedłem poskarżyć się tacie. – Tato, to nie moja kolej. Ja byłem wczoraj.

Odrzucił wzrok od telewizji i spojrzał na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy, potarł usta i zapytał:

– Wiesz, co to jest żołnierskie losowanie?

– Nie. Co to takiego?

– Wiesz, co robili żołnierze podczas wojny, żeby ustalić, kto ma iść ze śmiertelną misją? – Wydobył z kieszeni pudełko zapalek i pokazał mi je.

– Nie, nie wiem.

– Bierze się trzy zapaliki – wyjął je z pudełka – jedną dla ciebie, jedną dla mnie i jedną dla Marii. Jednej urywa się łebek. Wziął jedną z zapalek i przełamał ją, po czym zamknął wszystkie w dłoni, wysuwając z niej tylko końce patyczków. Kto wyciągnie tę bez łebka, idzie po wodę. Wybierz którąś, no już.

Wylosowałem całą. Podskoczyłem z radości.

– Maria, wypadło na ciebie. Idziesz ty.

Ale moja siostra też wyciągnęła całą zapalnik i klasnęła w dłonie.

– Coś mi się zdaje, że padło na mnie – tacie pozostała ta złamana.

Ja i Maria zaczęliśmy się śmiać i krzyczeć: – Wypadło na ciebie! Wypadło na ciebie! Przegrałeś! Przegrałeś! Idź po wodę!

Tato podniósł się, trochę upokorzony. – Kiedy wrócę, macie już być umyjni. Jasne?

– Chcesz, żebym ja poszła? Jesteś zmęczony – powiedziała mama.

– Nie możesz. To śmiertelna misja. I muszę wziąć papierosy z ciężarówki. – Wyszedł z domu z dzbanem w ręku.

Umyliśmy się, zjedliśmy makaron z sosem pomidorowym i smażone jajka, po czym ucałowaliśmy tatę i mamę i poszliśmy do łóżka, nawet nie nalegając, żeby oglądać telewizję.

Zbudziłem się w środku nocy. Miałem zły sen.

Jezus mówił do Łazarza: wstań i idź. Ale Łazarz się nie podnosił. Wstań i idź, powtarzał Jezus. Łazarz nie miał najmniejszego zamiaru dać się wskrzесиć. Jezus, który podobny był do Severina, kierowcy cysterny z wodą, zdenerwował się. To była bezczelność. Kiedy Jezus mówi ci, żebyś wstał i szedł, musisz to zrobić, zwłaszcza jeżeli jesteś trupem. Tymczasem Łazarz leżał nieruchomo, bez życia. Wtedy Jezus zaczął nim potrząsać jak lalką i Łazarz w końcu podniósł się i wbił mu kły w gardło. Zostaw umarłych w spokoju, powiedział ustami ociekającymi krwią.

Otworzyłem gwałtownie oczy, cały zlaný potem.

Tamte noce były tak gorące, że jeżeli na swoje nieszczęście się zbudziłeś, trudno ci było zasnąć na nowo. Pokój, który dzieliłem z siostrą, był wąski i długi. Został wygospodarowany z korytarza. Dwa łóżka ustawione były jedno za drugim pod oknem. Jednym bokiem przylegały do ściany, z drugiej strony pozostawało jakieś trzydzieści centymetrów na przejście. Poza tym pomieszczenie było białe i puste.

Zimą było w nim zimno, a latem nie dało się oddychać.

Nocą ściany i sufit oddawały ciepło nagromadzone w ciągu dnia. Miało się wrażenie, że poduszka i materac dopiero co wyszły z pieca.

Za moimi stopami widziałem ciemną głowę Marii. Spała w okularach, brzuchem do góry, całkiem bezwładna, z rozrzuconymi ramionami i nogami.

Mówiła, że gdyby zbudziła się w nocy bez okularów, złapałby ją strach. Zazwyczaj mama ściągała jej te okulary, gdy tylko Maria zasypiała, ponieważ odciskały się jej na twarzy.

Owadobójczy kaganek na parapecie wydzielał dym gęsty i trujący, który zabijał komary, a i nam nie wychodził specjalnie na zdrowie. Ale w tamtych czasach nikt nie przejmował się takimi sprawami.

Do naszego pokoju przylegała sypialnia rodziców. Słyszałem chrapanie ojca. Szum wentylatora. Posapywanie siostry. Monotonne wołanie sowy. Brzęczenie lodówki. Czulem smród, dolatujący z ubikacji.

Ukląknę na łóżku i oparłem się o okno, żeby zaczerpnąć powietrza.

Księżyc był w pełni. Wysoki i świetlisty. Widać było daleko, jak za dnia. Pola zdawały się fosforyzować. Powietrze znieruchomiało. Domy ciemne, ciche.

Być może byłem jedynym, który nie spał w całej Skośnej Wodzie. Spodobała mi się ta myśl.

Chłopiec był w dziurze.

Wyobraziłem go sobie, martwego, w ziemi. Chrząszcze, pluskwy i stonogi, które po nim laziły, po jego bezkrwistej skórze, i robaki, które wychodziły z sinych warg. Oczy wyglądały jak dwa jajka na twardo.

Nigdy jeszcze nie widziałem trupa. Tylko moją babcię Giovannę. Leżała na swoim łóżku, ze skrzyżowanymi ramionami, w czarnym ubraniu i butach. Twarz wyglądała jak zrobiona z gumy. Żółta jak wosk. Tato powiedział mi, że muszę ją pocałować. Wszyscy płakali. Tato mnie popchnął. Przytknąłem wargi do jej zimnego policzka. Wydzielała słodkawą, mdlącą woń, która mieszała się z zapachem świec. Potem umyłem sobie usta mydłem.

A jeżeli chłopiec był żywy?

Jeżeli chciał wyjść i drapał palcami ściany i błagał o pomoc? Jeżeli porwał go ork?

Wychyliłem się na zewnątrz i w oddali, na równinie, zobaczyłem wzgórze. Wyglądało, jakby pojawiło się znikąd, rysowało się wyraźnie, niczym wyspa wynurzona z morza, wysokie i czarne, ze swą tajemnicą, która na mnie czekała.

– Michele, chce mi się pić... – Maria zbudziła się. – Przyniesiesz mi szklankę wody? – Mówiła z zamkniętymi oczami i przesuwiała językiem po wyschniętych wargach.

– Poczekaj... – Wstałem z łóżka.

Nie miałem ochoty otwierać drzwi. A co jeśli babcia Giovanna siedzi tam przy stole razem z chłopcem? I jeżeli mi powie, chodź, usiądź z nami, zjemy coś? A na talerzu będzie kura wbita na pal?

Nie było nikogo. Promień księżyca oświetlał starą kanapę w kwiatki, kredens z białymi talerzami, podłogę z biało-czarnego lastryka, po czym wpadał do sypialni rodziców, wspinając się na łóżko. Widziałem splecione stopy. Otworzyłem lodówkę i wyjąłem dzban z zimną wodą.

Przypiąłem się do niego, a potem napełniłem szklanke dla siostry, która wypila duszkiem całą zawartość. – Dziękuję.

– Teraz śpij.

– Dlaczego dałeś się ukarać zamiast Barbary?

– Nie wiem...

– Nie chciałeś, żeby ściągnęła majtki?

– Nie.

– A gdybym ja miała to zrobić?

– Co?

– Ściągnąć majtki. Dla mnie też byś to zrobił?

– Tak.

– No to dobranoc. Zdejmę okulary – zamknęła je w futerale i wtuliła się w poduszkę.

– Dobranoc.

Długo jeszcze leżałem z oczami utkwionymi w suficie, zanim udało mi się zasnąć.

Tato nie odjeżdżał.

Wrócił, żeby zostać. Powiedział mamie, że przez jakiś czas nie chce oglądać autostrady i że zajmie się nami.

Być może, wcześniej czy później, zabierze nas nad morze, żeby się wykąpać.

Kiedy się obudziłem, mama i tato jeszcze spali. Przełknąłem w pośpiechu mleko i chleb z marmoladą, wyszedłem i wsiadłem na rower.

– Gdzie jedziesz?

Maria stała na schodach przed domem, w majtkach, i na mnie patrzyła.

– Przejechać się.

– Gdzie?

– Nie wiem.

– Chcę jechać z tobą.

– Nie.

– Ja wiem, gdzie jedziesz... Jedziesz na wzgórze.

– Nie. Nie jadę tam. Jeżeli tato albo mama zapytają cię, powiedz, że pojechałem się przejechać i że zaraz wrócę.

Kolejny dzień żaru.

O ósmej rano słońce było jeszcze nisko, ale już zaczynało przypiekać równinę. Jechałem drogą, którą pokonałiliśmy poprzedniego popołudnia, i nie myślałem o niczym, pedałowalem w kłębach pyłu i owadów i starałem się jak najszybciej dojechać. Wjechałem na drogę wśród pól, tę, która biegła u stóp wzgórza i prowadziła do doliny. Od czasu do czasu spośród łąnów pszenicy wzbijały się w górę sroki z biało-czarnymi ogonami. Ścigały się, kłóciły, wymyślały sobie, wydając skrzekliwe wrzaski. Jastrząb szybował z rozpostartymi nieruchomo skrzydłami, niesiony ciepłymi prądami powietrza. Zobaczyłem też rudego zająca z długimi uszami, który śmignął tuż przede mną. Posuwałem się z trudem, dociskając pedały, koła ślizgały się po kamieniach i wyschniętych grudach ziemi. Im bliżej byłem tamtego domu, im bardziej rosło wzgórze przed moimi oczami, tym większy ciężar przygniatał mi pierś, odbierając oddech.

A jeżeli przyjdę, a tam będą czarownice albo ork?

Wiedziałem, że czarownice zbierają się nocami w opuszczonych domach i urządzają sobie zabawy, a orki pożerają dzieci.

Musiałem uważać. Gdyby złapał mnie ork, też by mnie wrzucił do jakiejś dziury i zjadł po kawałku. Najpierw rękę, potem nogę i tak dalej. I nikt by się nie dowiedział. Moi rodzice płakaliby z rozpaczy. I wszyscy mówiliby: „Michele był taki dobry, jak nam przykro”. Przyjechaliby wujkowie i kuzynka Evelina na niebieskiej damce. Czacha by nie płakał, jeszcze czego, Barbara też nie. Moja siostra i Salvatore tak.

Nie chciałem umierać. Chociaż chętnie bym poszedł na swój pogrzeb.

Nie powinienem tam jechać. Zwariowałem czy co?

Zawróciłem rower i ruszyłem w stronę domu. Po jakichś stu metrach zatrzymałem się jednak.

Co zrobiłby Tiger Jack na moim miejscu?

Nie zawróciłby, nawet gdyby nakazał mu to Manitu we własnej osobie.

Tiger Jack.

To był poważny człowiek. Tiger Jack, indiański przyjaciel Texa Willera.

I Tiger Jack wszedłby na to wzgórze, nawet gdyby odbywał się tam międzynarodowy kongres wszystkich czarownic, bandytów i orków z całego świata, ponieważ był Indianinem Nawaho i

był nieustraszony, i niewidoczny, i cichy niczym puma, i potrafił się wspinać i czaić, żeby potem zadać nieprzyjacielowi cios sztyletem.

Ja jestem Tigerem, nawet lepiej, jestem włoskim synem Tigera, powiedziałem sobie.

Szkoda tylko, że nie mam sztyletu, łuku albo strzelby Winchester.

Ukryłem rower, jak zrobiłby to Tiger ze swoim koniem, zanurzyłem się w pszenicy i szedłem na czworakach tak długo, aż nogi zrobiły mi się sztywne jak drewniane klocki, a ramiona obolałe. Wtedy zacząłem dreptać jak bażant, rozglądając się na prawo i lewo.

Dotarłem do doliny i odczekałem kilka minut, żeby odsapnąć, przyklejony do pnia. Potem przemykałem od drzewa do drzewa, niczym cień Siuksa. Wytężałem słuch, żeby wychwycić każdy głos albo podejrzany hałas. Ale słyszałem tylko krew, która pulsowała mi w skroniach.

Przyczajony za krzakiem obserwowałem dom.

Był cichy i spokojny. Nic nie wskazywało na to, że coś się zmieniło. Jeżeli były tu czarownice, odłożyły wszystko na swoje miejsce.

Przecisnąłem się przez jeżyny i znalazłem się na podwórzu.

Dziura też była na miejscu, ukryta pod płytą i materacem.

Więc to nie był sen.

Nie widziałem go zbyt wyraźnie. W dziurze było ciemno, roiło się od much i bił z niej smród, przyprawiający o mdłości.

Ukląknę na krawędzi.

– Żyjesz?

Nic.

– Żyjesz? Słyszysz mnie?

Odczekałem chwilę, po czym wziąłem kamyk i rzuciłem w niego. Trafiłem go w stopę. W stopę chudą i wąską, z czarnymi palcami. W stopę, która nie mszyła się ani na milimetr.

Nie żył. I mógłby się stamtąd podnieść, tylko gdyby polecił mu to Jezus we własnej osobie.

Dostałem gęsiej skórki.

Nieżywe psy i koty nie robiły na mnie takiego wrażenia. Sierść ukrywa śmierć. Te zwłoki natomiast, takie białe, z jednym ramieniem odrzuconym na bok, z głową opartą o ścianę, przyprawiły o dreszcz. Nie było krwi, niczego. Tylko ciało bez życia w dziurze na końcu świata.

Nie pozostało w nim nic ludzkiego.

Musiałem zobaczyć jego twarz. Twarz jest najważniejsza. Z twarzy można wyczytać wszystko.

Ale myśl o zejściu na dół przerażała mnie. Mógłbym odwrócić go kijem. Potrzebny był długi kij. Poszedłem do stajni i znalazłem tam kołek, ale był za krótki. Wróciłem. Na podwórze wychodziły małe drzwi, zamknięte na klucz. Spróbowałem je wypchnąć, ale chociaż były w złym stanie, trzymały się mocno. Ponad drzwiami było okienko. Wspiąłem się po futrynie i wsunąłem do środka, głową naprzód. Starczyłoby, żeby miał parę kilogramów więcej albo tyłek Barbary i nie przecisnąłbym się.

Znalazłem się w pomieszczeniu, które widziałem, kiedy przechodziłem po belce. Były tam paczki makaronu. Otwarte puszki po pomidorach. Puste butelki po piwie. Ślady ogniska. Gazety. Materac. Kanister z wodą. Koszyk. Odniosłem wrażenie, tak jak poprzedniego dnia, że ktoś tam bywał. To pomieszczenie nie było opuszczone jak reszta domu.

Pod szarym kocem stało pudło. W nim znalazłem sznur, zakończony żelaznym haczykiem.

Mogę zejść po nim na dół, pomyślałem.

Zabrałem sznur, wyrzuciłem go na zewnątrz przez okienko i sam przez nie wyszedłem.

Na ziemi leżało zardzewiałe ramię żurawia. Przywiązałem do niego sznur. Bałem się jednak, że się rozwiąże i że zostanę w dziurze razem z trupem. Zrobiłem trzy węzły, takie jak te, którymi tato przywiązywał plandekę ciężarówki. Pociągnąłem z całej siły, sznur wytrzymał. Rzuciłem go więc do dziury.

– Ja się niczego nie boję – wyszeptałem, żeby dodać sobie odwagi, ale nogi miałem miękkie, a jakiś głos wołał mi w głowie, żebym tam nie szedł.

Trupy nic nie mogą mi zrobić, powiedziałem do siebie, przeżegnałem się i zszedłem.

Wewnątrz było chłodniej.

Skóra trupa była brudna, zaskorupiała od błota i odchodów. Był rozebrany. Mojego wzrostu, ale chudszy. Skóra i kości. Sterczały mu żebra. Musiał być mniej więcej w moim wieku.

Dotknąłem jego dłoni czubkiem buta, ale pozostała bez życia. Uniosłem koc, który zakrywał mu nogi. Wokół prawej kostki owinięty był gruby łańcuch, zamknięty na kłódkę. Skóra w tym miejscu była otarta i czerwona. Jakiś przezroczysty, gęsty płyn wydzielał się z rany i ściekał na zardzewiałe ogniwa łańcucha, którego drugi koniec przykuty był do pierścienia wkopanego w ziemię.

Musiałem zobaczyć jego twarz. Ale nie chciałem dotknąć jego głowy. Przerazał mnie.

W końcu, z wahaniem, wyciągnąłem rękę, dwoma palcami uchwyciłem brzeg koca i spróbowałem odsłonić mu twarz, a wtedy trup podkulił nogę.

Zacisnąłem pięści i rozdziawiłem usta, a strach złapał mnie za jajka lodowatą dłonią.

Potem trup dźwignął się, jakby był żywy, i z zamkniętymi oczami wysunął rękę w moją stronę.

Włosy zjeżyły mi się na głowie, wrzasnąłem, odskoczyłem w tył, wpadłem na wiadro z odchodami, które rozlały się dokoła. Upadłem plecami na ziemię, krzycząc.

Trup też zaczął krzyczeć.

Miotąłem się w gównach. Potem wreszcie desperackim rzutem ciała uchwyciłem sznur i wyskoczyłem z dołu jak oszalała pchła.

Pedałowałem, przemykając pomiędzy dziurami i koleinami, ryzykując, że skręcę sobie kark, ale nie hamowałem. Serce mi pękało, płuca płonęły. Wpadłem na garb i wyrzuciło mnie w powietrze. Źle wylądowałem, za szurałem stopą po ziemi i zaciągnąłem hamulce, ale to tylko pogorszyło sprawę, przednie koło zablokowało się i wpadłem do rowu przy drodze. Pozbierałem się, wstałem na drżących nogach i przyjrzałem się sobie. Na jednym kolanie skóra była otarta do krwi, koszulka cała upaprana gównem, a skórzany pasek jednego z sandałów pękł.

Odetchnij, powiedziałem do siebie.

Odetchnąłem i poczułem, że serce uspokaja się, oddech wraca do normy i nieoczekiwanie opanowała mnie senność. Położyłem się. Zamknąłem oczy. Pod powiekami widziałem czerwień. Wciąż czułem strach, ale teraz było to ledwie pieczenie gdzieś na dnie żołądka. Słońce rozgrzewało mi wyziębione ręce. Świerszcze ćwierkały do ucha. Kolano pulsowało.

Kiedy otworzyłem oczy, maszerowały po mnie wielkie czarne mrówki.

Jak długo spałem? Mogło to być równie dobrze pięć minut jak i dwie godziny.

Wsiadłem na Gruchota i znów ruszyłem w drogę do domu. Pedałując, nadal widziałem zmarłego chłopca, który podnosił się i wyciągał do mnie ręce. Ta wychudła twarz, te zamknięte oczy, te otwarte usta migwały na przemian w mojej wyobraźni.

Teraz zdawało mi się, że to był sen. Koszmar, który utracił już siłę.

Żył. Udawał tylko martwego. Dlaczego?

Może był chory. Może był potworem.

Wilkołakiem.

Nocą zamieniał się w wilka. Trzymali go tam na łańcuchu, ponieważ był niebezpieczny. Widziałem kiedyś w telewizji film o człowieku, który w nocy przy pełni księżyca zamieniał się w wilka i napadał na ludzi. Wieśniacy zastawili pułapkę, wilk do niej wpadł, a myśliwy go zastrzelił i wtedy wilk na powrót stał się człowiekiem. To był aptekarz. A myśliwy był synem aptekarza.

Tego chłopca trzymali na łańcuchu pod płytą przywaloną ziemią, żeby nie wystawiać go na promienie księżyca.

Wilkołaków nie da się wyleczyć. A żeby je zabić, trzeba mieć srebrną kulę.

Ale wilkołaki nie istnieją.

Daj spokój z tymi potworami, Michele. Potworów nie ma. Duchy, wilkołaki, czarownice to bzdury wymyślone tylko po to, żeby straszyć takich naiwniaków jak ty. Powinieneś bać się ludzi, nie potworów, powiedział mi tato pewnego dnia, kiedy go zapytałem, czy potwory mogą oddychać pod wodą.

Ale skoro go tam ukryli, musiał być jakiś powód.

Tato wszystko mi wyjaśni.

– Tato! Tato... – Pchnąłem drzwi i wpadłem do środka. – Tato! Muszę ci coś powiedzieć... – Dalszy ciąg uwiązał mi w gardle.

Siedział na fotelu z gazetą w dłoniach i patrzył na mnie oczami ropuchy. Najgorszymi oczami ropuchy, jakie zdarzyło mi się u niego widzieć od dnia, kiedy wypilem wodę z Lourdes, myśląc, że to napój z bąbelkami. Zmiażdżył niedopałek w filiżance po kawie.

Mama siedziała na kanapie i szyła, uniosła głowę i znów ją opuściła.

Tato wciągnął powietrze przez nos i powiedział:

– Gdzieś ty był przez cały dzień? – Zlustrował mnie wzrokiem od stóp do głów. – Czy ty wiesz, jak wyglądasz? W czym się do cholery wytarzałeś? – Wykrzywił się.

– W gównie? Śmierdzisz jak świnia! I jeszcze zniszczyłeś sandały! – Spojrzał na zegarek. – Wiesz która jest godzina?

Stałem bez słowa.

– Ja ci powiem. Dwadzieścia po trzeciej. Nie pokazałeś się na obiedzie. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Pojechałem cię szukać aż do Lucignano. Wczoraj ci się upiekło, dzisiaj nie.

Kiedy był bardzo rozwścieczony, tato nie krzyczał, mówił cichym głosem. To mnie przerażało. Do dziś nie znoszę osób, które nie potrafią wyładować złości.

Wskazał mi drzwi. – Jeżeli chcesz robić, co ci się podoba, lepiej, żebyś sobie poszedł. Ja cię nie chcę. Idź sobie.

– Poczekaj, muszę ci coś powiedzieć.

– Ty nic nie musisz mi mówić, musisz wyjść tymi drzwiami.

– Tato, to ważne... – błagałem.

– Jeżeli nie wyjdiesz w ciągu trzech sekund, wstanę z tego fotela i zapędzę cię kopniakami aż do tablicy Skośnej Wody. – I nagle podniósł głos. – Wynoś się!

Kiwnąłem potakująco głową. Zbierało mi się na płacz. Oczy wypełniły się łzami, otworzyłem drzwi i zszedłem po schodach. Wsiadłem znowu na Gruchota i pojechałem nad strumień.

Strumień był zawsze wyschnięty, z wyjątkiem zimy, kiedy mocno padało. Wił się wśród żółtych pól niczym długi wąż albinos. Koryto tworzyły białe ostre kamienie, rozpalone skały i kępki traw. Po odcinku wciśniętym między dwa wzgórza strumień rozszerzał się i tworzył staw, który latem wysychał, zamieniając się w czarną kałużę.

Nazywaliśmy go jeziorem.

Nie było w nim ryb ani kijanek, tylko larwy komarów i owady biegające po powierzchni. Jeżeli wsadziłeś tam stopę, wyciągałeś ją pokrytą czarnym, cuchnącym błotem.

Chodziliśmy tam z powodu chleba świętojańskiego.

Drzewo było wielkie, stare i łatwo się na nie wspinało. Marzyliśmy, że zbudujemy na nim chatę. Z drzwiami, dachem, sznurową drabinką i całą resztą. Tylko że nigdy nie zdołaliśmy znaleźć tyczek, gwoździ, pomysłu. Czacha zamocował tam kiedyś siatkę z łózka. Ale była okropnie niewygodna. Drapała. Rozdzierała ubrania. A jeżeli ktoś za bardzo się wiercił, mógł nawet spaść.

Od jakiegoś czasu nikt już nie wchodził na chleb świętojański. Ja natomiast wciąż go lubiłem. Dobrze mi było siedzieć tam w górze, ukrywając się wśród liści. Widok rozpościerał się daleko, można się było czuć jak na szczycie masztu jakiegoś statku. Skośna Woda była plamką, kropką zagubioną w pszenicy. I można było obserwować drogę do Lucignano. Widziałem stamtąd zieloną plandekę ciężarówki ojca wcześniej niż ktokolwiek inny.

Wdrapałem się na moje zwykłe miejsce, grubą rozwidloną gałąź, na której siedziało się okrakiem, i postanowiłem już nigdy nie wrócić do domu.

Skoro tato mnie nie chce, skoro mnie nienawidzi, to trudno, nieważne, zostanę tutaj. Mogę żyć bez rodziny, jak sierota.

Ja cię nie chcę. Wynoś się!.

Dobrze, powiedziałem sobie. Ale zobaczysz, że kiedy nie wrócę, będzie ci żal. I wtedy przyjdiesz tutaj i będziesz mnie z dołu prosił, żebym wrócił, ale ja nie wrócę i będziesz mnie błagał, a ja nie wrócę i zrozumiesz, że nie miałeś racji i że twój syn już nie wróci i będzie mieszkał na drzewie.

Zdjąłem koszulkę, oparłem się plecami o pień i z rękoma pod głową patrzyłem na wzgórze tamtego chłopca. Było daleko, u kresu równiny, a obok niego zachodziło słońce. Pomarańczowa tarcza, która barwiła na różowo chmury i niebo.

– Michele, złaż!

Obudziłem się i otworzyłem oczy.

Gdzie jestem?

Minęło trochę czasu, zanim zrozumiałem, że tkwię na chlebie świętojańskim.

– Michele!

Pod drzewem, na swoim dziecięcym rowerku siedziała Maria. Ziewnąłem. – Czego chcesz? – Przeciągnąłem się. Kręgosłup bolał jak połamany.

Zsiadła z roweru. – Mama powiedziała, że masz wracać do domu.

Włożyłem koszulkę. Zaczynało robić się chłodniej. – Nie. Już nie wrócę, powiedz im. Zostanę tutaj!

– Mama powiedziała, że kolacja jest gotowa.

Zrobiło się późno. Było jeszcze widno, ale za pół godziny zapadnie noc. Nie bardzo mi się to podobało.

– Powiedz jej, że już nie jestem ich synem i że tylko ty jesteś ich córką.

Moja siostra zmarszczyła brwi. – I moim bratem też już nie jesteś?

– Nie.

– Czyli mam pokój tylko dla siebie i komiksy też mogę sobie zabrać?

– Nie, to nie ma nic do rzeczy.

– Mama powiedziała, że jak nie wrócisz, to ona tu przyjdzie i wieje ci kijem. – Machnęła na mnie ręką, żebym zszedł.

- Co z tego. I tak nie da rady wleźć na drzewo.
- Właśnie, że da radę. Mama umie się wspinać.
- To będę w nią rzucał kamieniami.

Wsiadła na rower. – Uważaj, bo będzie zła.

- Tato gdzie jest?
- Nie ma go.
- A gdzie jest?
- Pojechał. Wróci późno.
- Dokąd pojechał?
- Nie wiem. Złazisz?

Byłem strasznie głodny. – Co jest do jedzenia?

- Tłuczone ziemniaki z jajkiem – powiedziała, odjeżdżając.

Tłuczone ziemniaki z jajkiem. Bardzo lubiłem jedno i drugie. Zwłaszcza kiedy je mieszałem ze sobą i stawały się pyszną papką.

Zeskoczyłem z drzewa. – No dobra, wracam, ale to ostatni raz.

Przy kolacji nikt się nie odzywał.

Jakby w domu był nieboszczyk. Ja i siostra jedliśmy przy stole.

Mama zmywała naczynia. – Jak skończycie, marsz do łóżka i ani mru-mru.

- A telewizja?
- Żadnej telewizji. Niedługo wróci ojciec i jak was tu zastanie, będą kłopoty.
- Bardzo jest jeszcze zły?
- Bardzo.
- Co powiedział?

– Powiedział, że jeżeli dalej tak się będziesz zachowywał, w przyszłym roku zawiezie cię do zakonników.

Kiedy tylko robiłem coś nie tak, tato zaraz chciał mnie oddać do zakonników.

Salvatore jeździł czasem z matką do klasztoru św. Błażeja, gdzie jego wuj był bratem gwardianem. Zapytałem kiedyś Salvatora, jak to jest u tych zakonników.

– Gówniane życie – odpowiedział. – Modlisz się przez cały dzień, a wieczorem zamykają cię w celi i jak ci się chce sikać, to nie możesz, i każą ci chodzić w sandałach, nawet kiedy jest zimno.

Nienawidziłem zakonników, ale wiedziałem, że do nich nie pójde, ponieważ tato nienawidził ich jeszcze bardziej i mówił, że to świnię.

Włożyłem talerz do zlewu. – Tacie już nigdy nie przejdzie?

Mama uspokoiła mnie: – Jak zobaczy, że śpisz, to mu przejdzie.

Mama nigdy nie siadała z nami do stołu.

Podawała nam, a sama jadła na stojąco. Talerz stawiała na lodówce. Mówiła mało i zawsze była na nogach. Wszystko robiła na stojąco. Gotowała. Prała. Prasowała. Nie stała tylko, kiedy kładła się spać. Telewizja ją nudziła. Kiedy była zmęczona, padała na łóżko jak nieżywa.

W czasach, kiedy rozgrywa się ta historia, mama miała trzydzieści trzy lata. Była jeszcze ładna. Miała długie czarne włosy, które sięgały jej do połowy pleców i nosiła je rozpuszczone. Oczy ciemne i wielkie, w kształcie migdału, duże usta, zęby mocne i białe, ostro zakończony podbródek. Wyglądała jak Arabka. Była wysoka, kształtna, z dużym biustem, cienką talią, siedzeniem, które aż kusilo, żeby je pomacać, i rozłożystymi biodrami.

Kiedy szliśmy na targ do Lucignano, widziałem, jak mężczyźni wlepiają w nią wzrok. Widziałem, jak sprzedawca owoców szturchał łokciem handlarza z sąsiedniego stoiska i obaj

gapili się na jej pupę, a potem wznosili głowy ku niebu. Ja trzymałem ją za rękę, czepiałem się jej spódnicy.

Jest moja, zostawcie ją w spokoju, miałem ochotę zawołać.

– Teresa, ty sprowadzasz grzeszne myśli – mawiał do niej Severino, ten który jeździł cysterną.

Mamy to wszystko nie obchodziło. Nie widziała tego. Te żarłoczne spojrzenia spływały po niej. Te zerkania w dekolt jej sukienki ani ją grzały, ani ziębiły.

Nie była kokietką.

Zaduch odbierał oddech. Leżeliśmy w łózkach. W ciemności.

– Wiesz, jaki owoc ma w sobie zwierzę? – zapytała Maria.

– Jak to?

– Owoce, który ma w nazwie zwierzę.

Zacząłem się zastanawiać. – Ty wiesz?

– Tak.

– A kto ci powiedział?

– Barbara.

Nic mi nie przychodziło na myśl. – Nie ma takich.

– Są, są.

Spróbowałem. – Rybaczywka.

– Nie ma takiego owocu. Nie zgadłeś.

W głowie miałem pustkę. Powtarzałem sobie wszystkie zwierzęta, jakie znałem, i doczepiałem do nich kawałki owoców albo na odwrót, ale nic z tego nie wychodziło.

– Śliwkoń?

– Nie.

– Gruszkakal?

– Nie.

– Nie wiem. Poddaję się. Co to jest?

– Nie powiem ci.

– Musisz mi powiedzieć.

– Dobra, powiem. Jeżyna.

Palnąłem się w czoło. – Prawda! Jeżyna! Banalnie proste. Ale ze mnie kretyń...

– Dobranoc – powiedziała Maria.

– Dobranoc – odpowiedziałem.

Usiłowałem zasnąć, ale nie chciało mi się spać, wierciłem się w łóżku.

Wyjrzałem przez okno. Księżyc nie był już idealną piłką i wszędzie wokół błyszcząły gwiazdy. Tej nocy chłopiec nie mógł zamienić się w wilka. Spojrzałem w stronę wzgórze. I przez moment miałem wrażenie, że na szczycie zamajaczyło jakieś światełko.

Kto wie, co się mogło dziać w opuszczonym domu.

Może były tam czarownice, stare i gołe, stały wokół dziury i śmiały się bezzębnie, a może wyciągnęły z niej chłopca i kazały mu tańczyć i ciągnęły go za ptaszka. Może był tam ork z Cyganami i piekli go sobie na rożnie.

Nie poszedłbym w nocy tam, na górę, za żadne skarby świata. Chciałbym zamienić się w nietoperza i polecieć nad ten dom. Albo założyć tę starożytną zbroję, którą tato Salvatore trzymał przy wejściu do willi i w niej pójść na wzgórze. W takiej zbroi czarownice nic nie mogłyby mi zrobić.

Rano zbudziłem się spokojny, nie miałem złych snów. Pozostałem przez chwilę w łóżku z zamkniętymi oczami, słuchając świergotu ptaków. Potem znowu zobaczyłem chłopca, jak podnosi się i wyciąga do mnie rękę.

– Pomocy! – powiedziałem.

Jaki ja jestem głupi! To dlatego się podniósł. Prosił mnie o pomoc, a ja uciekłem.

Wyszedłem z pokoju w slipkach. Tato zakręcał właśnie ekspres do kawy. Ojciec Barbary siedział przy stole.

– Dzień dobry – przywitał mnie tato. Nie był już zły.

– Cześć, Michele – powiedział ojciec Barbary. – Jak się masz?

– Dobrze.

Piętro Mura był niskim, grubo ciosanym mężczyzną z dużą kwadratową głową i czarnymi wąsikami, które zasłaniały mu usta. Miał na sobie czarny garnitur w białe prążki, a pod spodem podkoszulek. Przez długie lata prowadził zakład fryzjerski w Lucignano, ale biznes nigdy nie szedł mu za dobrze, a kiedy otworzyli nowy salon z manikiurem i modnym strzyżeniem, zamknął interes i teraz zajmował się rolnictwem. Ale w Skośnej Wodzie nadal wszyscy mówili na niego fryzjer.

Jeżeli potrzebowałeś ściąć włosy, szedłeś do niego do domu. Sadzał cię w kuchni, w słońcu, obok klatki ze szczygłami, otwierał swoją skrzyneczkę i wyciągał zwiniętą szmatkę, w której trzymał grzebienie i dobrze naoliwione nożyczki.

Piętro Mura miał palce grube i krótkie jak cygara tokańskie, ledwie mieściły się w uchwytach nożyczek, a zanim przystąpił do strzyżenia, rozsuwał ostrza i wodził ci nimi nad głową, w przód i w tył, niczym różdżkarz. Mówił, że w ten sposób może odczytać twoje myśli, czy są dobre, czy złe.

Ja, kiedy tak robił, starałem się myśleć tylko o miłych rzeczach, jak lody, spadające gwiazdy albo o tym, jak bardzo kocham mamę.

Przyjrzał mi się i zapytał: – Zamierzasz zostać kudłaczem?

Pokręciłem przecząco głową.

Tato nalał kawę do odświeżonych filiżanek.

– Wczoraj mnie zdenerwował. Jak dalej tak będzie robił, oddam go do zakonników.

Fryzjer zapytał mnie: – Wiesz, jak strzygą włosy zakonnicy?

– Z dziurą na środku.

– Zgadza się. Czyli lepiej bądź grzeczny.

– No już, ubieraj się i jedz śniadanie – nakazał mi tato. – Mama zostawiła ci chleb i mleko.

– Dokąd poszła?

– Do Lucignano. Na targ.

– Tato, muszę ci coś powiedzieć. Coś ważnego. Włożył marynarkę. – Powiesz mi wieczorem. Teraz wychodzę. Obudź siostrę i podgrzej mleko. – Jednym łykiem dokończył kawę.

Fryzjer wypił swoją i obaj wyszli z domu.

Przygotowałem śniadanie dla Marii, a potem wyszedłem na drogę.

Czacha i inni kopali w słońcu piłkę.

Togo, czarno-biały kundelek, biegał za piłką i wpadał wszystkim pod nogi.

Togo pojawił się w Skośnej Wodzie na początku lata i został adoptowany przez całą wioskę. Urządził sobie legowisko w stodole ojca Czachy. Wszyscy dawali mu resztki jedzenia i zrobił się z niego grubas z brzuchem wzdętym, jak bęben. Był miłym psiakiem, kiedy się go głaskało albo brało do domu, wrzusał się, przykucał i robił siusiu.

– Idź na bramkę – krzyknął do mnie Salvatore.

Zająłem miejsce. Nikt nie lubił być bramkarzem. Ja tak. Może dlatego, że ręce miałem sprawniejsze niż nogi. Lubiłem wyskakiwać, rzucać się szczupakiem, turlać w kurzu. Bronić karne.

Inni chcieli tylko strzelić gola.

Tego rana puściłem ich sporo. Piłka wymykała mi się albo dobiegałem za późno. Byłem roztargniony.

Salvatore podszedł do mnie. – Michele, co z tobą?

– Bo co?

– Grasz beznadziejnie.

Splunąłem w dłonie, rozłożyłem ręce i rozstawiłem szeroko nogi, a oczy zmrużyłem jak Zoff. – Teraz obronę. Obronę wszystkie.

Czacha zmylił Rema i wymierzył solidnego kopa w środek bramki. Piłka silna, ale łatwa, z tych, które można odbić pięścią albo złapać, przyciskając do brzucha. Starąłem się ją chwycić, ale wysliznęła mi się z rąk.

– Gol! – wrzasnął Czacha, wznosząc pięść do góry, jakby strzelił bramkę Juventusowi.

Wzgórze mnie przyzywało. Mogłem jechać. Rodziców nie było. Wystarczy, żebym wrócił przed obiadem.

– Nie chce mi się grać – powiedziałem i odszedłem.

Salvatore dogonił mnie. – Gdzie się wybierasz?

– Nigdzie.

– Przejedziemy się?

– Później. Teraz mam coś do zrobienia.

Uciekłem i wszystko zostawiłem.

Płyta rzucona na bok razem z materacem, odsłonięty dół i zwisający do niego sznur.

Jeżeli przyszli tu strażnicy dziury, zobaczyli, że ich tajemnica została odkryta, i drogo każą mi za to zapłacić. A jeżeli już go tam nie ma?

Musiałem zdobyć się na odwagę i zajrzeć.

Nachyliłem się.

Leżał zawinięty w koc.

Przybrałem łagodny ton. – Cześć... Cześć... Cześć... To ja, ten co wczoraj. Zszedłem na dół, pamiętasz?

Żadnej odpowiedzi.

– Słyszysz mnie? Jesteś głuchy? – To było głupie pytanie. – Źle się czujesz? Żyjesz?

Zgiął łokieć, uniósł dłoń i coś wyszeptał.

– Co? – Nie zrozumiałem.

– Wody.

– Wody? Chce ci się pić?

Podniósł rękę.

– Poczekaj.

Gdzie mogłem znaleźć wodę? Stało tam parę wiader po farbie, ale były puste. W korycie było jej trochę, ale była zielona i roiła się od larw komarów.

Przypomniałem sobie, że kiedy tamtym razem wszedłem do domu, żeby wziąć sznur, widziałem kanister z wodą.

– Zaraz wracam – powiedziałem do niego i wcisnąłem się w okienko nad drzwiami.

Kanister był na wpół opróżniony, ale woda była czysta i nie śmierdziała. Wyglądała na dobrą.

W ciemnym kącie, na drewnianej desce, leżały puszki, kawałki świecy, garnek i puste butelki. Wybrałem jedną z nich, zrobiłem dwa kroki i zatrzymałem się. Zawróciłem i wziąłem do ręki garnek.

Był to niski garnek, emaliowany na biało, z brzegiem i uszkami pomalowanymi na granatowo, a dokoła miał szlaczek z czerwonych jabłuszek i był dokładnie taki jak ten, który mieliśmy w domu. Nasz kupiliśmy z mamą na targu w Lucignano, wybrała go Maria z całego stosu garnków, ponieważ lubiła jabłka.

Ten wyglądał na starszy. Był źle umyty i na dnie zostały przyklejone jakieś resztki. Przejechałem po nich palcem i podsunąłem go sobie pod nos.

Sos pomidorowy.

Odłożyłem garnek na miejsce, napełniłem butelkę wodą, zatkałem korkiem, zabrałem koszyk i wyszedłem na zewnątrz.

Wyciągnąłem sznur, przywiązałem do niego koszyk, a do środka wsadziłem butelkę.

– Spuszczam ci ją – powiedziałem. – Bierz.

Z kocem na grzbiecie, po omacku, odszukał butelkę w koszyku, odkorkował ją i przelał wodę do garnuszka, nie rozlewając ani kropli, potem odłożył butelkę do koszyka i szarpnął za sznur.

Jakby robił to zawsze, każdego dnia. Ponieważ nie zabierałem go, szarpnął ponownie i coś gniewnie wymamrotał.

Gdy tylko wciągnąłem koszyk na górę, spuścił głowę i nie unosząc garnuszka, zaczął pić, na czworakach jak pies. Kiedy skończył, skulił się w kącie i już się nie mszył.

Było późno.

– No to... cześć. – Zasłoniłem dziurę i odszedłem.

Pedałując w stronę Skośnej Wody, rozmyślałem o garnku, który znalazłem w chałupie.

Wydawało mi się dziwne, że był taki sam jak nasz. Nie wiem, może to dlatego, że Maria wybrała go spośród wielu innych. Jakby był jakiś szczególnie, ładniejszy, z tymi czerwonymi jabłuszkami.

Wróciłem do domu w samą porę na obiad.

– Szybko, idź umyć ręce – nakazał mi tato. Siedział przy stole obok mojej siostry. Czekali, aż mama odcedzi makaron.

Pobiegłem do łazienki, umyłem ręce mydłem, zrobiłem sobie przedziłek z prawej strony i dołączyłem do nich, podczas gdy mama napełniała talerze makaronem.

Nie używała garnka w jabłuszka. Przejrzałem umyte naczynia ustawione do wyschnięcia na zlewie, ale tam też go nie zobaczyłem. Musiał być w kredensie.

– Za parę dni przyjedzie i zatrzyma się u nas pewna osoba – oświadczył tato z kęsem w ustach. – Macie być grzeczni. Żadnych płaczów ani wrzasków. Żeby nie musiał się za was wstydzić.

– Co to za osoba? – spytałem.

Nalał sobie kieliszek wina. – Mój przyjaciel.

– Jak się nazywa? – chciała wiedzieć moja siostra.

– Sergio.

– Sergio – powtórzyła Maria. – Jakie śmieszne imię.

Pierwszy raz ktoś przyjeżdżał, żeby się u nas zatrzymać. Na Boże Narodzenie przyjeżdżali wujostwo, ale prawie nigdy nie zostawali na noc. Nie było miejsca.

– A na ile zostanie? – zapytałem.

Tato znowu napełnił sobie talerz. – Na trochę.

Mama postawiła przed nami bitki wołowe.

Była środa. A środa to dzień bitek.

Wołowych bitek, które są bardzo zdrowe i których ja i moja siostra nienawidziliśmy. Ja, z ogromnym wysiłkiem, jakoś przełykałem tę twardą i pozbawioną smaku podeszwę, ale moja siostra nie. Maria mogła żuć ją godzinami, aż zamieniała się w białą, łykowatą kulkę, która rosła jej w ustach. A kiedy już zupełnie nie dawała rady, przyklejała ją pod stołem. Tam mięso gniło. Mama nie mogła się połapać. – Skąd się bierze ten smród? Co to takiego? – Aż do dnia, kiedy wysunęła szufladę ze sztućcami i znalazła wszystkie te ohydne kulki przyczepione do desek niczym gniazda os.

Ale w tych czasach sztuczka była już odkryta.

Maria zaczęła protestować. – Nie chcę tego! Nie lubię!

Mama od razu się rozzłościła. – Maria, zjedz to mięso!

– Nie mogę. Boli mnie po nim głowa – oświadczyła moja siostra, jakby jej podano truciznę.

Mama klepnęła ją w tył głowy i Maria zaczęła się mazać.

Teraz ją wyślą do łóżka, pomyślałem.

Ale zamiast tego tato zabrał jej talerz i spojrzał mamie w oczy. – Zostaw ją, Teresa. Niech nie je. Trudno. Odłóż to.

Po jedzeniu rodzice poszli odpocząć. Dom zamienił się w piec, ale oni i tak potrafili spać.

Była to stosowna chwila, żeby poszukać garnka. Otworzyłem kredens i przejrzałem naczynia. Zajrzałem do komody, gdzie trzymaliśmy rzeczy, których już się nie używało. Wyszedłem na zewnątrz i sprawdziłem za domem, gdzie była balia, ogród warzywny i sznury z rozwieszoną bielizną. Od czasu do czasu mama myła naczynia, a potem wystawiała je na słońce, żeby wyschły.

Nic. Garnek w jabłuszka zniknął.

Siedzieliśmy pod pergolą i zabawialiśmy się pluciem do celu, czekając, aż słońce zejdzie trochę niżej, żebyśmy mogli zagrać w piłkę, kiedy zobaczyłem tatę, który schodził po schodach, ubrany w lepsze spodnie i czystą koszulę. W ręce ścisnął granatową torbę, której nigdy wcześniej nie widziałem.

Ja i Maria zerwaliśmy się i dopadliśmy go, kiedy wsiadał do ciężarówki.

– Tato, tato, gdzie jedziesz? Wyjeżdżasz? – dopytywałem się, uczepiony drzwi.

– Możemy jechać z tobą? – błagalnie zapytała moja siostra.

Dobrze by nam zrobiła jakaś fajna przejażdżka ciężarówką. Oboje pamiętaliśmy jeszcze ten raz, kiedy zabrał nas na pizzę i ciastka z kremem.

Włączył silnik. – Przykro mi, dzieciaki. Dzisiaj nie.

Usiłowałem wślizgnąć się do kabiny. – A mówiłeś, że już nie będziesz wyjeżdżał, że zostaniesz w domu...

– Niedługo wrócę. Jutro albo pojutrze. Złazcie, no już. – Spieszył się. Nie miał ochoty na dyskusje.

Moja siostra próbowała jeszcze nalegać. Ja nie, i tak na nic by się to zdało.

Patrzyliśmy, jak oddalał się w tumanach kurzu, za kierownicą swojego wielkiego zielonego pudła.

Zbudziłem się w nocy.

Nie z powodu snu. Z powodu hałasu.

Pozostałem tak, z zamkniętymi oczami, nasłuchując.

Zdawało mi się, że jestem nad morzem. Słyszałem je. Tyle że było to morze z żelaza, leniwy ocean śrub, śrubek i gwoździ, który muskał brzeg plaży. Powolne fale żelastwa załamywały się, tworząc ciężką kipieli, która na przemian zasłaniała i odsłaniała ich grzbiety.

Z dźwiękiem tym mieszało się rozpaczliwe wycie i skowyt stada psów, ponury i fałszujący chór, który nie tłumiał hałasu żelaza, ale go nasilał.

Wyjrzałem przez okno. Kombajn sunął ze zgrzytaniem po grzbiecie jednego z pagórków, zalany promieniami księżyca. Przypominał ogromnego konika polnego z metalu, z dwójgiem małych, świecących oczek i szeroką paszczą z ostrzy i kolców. Mechaniczny owad, który pożerał pszenicę i zostawiał kupy ze słomy. Pracował nocą, ponieważ za dnia było zbyt gorąco. To on wydawał odgłosy morza.

Wycie. Wiedziałem, skąd pochodziło.

Z psiej zagrody ojca Czachy. Italo Natale zbudował niegdyś za domem blaszany barak i trzymał w nim zamknięte psy myśliwskie. Były tam zawsze, latem i zimą, za metalową siatką. Rano, kiedy ojciec Czachy zanosił im jedzenie, szczekały.

Tej nocy, kto wie dlaczego, zaczęły wyć wszystkie naraz.

Spojrzałem w stronę wzgórza. Tato tam był. Zawiózł bitkę mojej siostry chłopcu, to dlatego udawał, że wyjeżdża i dlatego miał ze sobą torbę, żeby ją w niej schować.

Przed kolacją otworzyłem lodówkę i mięsa już nie było.

– Mamo, gdzie jest bitka?

Spojrzała na mnie zdumiona. – Nagle smakuje ci mięso?

– Tak.

– Nie ma. Zjadł ją ojciec.

To nie była prawda. Zabrał ją dla chłopca.

Bo chłopiec był moim bratem.

Jak Nunzio Scardaccione, starszy brat Salvatore. Nunzio nie był groźnym wariatem, ale ja i tak nie mogłem na niego patrzeć. Bałem się, że jego szaleństwo pomiesza mi rozum. Nunzio wyrывał sobie włosy rękami i zjadał je. Głowę miał całą w ranach i strupach i się ślinił. Jego matka zakładała mu czapkę i rękawiczki, żeby nie wyrывał sobie włosów, ale wtedy on zaczynał gryźć się do krwi po rękach. W końcu zabrali go i wywieźli do domu wariatów. Ucieszyło mnie to.

Mogło być tak, że chłopiec w dziurze był moim bratem, że urodził się zwariowany jak Nunzio i tato ukrył go tam, żeby nie przestraszyć mnie i siostry. Żeby nie przestraszyć dzieci ze Skośnej Wody.

Może ja i on byliśmy bliźniakami. Byliśmy tego samego wzrostu i zdawało mi się, że mamy po tyle samo lat.

Kiedy się urodziliśmy, mama wyjęła nas obu z kołyski, usiadła na krześle i podała nam piersi do buzi, żebyśmy napili się mleka. Ja zacząłem ssać, a on, zamiast tego, ugryzł ją w sutek, usiłował jej go wyrwać, krew i mleko spływały po piersi i mama krzyczała na cały dom: – To wariat! To wariat! Pino, zabierz go! Zabierz! Zabij go, to wariat.

Tato wsadził go do worka i zaniósł na wzgórze, żeby go zabić, położył na ziemi, w pszenicy, i już miał pchnąć nożem, ale nie dał rady, to był przecież jego syn, wykopał więc dziurę, przykuł go w niej łańcuchem i tam wychował.

Mama nie wie, że on żyje.

Ja tak.

Zbudziłem się wcześniej. Pozostałem w łóżku, podczas gdy słońce zaczynało się rozpałać. Dłużej nie wytrzymałem. Mama i Maria jeszcze spały. Wstałem, umyłem zęby, spakowałem do teczki ser i chleb i wyszedłem.

Uznałem, że za dnia na wzgórzu nie było niebezpiecznie, tylko nocą działy się tam złe rzeczy.

Tego rana pojawiły się chmury. Przesuwały się szybko po wyblakłym niebie, rzucając ciemne plamy na pola pszenicy i trzymały zazdrośnie swój deszcz, zabierając go nie wiadomo dokąd.

Śmigałem przez wyludnioną okolicę na Gruchocie, kierując się do tamtego domu.

Jeżeli znajdę w dziurze choćby odrobinę bitki, to znaczy, że ten chłopiec jest moim bratem.

Byłem już prawie na miejscu, kiedy na horyzoncie pojawił czerwony tuman kurzu. Niski. Szybki. Chmura pędząca przez zboże. Tuman kurzu, jaki wzbija samochód na polnej drodze wypalanej przez słońce. Był daleko, ale dotarcie do mnie nie mogło zająć mu wiele czasu. Już słyszałem terkot silnika.

Jechał z opuszczonego domu. Ta droga prowadziła tylko tam. Samochód skręcił powoli i znalazł się naprzeciw mnie.

Nie wiedziałem, co robić. Gdybym zawrócił, dogoniłby mnie, gdybym pojechał dalej, też by mnie zobaczył. Musiałem szybko coś wymyślić, bo się zbliżał. Może już mnie zauważył. Jeżeli jeszcze mnie nie widział, to tylko przez tę czerwoną chmurę, która go otaczała.

Zawróciłem rower i zacząłem pedałować, usiłując oddalić się najszybciej, jak to możliwe. Na próżno. Im mocniej dociskałem pedały, tym bardziej rower się potykał, tracił równowagę i odmawiał dalszej jazdy. Odwracałem się i widziałem za moimi plecami coraz większą chmurę pyłu.

Schowaj się, powiedziałem do siebie.

Skręciłem gwałtownie, rower stanął dęba na jakimś kamieniu i poleciałem, jak ukrzyżowany, w pszenicę. Samochód był dwieście metrów ode mnie.

Gruchot leżał przy samej drodze. Chwyciłem przednie koło i przyciągnąłem go do siebie. Przywarłem do ziemi. Bez oddechu. Nie poruszając żadnym mięśniem. Modląc się do Dzieciątka Jezus, żeby mnie nie spostrzegli.

Dzieciątko Jezus wysłuchało prośby.

Wyciągnięty w zbożu, z bąkami, które ucztowały na mojej skórze, i dłońmi wbitymi w rozpalone skiby, widziałem, jak przemyka przede mną brązowy fiat 127.

Samochód Felice Natale.

Felice Natale był starszym bratem Czachy. I o ile Czacha był zły, to Felice był tysiąc razy gorszy.

Felice miał dwadzieścia lat. Kiedy mieszkał w Skośnej Wodzie, życie dla mnie i innych dzieci było piekłem. Bił nas, dziurawił nam piłkę i kradł różne rzeczy.

Nieszczęsny był z niego typ. Bez jednego przyjaciela, bez kobiety. Taki, co to wyżywa się na młodszych, dusza pokutująca. I można to było zrozumieć. Żaden dwudziestolatek nie mógłby żyć w Skośnej Wodzie, chyba że chciałby skończyć jak Nunzio Scardaccione, wyrwać włosów. Felice siedział w Skośnej Wodzie jak tygrys w klatce. Krążył pomiędzy tymi czterema domami wściekły, rozdrażniony, gotów dać ci wycisk. Całe szczęście, że od czasu do czasu wynosił się do Lucignano. Ale i tam nie znalazł sobie przyjaciół. Kiedy wychodziłem ze szkoły, widziałem go, jak siedzi samotnie na ławce w rynku.

Tamtego roku modne były spodnie dzwony, obcisłe kolorowe koszulki, kożuszki i długie włosy. Felice nie, on włosy strzygł krótko i zaczesywał do tyłu, używając brylantyny, golił się dokładnie i chodził w wojskowych kurtkach i spodniach moro. I wiązał chusteczkę wokół szyi. Włóczył się tym swoim fiatem 127, lubił broń i opowiadał, że służył w brygadzie spadochronowej w Pizie i skakał z samolotów. Ale to nie była prawda. Wszyscy wiedzieli, że zaliczył wojsko w Brindisi. Rysy twarzy miał zastrzone niczym barakuda, a do tego małe ząbki, rzadkie jak u nowo narodzonego krokodyla. Kiedyś powiedział nam, że są takie dlatego, że to jeszcze zęby mleczne. Nie zmienił ich na dorosłe. Dopóki nie otworzył ust, wydawał się prawie ładnym chłopcem, ale kiedy rozdziawił paszczę, kiedy się śmiał, aż człowieka cofało. A jeżeli cię przyłapał, że patrzysz na jego zęby, to źle było z tobą.

Potem pewnego szczęśliwego dnia, nic nikomu nie mówiąc, wyjechał.

Jeżeli pytało się Czachę, dokąd też udał się jego brat, odpowiadał: Na Północ. Do pracy.

Wystarczało nam to w zupełności.

A teraz pojawił się na nowo jak trujące zielsko. Tym swoim fiacikiem w kolorze sraczki. I nadjeżdżał od strony opuszczonego domu.

To on uwięził chłopca w dziurze. Już wiadomo, kto go tam wsadził.

Ukryty między drzewami, sprawdziłem, czy w dolince nikogo nie ma.

Kiedy upewniłem się, że jestem sam, opuściłem zagajnik i wszedłem do domu, przeciskając się jak zwykle przez okienko. Oprócz paczek makaronu, butelek po piwie, garnka w jabłuszka na podłodze leżało parę pustych puszek po tuńczyku. A w kącie zwinięty wojskowy śpiwór.

Felice. Należał do niego. Wyobraziłem go sobie, jak okutany w swój śpiwór, cały zadowolony, zajada tuńczyka.

Nalałem wody do butelki, wziąłem sznur ze skrzynki, wyniosłem go na zewnątrz, przywiązałem do ramienia żurawia, odsunąłem płytę z materacem i spojrziałem w dół.

Leżał zwinięty w kłębek jak jeżozwierz, otulony brązowym kocem.

Nie miałem ochoty schodzić na dół, ale musiałem sprawdzić, czy były tam resztki bitki wołowej po mojej siostrze. Chociaż widziałem, jak Felice zjeżdża ze wzgórza, nie potrafiłem pozbyć się myśli, że ten chłopiec może być moim bratem.

Wyjąłem ser i zapytałem go: – Mogę zejść? To ja, ten od wody. Pamiętasz? Przyniosłem ci jedzenie. *Caciottę*. Dobra jest *caciotta*. Lepsza, tysiąc razy lepsza od bitki. Jeżeli się na mnie nie rzucisz, to d ją dam.

Nie odpowiedział.

– No jak, mogę zejść?

Felice mógł poderżnąć mu gardło.

– Rzucę ci *caciottę*. Łap. – Rzuciłem ser w jego stronę.

Upadł niedaleko.

Ręka, czarna i szybka jak tarantula, wyskoczyła spod koca i zaczęła macać ziemię aż odnalazła ser, porwała go i ukryła. Kiedy jadł, nogi drżały mu jak kundlowi, który znalazł resztki befsztyka po dziesięciu dniach głodówki.

– Wodę też mam... Znieść ci ją?

Machnął ręką.

Opuściłem się na dół.

Gdy tylko poczuł, że jestem tuż obok, wcisnął się w ścianę.

Rozejrzałem się wokół, nie było śladu bitki.

– Nic ci nie zrobię. Chcesz pić? – Podałem mu butelkę. – Pij, jest dobra.

Usiadł, nie zrzucając z siebie koca. Wyglądał jak mały duszek łachmaniarz. Chude nogi sterczały na podobieństwo białych, zasuszonych gałązek Jedna przykuta do łańcucha. Wysunął rękę, wyrwał mi butelkę i ona też, tak jak ser, zniknęła pod kocem.

Duchowi wyrósł nos długi jak u mrówkojada. Pił.

Opróżnił ją całą w dwadzieścia sekund, a kiedy skończył, nawet mu się odbiło.

– Jak się nazywasz? – zapytałem go.

Zwinął się na powrót, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć.

– Jak się nazywa twój ojciec?

Czekałem na próżno.

– Mój ojciec ma na imię Pino, a twój? Twój też ma na imię Pino?

Zdawał się spać.

Stałem, przyglądając mu się, a potem wypaliłem:

– Felice! Jego chyba znasz? Widziałem go. Jechał na dół samochodem... – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Chcesz żebym poszedł? Jak chcesz, to idę. – Nic.

– Dobrze, idę. – Chwyciłem sznur. – No to cześć...

Dosłyszałem jakiś szept, jakieś westchnienie, coś dobiegło spod koca.

Podszedłem bliżej. – Mówiłeś coś?

Znowu zaszeptał.

– Nie rozumiem. Mów głośniej.

– Szopy...! – wrzasnął.

Podskoczyłem.

– Szopy? Jak to, szopy?

Ściszył głos.

– Szopy pracze...

– Szopy pracze?

– Szopy pracze. Takie jakby niedźwiadki. Jeżeli zostawisz otwarte okno w kuchni, szopy pracze wejdą do środka i ukradną ciastka albo herbatniki, zależy, co się je tego dnia – powiedział bardzo poważnie. – Jeżeli na przykład zostawisz śmieci przed domem, szopy pracze przyjdą w nocy i je zjedzą.

Był jak zepsute radio, które niespodziewanie wznowiło transmisję.

– To bardzo ważne, żeby dobrze zamknąć kubeł, bo inaczej wszystko z niego wyrzucą.

O czym on mówi? Próbowałem mu przerwać.

– Tutaj nie ma niedźwiedzi. Ani wilków. Są lisy. – A potem zapytałem: – Wczoraj nie jadłeś przypadkiem bitki wołowej?

– Szopy pracze gryzą, ponieważ boją się człowieka.

– Możesz mi powiedzieć, z łaski swojej, czy wczoraj wieczorem jadłeś bitkę? – nalegałem. To bardzo ważne.

A on mi odpowiedział:

– Szopy powiedziały mi, że ty się nie boisz pana od robaków.

A cóż to do cholery takiego, te szopy pracze? I co one piorą? Ubrania? A poza tym niedźwiedzie mówią tylko w komiksach. Nie podobała mi się ta historia z piorącymi miškami.

Jakiś głosik w mózgu ostrzegał mnie, że nie powinienem go słuchać, że powinienem stąd uciekać.

Uczepiłem się sznura, ale nie mogłem odejść, wpatrywałem się w niego jak urzeczoną.

– Ty się nie boisz pana od robaków – powtórzył.

– Pana od robaków? A kto to jest?
– Pan od robaków mówi: Ej, smarkaczu! Teraz ci coś spuszczę. Zabierz to i oddaj mi wiadro. Jak nie, zejść tam i rozdepczę cię jak robaka. Tak, rozdepczę cię jak robaka. Ty jesteś anioł stróż?
– Co takiego?
– Jesteś aniołem stróżem?
– Ja... Ja, nie... Ja nie jestem aniołem... – wymamrotałem.
– Ty jesteś aniołem. Masz taki sam głos.
– Jakim aniołem?
– Tym, który mówi, który opowiada różne rzeczy.
– To nie szopy pracze mówią? – Nie mogłem znaleźć sensu w tym bredzeniu. – Sam mi tak powiedziałeś...
– Szopy mówią, ale czasami kłamią. Anioł zawsze mówi prawdę. Ty jesteś anioł stróż. – Podniósł głos. – Mnie możesz to powiedzieć.
Było mi słabo. Smród odchodów zatykał mi usta, nos, mózg. – Ja nie jestem żadnym aniołem... Jestem Michele, Michele Amitrano. Nie jestem żadnym...
– wymamrotałem, oparłem się o ścianę i osunąłem na ziemię, a on wstał, wyciągnął do mnie ręce jak trędowaty, który prosi o litość i przez krótką chwilę utrzymał się na nogach, potem zrobił krok i upadł na kolana, okryty kocem, u moich stóp.
Dotknął mojego palca, szepcząc.
Wydałem okrzyk. Jakby dotknęła mnie jakaś obrzydliwa meduza, jadowity pajak. Tą kościstą rączką, z tymi czarnymi paznokciami, długimi i zakrzywionymi.
Mówił zbyt cicho. – Co, co powiedziałeś?
– Co powiedziałeś? Umarłem! – odparł.
– Co?
– Co? Umarłem? Umarłem? Umarłem. Co?
– Mów głośniej. Głośniej... Proszę...
Krzyknął, ochryple, bezdźwięcznie, głosem piskliwym jak drapanie paznokciem po tablicy: – Umarłem? Umarłem? Umarłem.
Odnalazłem sznur i podciągnąłem się do góry, wierzgając nogami i strącając na niego ziemię. Ale on dalej krzyczał: – Umarłem? Umarłem. Umarłem?

Pedałowałem ścigany przez baki.
I przysięgałem sobie, że już nigdy, ale to nigdy, nie wrócę na to wzgórze. Nigdy więcej, choćby mi mieli oczy wydłubać, nie będę rozmawiał z tym wariatem.
Jak on, do diabła, mógł myśleć, że umarł?
Nikt, kto jest żywy, nie może myśleć, że umarł. Kiedy ktoś umarł, to umarł. I jest w niebie. Albo co najwyżej w piekle.
A jeżeli jednak miał rację?
Jeżeli naprawdę umarł? Jeżeli go wskrzesili? Kto? Tylko Jezus Chrystus może cię wskrzesić. I nikt inny. Ale czy kiedy się budzisz, wiesz, że byłeś umarły? Pamiętasz raj? Pamiętasz, kim byłeś przedtem? Wariujesz, bo twój mózg przegnił i zaczynasz gadać o szopach pracach.
To nie był mój bliźniak ani w ogóle żaden brat. I tato nie miał z nim nic wspólnego. Bitki tam nie było. Garnek nie był nasz. Nasz mama wyrzuciła.
I jak tylko tato wróci, wszystko mu opowiem. Tak jak mnie tego uczył. A on coś z tym robi.
Dotarłem już prawie do drogi, kiedy przypomniałem sobie o płycie. Uciekłem i znowu zostawiłem dziurę odsłoniętą.

Jeżeli Felice tam wróci, od razu zrozumie, że ktoś wtykał nos, gdzie nie powinien. Nie mogłem dać się przyłapać tylko dlatego, że bałem się wariata przykutego łańcuchem na dnie dziury. Gdyby Felice odkrył, że to byłem ja, powłókłby mnie za ucho.

Pewnego razu ja i Czacha weszliśmy do samochodu Felice. Udawaliśmy, że fiat 127 jest statkiem kosmicznym. On kierował, a ja strzelałem do Marsjan. Felice nas przyłapał i wyciągnął na zewnątrz, na środek drogi, wlokąc za uszy jak króliki. Płakaliśmy rozpaczliwie, ale on nie puścił. Na szczęście mama wypadła z domu i przyłożyła mu kijem.

Miałem ochotę zostawić wszystko, jak było, pędzić do domu, zamknąć się w swoim pokoju i poczytać sobie komiksy, ale zawróciłem, przeklinając sam siebie. Chmury rozwiały się i można było zdechnąć od upału. Ściągnąłem podkoszulek i obwiązałem nim sobie głowę, jak Indianin. Wziąłem kij. Jeśli spotkam Felicego, będę się bronił.

Starłem się ile to możliwe nie zbliżać do dziury, ale nie mogłem powstrzymać się od zajrzenia.

Kłęczał pod kocem z wyciągniętą ręką, w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłem.

Naszła mnie chęć, żeby skoczyć na tę przeklętą płytę i połamać ją na tysiąc kawałków, ale zamiast tego pchnąłem ją i zasłoniłem dół.

Kiedy przyjechałem, mama myła naczynia. Cisnęła patelnię do zlewu. – Patrzcie no, kto to wrócił!

Była tak wściekła, że aż drżała jej szczęka. – Można wiedzieć, gdzie się podziewasz? O mało nie umiałam ze strachu... Tamtym razem ojciec ci nie wlał. Ale teraz dostaniesz.

Nie zdążyłem nawet wymyślić jakiejś wymówki, bo zaczęła mnie gonić. Skakałem z jednej strony kuchni na drugą jak koza, podczas gdy moja siostra, siedząc przy stole, patrzyła na mnie i potrząsała głową.

– Gdzie uciekasz? Chodź tutaj!

Śmignąłem nad kanapą, przemknąłem pod stołem, przeskoczyłem fotel, ślizgiem wpadłem do swojego pokoju i schowałem się pod łóżkiem.

– Wyłaż!

– Nie. Zbijesz mnie!

– Żebyś wiedział, że cię zbiję. Jak wyjdiesz sam, mniej oberwiesz.

– Nie, nie wyjdę!

– Dobrze.

Kleszcze zacisnęły się na mojej kostce. Uczepiłem się nogi łóżka obiema rękami, ale na nic się to zdało. Mama była silniejsza od atlety i ta przeklęta żelazna noga wyśliznęła mi się z palców. Zwolniłem uchwyt i znalazłem się między jej łydkami. Spróbowałem znowu wcisnąć się pod łóżko, ale nie dała mi szansy, podciągnęła mnie za spodnie i wsadziła sobie pod pachę, jakbym był walizką.

– Puść mnie! Proszę! Puść mnie!

Usiadła na kanapie, przełożyła mnie sobie przez kolana, spuściła mi spodnie i majtki i gdy ja beczałem jak baranek, odrzuciła włosy do tyłu i zabrała się do robienia rumieńców na moich poślankach.

Mama zawsze miała ciężką rękę. Jej razy były powolne i dokładne, towarzyszył im głuchy odgłos, jakby trzepania dywanu.

– Wszędzie cię szukałam. – I raz. – Nikt nic nie widział. – I dwa. – Ty mnie zabijesz. Gdzie łazisz całymi dniami? – I trzy. – Wszyscy już myślą, że jestem złą matką. – I cztery. – Że nie umiem wychować własnych dzieci.

– Dosyć! – krzyczałem. – Dosyć! Błagam, błagam, mammo!

W radiu jakiś głos śpiewał: *Croce. Croce e delizia. Delizia al cor.*

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Przez całe życie, gdy tylko słyszałem *Traviatę*, widziałem siebie do góry tyłkiem, na kolanach mojej matki, która siedzi wyprostowana na kanapie i bije mnie zawzięcie.

– Co robimy? – zapytał Salvatore.

Siedzieliśmy na ławce i celowaliśmy kamieniami w piecyk łaźienkowy, porzucony w pszenicy. Kto trafiał, zdobywał punkt. Pozostali bawili się w chowanego dalej na drodze.

Dzień był wietrzny, ale teraz, o zmierzchu, powietrze stało nieruchomo, panował zaduch, a za polami tkwiło pasmo sinych ociążałych chmur.

Rzuciłem za daleko. – Nie wiem. Na rower nie mogę, boli mnie tyłek. Matka mnie złała.

– Dlaczego?

– Bo za późno wróciłem do domu. A ciebie matka leje?

Salvatore cisnął kamieniem i trafił z pięknym *puk* w piecyk. – Punkt! Trzy do jednego. – Potem potrząsnął głową. – Nie. Nie da rady. Jest za gruba.

– Masz szczęście. Moja matka jest strasznie silna i potrafi biegać szybciej od roweru.

Wybuchnął śmiechem. – Niemożliwe.

Wyszukałem mniejszy kamyk i rzuciłem. Tym razem prawie udało mi się trafić. – Przysięgam. Kiedyś w Lucignano mieliśmy wsiąść do autobusu. Kiedy przyszliśmy, właśnie odjechał. Mama puściła się biegiem tak szybko, że go dogoniła i zaczęła walić pięścią w drzwi. Zatrzymał się.

– Moja matka, jak pobiegnie, to umrze.

– Słuchaj – zacząłem. – Pamiętasz, jak pani Destani opowiadała nam historię o cudzie Łazarza?

– Tak.

– Według ciebie, Łazarz, kiedy ożył, wiedział, że był umarły?

Salvatore zastanowił się. – Nie, według mnie myślał, że był chory.

– Ale jak on mógł chodzić? Ciało umarłego jest całkiem sztywne. Pamiętasz tego kota, którego znaleźliśmy, jaki był sztywny.

– Jakiego kota? – wycelował i znowu trafił w piecyk. Oko miał niezawodne.

– Tego czarnego kota, przy strumieniu... Pamiętasz?

– Tak, pamiętam. Czacha przełamał go na połowę.

– Jak ktoś umrze, a potem się obudzi, to nie chodzi tak całkiem normalnie i zostaje wariatem, bo mu przegnił mózg, i opowiada dziwne rzeczy, nie sądzisz?

– Myślę, że tak.

– Według ciebie, da się ożywić umarłego, czy tylko Jezus Chrystus osobiście może to zrobić?

Salvatore podrapał się w głowę. – Nie wiem. Moja ciotka opowiadała mi taką prawdziwą historię. Pewnego razu jeden chłopak wpadł pod samochód i umarł, całkiem roztrzaskany. Ojciec nie mógł żyć, cierpiał, płakał całymi dniami, aż poszedł do czarownika i dał mu wszystkie pieniądze, żeby wskrzesił jego syna. Czarownik powiedział: Idź do domu i czekaj. Twój syn wróci dziś w nocy. Ojciec czekał, ale chłopak nie wracał, więc w końcu poszedł do łóżka. Właśnie zasypiał, kiedy usłyszał kroki w kuchni. Wstał szczęśliwy i zobaczył syna. Był cały zmasakrowany, bez ręki, głowę miał rozłupaną i wypływał z niej mózg, i mówił, że nienawidzi ojca, bo go zostawił na środku drogi, żeby iść zabawiać się z kobietami, i to jego wina, że on nie żyje.

– No i co?

- No i ojciec wziął benzynę i go podpalił.
- Dobrze zrobił. – Rzuciłem kamyk i wreszcie trafiłem. – Punkt! Cztery do dwóch. Salvatore schylił się, szukając kamienia. – Dobrze zrobił, pewnie.
- Ale według ciebie, to prawdziwa historia?
- Nie.
- Też tak myślę.

Zbudziłem się, bo chciało mi się sikać. Ojciec wrócił. Słyszałem w kuchni jego głos. Byli tam też jacyś ludzie. Sprzeczali się, przerywali sobie nawzajem, wyzywali się. Tato był bardzo zdenerwowany.

Tego wieczoru poszliśmy spać zaraz po kolacji.

Krążyłem wokół mamy jak ćma, żeby zawrzeć pokój. Zabrałem się nawet to obierania ziemniaków, ale i tak była naburmuszona przez całe popołudnie. Przy kolacji cisnęła nam talerze przed nos i jedliśmy w milczeniu, ona zaś chodziła po kuchni i wyglądała na drogę.

Moja siostra spała. Ukląknę na łóżku i wyjrzałem przez okno.

Ciężarówka była zaparkowana obok wielkiego ciemnego auta ze srebrnym pyskiem. Auta dla bogatych.

Nie mogłem dłużej wytrzymać, ale żeby dotrzeć do łazienki, musiałem przejść przez kuchnię. Wstydzilem się przy wszystkich tych ludziach, ale inaczej bym się posikał.

Wstałem i podszedłem do drzwi. Chwyciłem klamkę. – Raz, dwa, trzy... Cztery, pięć, sześć. – I otworzyłem.

Siedzieli przy stole.

Italo Natale, ojciec Czachy. Piętro Mura, fryzjer. Angela Mura. Felice. Tato. I jeden staruch, którego wcześniej nie widziałem. To musiał być Sergio, przyjaciel ojca.

Palili. Twarze mieli czerwone i zmęczone, a oczy malutkie.

Cały stół zakrywały puste butelki, popielniczki pełne petów, paczki nazionali i milde sorte, okruchy chleba. Wentylator obracał się, ale nic to nie dawało. Można było umrzeć z gorąca. Telewizor był włączony, z wyciszonym głosem. Zapach pomidorów mieszał się z wonią potu i kadzidła owadobójczego.

Mama przyrządzała kawę.

Spojrzałem na starego, który wyciągał z paczki dunhilla.

Potem dowiedziałem się, że nazywał się Sergio Materia. W tamtych czasach liczył sobie sześćdziesiąt siedem lat, a pochodził z Rzymu, gdzie dwadzieścia lat wcześniej stał się sławny z powodu włamania do sklepu z futrami na Monte Mario i napadu na centralę Banku Rolnego. Tydzień po napadzie kupił sobie bar z rożnem przy piazza Bologna. Zamierzał w ten sposób wyprać brudne pieniądze, ale karabinierzy zgarnęli go dokładnie w dniu otwarcia. Posiedział niemało w więzieniu, potem wyszedł na wolność za dobre sprawowanie i wyemigrował do Ameryki Południowej.

Sergio Materia był chudy. Z łysą głową. Tylko nad uszami wyrastały mu żółtawe włosy, które wiązał z tyłu w kucyk. Miał długi nos, głęboko osadzone oczy i siwy zarost, co najmniej kilkudniowy, który rozlewał się jak plama po zapadniętych policzkach. Brwi długie i jasne wyglądały jak kępki sierści przyklejone do czoła. Szyja pomarszczona, usiana plamami, jakby ktoś mu ją ochlapał wybielaczem. Miał na sobie błękitny garnitur i koszulę z brązowego jedwabiu. Złote okulary przesunięte do tyłu, na błyszczącą łysinę. I złoty łańcuch z wisiosem w kształcie słońca połykiwał wśród włosów na piersi. Na ręce nosił zegarek z litego złota.

Był wściekły. – Od samego początku robiliście błąd za błędem. – Mówił jakoś dziwnie. – A ten tutaj to kutas... – Wskazał na Felice. Patrzył na niego z wyrazem twarzy, z jakim się patrzy na psią kupę. Sięgnął po wykałaczkę i zaczął dłużyć sobie w żółtych zębach.

Felice siedział pochylony nad stołem i widelcem rysował wzory na obrusie. Wyglądał identycznie jak jego brat, kiedy skrzyczała go matka.

Stary podrapał się po szyi. – Mówiłem tamtym, że nie można na was polegać. Jesteście do niczego. To był chujowy pomysł. Robicie bzdety za bzdetami. Igracie z ogniem. – Cisnął wykałaczkę na talerz. – Idiota ze mnie! Siedzę tu i tracę czas... Gdyby sprawy poszły jak należy, teraz powinienem być już w Brazylii, a zamiast tego siedzę tutaj, w tej zasranej dziurze.

Tato spróbował oponować. – Sergio, posłuchaj... Uspokój się.... Sprawa nie jest jeszcze...

Ale stary uciszył go. – Jaka, kurwa, sprawa? Ty lepiej siedź cicho, bo jesteś jeszcze gorszy od innych. A wiesz dlaczego? Bo nie masz o niczym pojęcia. Nic nie potrafisz. Taki spokojny, taki pewny, wykręciłeś jedną pierdołę za drugą. Jesteś imbecyl.

Tato szukał odpowiedzi, potem przełknął upokorzenie i spuścił wzrok.

Nazwał go imbecylem.

To było tak, jakby ktoś mnie dźgnął nożem w bok. Nikt nigdy nie mówił w ten sposób do ojca. Tato był szefem w Skośnej Wodzie. A teraz ten obleśny staruch, co przyjechał Bóg wie skąd, wymyślał mu przy wszystkich.

Dlaczego tato nie kazał mu się wynosić?

Niespodziewanie wszyscy umilkli. Siedzieli bez słowa, podczas gdy stary znów zabrał się do dłużenia w zębach, wpatrując się przy tym w żyrandol.

Stary był jak cesarz. Kiedy cesarz jest zły, wszyscy mają być cicho. Łącznie z tatą.

– Dziennik! Jest dziennik – powiedział ojciec Barbary, wierząc się na krześle. – Zaczyna się!

– Zrób głośniej! Teresa! I zgaś światło – polecił tato mamie.

W moim domu zawsze trzeba było zgasić światło, kiedy oglądało się telewizję. Obowiązkowo. Mama rzuciła się do gałki głośności, a potem do wyłącznika.

W pokoju zapanował półmrok. Wszyscy zwrócili się w stronę telewizora. Zupełnie jak wtedy, kiedy grają Włochy.

Schowany za drzwiami, widziałem, jak zamieniają się w ciemne kształty otoczone błękitną poświatą ekranu.

Dziennikarz mówił o zderzeniu dwóch pociągów w pobliżu Florencji, byli zabici, ale nikogo to nie obeszło. Mama sypała cukier do kawy. A oni dysponowali:

– Dla mnie jedna, dla mnie dwie, dla mnie bez.

– Może nie powiedzą – odezwała się matka Barbary.

– Wczoraj nie mówili. Może już ich nie interesuje.

– Zamknij się! – wysapał stary.

To był dobry moment, żeby pójść zrobić siku. Wystarczyło dotrzeć do sypialni rodziców. Stamtąd mogłem przejść do łazienki i wysikać się po ciemku.

Wyobraziłem sobie, że jestem czarną panterą. Wyszedłem z pokoju na czworakach. Brakowało mi paru metrów do zbawienia, kiedy ojciec Czachy wstał z kanapy i ruszył w moją stronę.

Przywarłem do podłogi. Italo Natale wziął papierosy ze stołu i wrócił na kanapę. Odetchnąłem z ulgą i podjąłem marsz. Drzwi były tuż, udało się, byłem na miejscu. Napięcie opadało już ze mnie, kiedy wszyscy naraz zawołali:

– Jest! Jest! – Cicho! – Bądźcie cicho!

Wyciągnąłem szyję, wyrząłem zza kanapy i o mało nie dostałem zawału.

Za dziennikarzem widać było zdjęcie chłopca.

Chłopca z dziury.

Blondynek. Cały czyściutki, uczesany, śliczny, w koszulce w kratkę, uśmiechał się, a w rękach ścisnął lokomotywę elektrycznej kolejki.

Dziennikarz ciągnął dalej. – Trwają nieprzerwanie poszukiwania małego Filippa Carducci, porwanego dwa miesiące temu w Pawii syna przemysłowca z Lombardii, Giovanniego Carducci. Karabinierzy i śledczy sprawdzają nowy ślad, który prowadzi jakoby...

Dalej nie usłyszałem.

Wrzeszczeli. Tato i stary zerwali się na równe nogi.

Chłopiec miał na imię Filippo. Filippo Carducci.

– Nadamy obecnie apel pani Luisy Carducci do porywaczy, zarejestrowany dziś rano.

– A teraz, czego ona chce, ta dziwka? – zdziwił się tato.

– Kurwa! Stara kurwa! – wycharczał z tyłu Felice.

Ojciec wymierzył mu policzek. – Stul pysk!

Włączyła się matka Barbary. – Kretyn!

– Do jasnej cholery! Dostyc tego! – krzyknął stary. – Chcę słyszeć!

Pojawiła się jakaś pani. Elegancka. Jasnowłosa. Nie była ani młoda, ani stara, ale była ładna. Siedziała w wielkim skórzanym fotelu w pokoju pełnym książek. Oczy miała błyszczące. Zaciskała splecione dłonie, jakby się bała, że jej uciekną. Pociągnęła nosem i powiedziała, patrząc nam w oczy: – Jestem matką Filippa Carducci. Zwracam się do porywaczy mojego syna. Błagam was, nie zróbcie mu krzywdy. To dobre dziecko, grzeczne i bardzo nieśmiałe. Błagam was, żebyście go dobrze traktowali. Jestem pewna, że wiecie, co to miłość i współczucie. Nawet jeżeli nie macie dzieci, na pewno możecie wyobrazić sobie, co to znaczy, kiedy ktoś wam je odbierze. Okup, którego zażądaliście, jest bardzo wysoki, ale ja i mój mąż jesteśmy gotowi oddać wam wszystko, co posiadamy, żeby tylko Filippo znów był z nami. Zagroziliście, że obetniecie mu ucho. Proszę was, błagam, nie róbcie tego... – Otarła oczy, nabrała powietrza i mówiła dalej. – Robimy wszystko, co możliwe. Proszę. Bóg wam odpłaci, jeżeli zdobędziecie się na miłosierdzie. Powiedzcie Filippowi, że jego mamusia i tatuś nie zapomnieli o nim i że go kochają.

Tato wykonał palcami ruch tnących nożyczek. – Oboje uszu mu obetniemy. Oboje.

A stary dodał: – Żebyś się suko nauczyła gadać do telewizji!

I wszyscy znowu zaczęli krzyzczeć.

Prześliznąłem się z powrotem do naszego pokoju, zamknąłem drzwi, wlałem na okno i nasikałem na dół.

To tato i pozostali porwali chłopca tamtej pani z telewizji.

Strumyk pluskał o plandekę ciężarówki, a krople migotały w świetle latami.

Uważaj Michele, nie wychodź nocą – powtarzała mi stale mama. – Kiedy jest ciemno, wyłazi czarny lud i porywa dzieci, żeby je sprzedać Cyganom.

Tato był czarnym ludem.

W dzień był dobry, ale w nocy zły.

Cała reszta to byli Cyganie. Cyganie przebrani za ludzi. I ten stary był królem Cyganów, a tato jego sługą. Mama nie, ona nie.

Wyobrażałem sobie, że Cyganie byli czymś w rodzaju bardzo szybkich krasnoludków, z uszami lisa i łapami kury. A tymczasem to byli normalni ludzie.

Dlaczego nie chcieli go jej oddać? Po co im zwariowany chłopiec? Mama Filippa cierpiała, to było widać. Jeżeli prosiła w telewizji, to znaczy, że bardzo jej zależało na synu.

A tato chciał mu jeszcze obciąć uszy.

– Co robisz? – podskoczyłem, odwróciłem się i niewiele brakowało, a nasikałbym na łóżko.

Maria obudziła się.

Schowałem siusiaka do majtek.

– Nic.

– Sikaleś, widziałam cię.

– Nie mogłem wytrzymać.

– Co tam się dzieje?

Gdybym powiedział Marii, że tato jest czarnym ludem, mogłaby nawet zwariować. Wzruszyłem ramionami.

– Nic.

– A dlaczego się kłóć?

– A tak.

– Jak tak?

– Grają w tombolę – wypaliłem.

– W tombolę?

– Tak. Kłóć się, kto ma ciągnąć numery.

– Kto wygrywa?

– Sergio, przyjaciel ojca.

– Przyjechał?

– Tak.

– Jaki jest?

– Stary. Śpij już.

– Nie mogę. Za gorąco. Hałasują. Kiedy sobie pójdą?

Tamci ciągle krzyczeli.

Zszedłem z okna. – Nie wiem.

– Michele, opowiesz mi bajkę, żebyśmy usnęła?

Tato opowiadał nam historie o Pirożku w Afryce. Pirożek był miejskim psiakiem, który schował się w walizce i przez pomyłkę trafił do Afryki, między lwy i słonie. Ogromnie nam się podobała ta historia. Pirożek potrafił stawić czoło szakalom. I miał susła za przyjaciela. Zazwyczaj kiedy tato wracał, opowiadał nam nowy odcinek.

Pierwszy raz Maria prosiła mnie, żebym jej opowiedział bajkę, poczułem się bardzo dumny. Problem polegał na tym, że nie znałem żadnej. – No... Ja nie znam bajek – musiałem się przyznać.

– Nieprawda. Znasz.

– A jaką znam?

– Pamiętasz bajkę, którą nam opowiedziała kiedyś mama Barbary? Tę o Piotrusiu Piotrowskim?

– Ach, prawda!

– Opowiesz mi ją?

– Zgoda, ale nie za dobrze pamiętam.

– Chcesz mi ją opowiedzieć w namiocie?

– Tak. – Przynajmniej nie będziemy słyszeć wrzasków z kuchni. Przeniosłem się do łóżka mojej siostry i naciągnęliśmy sobie prześcieradło na głowy.

– Zaczynaj – szepnęła mi do ucha.

– No więc był sobie Piotruś Piotrowski, który ciągle wspinał się na drzewa, żeby jeść owoce. Pewnego dnia siedział na górze, kiedy przysłała Baba-Jaga. I powiedziała: Piotrusiu Piotrowski, daj mi gruszkę, bo strasznie jestem głodna. I Piotruś Piotrowski rzucił jej gruszkę.

Przerwała mi. – Nie powiedziałaś, jak wygląda Baba -Jaga.

– Racja. Jest paskudna. Bez włosów na głowie. Ma ogon jak koń i długi nos. Jest wysoka i pożera dzieci. A jej mężem jest czarny lud...

Opowiadając, widziałem tatę, jak obcina uszy Filippowi i wkłada je sobie do kieszeni. A potem wiesza je na lusterku w ciężarówce, tak jak to zrobił z futrzanym ogonkiem.

– Nieprawda. Nie ma męża. Opowiadaj, jak trzeba. Ja znam tę historię.

– Piotruś Piotrowski rzucił jej gruszkę, która wpadła w krowi placek.

Maria roześmiała się. Opowieści, w których było coś o kupie, podobały się jej szczególnie.

– Baba-Jaga powiedziała znowu: Piotrusiu Piotrowski, daj mi gruszkę, bo jestem strasznie głodna. Weź tę! i rzucił jej gruszkę prosto w krowie siki. I całą ją ochlapał.

Znowu śmiech.

– Baba-Jaga jeszcze raz go poprosiła. I on rzucił jej następną gruszkę w krowie rzygowiny.

Szturchnęła mnie łokciem. – Tego nie było. To się nie liczy. Nie wygłupiaj się.

Przy mojej siostrze nie można było ani trochę zmienić historii. – No więc...

Ale co oni tam wyrabiają? Chyba stłukli jakiś talerz. Podniosłem głos. – No więc Piotruś Piotrowski zszedł z drzewa i dał jej gruszkę. Baba-Jaga złapała go, wsadziła do worka i zarzuciła sobie na ramię. Ponieważ Piotruś Piotrowski jadł dużo papryki, która jest bardzo ciężka, Baba-Jaga ledwie mogła go udźwignąć i musiała się zatrzymać co pięć minut, a potem musiała też się wysikać, więc zostawiła worek i poszła za drzewo. Piotruś Piotrowski przegryzł zębami sznur, wylazł z worka i wsadził tam szopa pracza...

– Szopa pracza?

Powiedziałem to specjalnie, żeby sprawdzić, czy Maria o nich słyszała.

– Tak, szopa pracza.

– A co to jest?

– To są takie małe niedźwiadki, które jak zostawisz brudy nad rzeką, to przyjdą i ci wypiorą.

– A gdzie one mieszkają?

– Na północy.

– No i...? – Maria wiedziała, że Piotruś Piotrowski wsadził do worka kamień, ale nie zaprotestowała.

– Baba-Jaga wzięła worek, zarzuciła go znowu na ramię, a kiedy przysłała do domu, powiedziała do swojej córki: Małgorzato Małgorzatowska, chodź tutaj, otwórz bramę i przygotuj kocioł, żeby ugotować Piotrusia Piotrowskiego". Małgorzata Małgorzatowska postawiła wodę na ogniu, a Baba-Jaga wrzuciła do niej zawartość worka i szop pracz wyskoczył i pogryzł je obie, zbiegł na podwórze, pożarł kury i porozrzucił wszystkie śmieci. Baba-Jaga strasznie się rozłościła i znowu poszła szukać Piotrusia Piotrowskiego. Znalazła go, wsadziła do worka i nie zatrzymała się już nigdzie. Przysłała do domu i powiedziała do Małgorzaty Małgorzatowskiej: Weź go i zamknij w piwnicy, jutro go sobie zjemy...

Przerwałem opowieść.

Maria spała, a to nie była ładna historia.

Na starego natknąłem się w łazience następnego rana.

Otworzyłem drzwi, a on stał tam i golił brodę, zgięty w pół nad umywalką, z głową przyklejoną do lustra i papierosem, który zwisał mu z ust. Miał na sobie znoszony podkoszulek na ramiączkach i poźółkle kalesony, spod których wystawała para szczudeł, chudych i bezwłosych. Na stopach miał czarne kozaczki z rozsuniętym zamkiem.

Wydzielał cierpki odór, stłumiony talkiem i wodą po goleniu.

Odwrócił się w moją stronę, zlustrował mnie od dołu do góry opuchniętymi oczami, z jednym policzkiem pokrytym pianą i z brzytwą w ręce. – A kto ty jesteś?

Wskazałem palcem na własną pierś. – Ja?

– Tak, ty.

– Michele... Michele Amitrano.

– Ja jestem Sergio. Dzień dobry.

Wyciągnąłem rękę. – Miło mi. – Tak mnie uczono odpowiadać w szkole.

Stary opłukał brzytwę w wodzie. – Nie wiesz, że trzeba pukać, zanim się wejdzie do toalety? Rodzice cię tego nie nauczyli?

– Przepraszam. – Chciałem uciec, ale zamiast tego stałem tam jak wmurowany. Trochę tak, jak kiedy widzisz kalekę i starasz się na niego nie gapić, ale nie potrafisz.

Zabrał się do golenia szyi. – Jesteś synem Pina?

– Tak.

Przyjrzał mi się w lustrze. – Jesteś cichym chłopcem?

– Tak.

– Lubię ciche dzieciaki. Dobrze. To znaczy, że nie wdałeś się w ojca. I jesteś posłuszny?

– Tak.

– No to wyjdź i zamknij drzwi.

Pobiegłem do mamy. Była w moim pokoju i ściągała pościel z łóżka Marii. Szarpnąłem ją za sukienkę. – Mamo! Mamo, kto to jest ten staruch w łazience?

– Zostaw mnie, Michele, mam robotę. To Sergio, przyjaciel ojca. Mówił ci, że przyjeżdża. Zostanie u nas parę dni.

– Dlaczego?

Podniosła materac i odwróciła go na drugą stronę. – Dlatego, że tak postanowił twój ojciec.

– A gdzie będzie spał?

– W łóżku twojej siostry.

– A ona?

– Pójdzie do nas.

– A ja?

– W twoim łóżku.

– To stary ma spać w jednym pokoju ze mną?

Mama zaczerpnęła powietrza. – Tak.

– W nocy?

– Zgłupiałeś? Może w dzień?

– Nie mogłaby Maria z nim zostać? A ja będę spał z tobą.

– Nie opowiadaj głupot. – Zaczęła nakładać czystą pościel. – Zmykaj, jestem zajęta.
Rzuciłem się na podłogę i uczepliłem jej kostek. – Mamo, proszę cię, błagam, nie chcę z nim spać. Proszę, chcę być z tobą. W twoim łóżku.
Westchnęła. – Nie zmieścimy się. Jesteś za duży.
– Mamo, proszę cię. Zwinę się w rogu. Będę malutki.
– Powiedziałam, że nie.
– Proszę – zawodziłem błagalnie. – Proszę cię. Będę grzeczny. Zobaczysz.
– Przestań. – Postawiła mnie na nogi i spojrzała mi w oczy. – Michele, już nie wiem, co z tobą robić. Dlaczego nigdy nie możesz usłuchać? Dłużej tego nie zniosę. Mamy tyle różnych problemów, a jeszcze ty się dokładasz. Ty nie rozumiesz. Proszę...
Potrząsnąłem głową. – Nie chcę. Nie chcę z nim spać. Nie będę z nim spał.
Zdjęła poszewkę z poduszki. – Sprawa wygląda tak. Jeżeli ci nie odpowiada, powiedz to ojcu.
– Ale on mnie zabierze...
Mama przestała ścielić łóżko i odwróciła się. – Co powiedziałaś? Powtórz.
– Zabierze mnie... – wymamrotałem.
Wbiła we mnie swoje czarne oczy. – Co chcesz powiedzieć?
– Wy chcecie, żeby mnie zabrał... Ty mnie nienawidzisz. Jesteś zła. Ty i tato mnie nienawidzicie. Ja wiem.
– Kto ci naopowiadał takich rzeczy? – Złapała mnie za rękę, ale ja się wywinąłem i uciekłem. Zbiegłem po schodach, słysząc, jak za mną woła.
– Michele! Michele, wracaj tu!
– Ja z nim spać nie będę. Nie, ja z talonem nie będę spał.

Uciekłem nad strumień i wspiąłem się na chleb świętojański.
Nigdy nie pójdę spać w jednym pokoju z tym staruchem. Porwał Filippa. I jak tylko zasnę, porwie i mnie. Wsadzi mnie do worka i zabierze.
A potem utnie mi uszy.
Ale czy można żyć bez uszu? Nie umiera się? Mnie na moich uszach zależało. Filippowi tato i stary pewnie już je obcięli. Ja siedzę sobie tutaj na drzewie, a on w swojej dziurze nie ma już uszu.
Ciekawe, czy mu zabandażowali głowę?
Musiałem tam jechać. I musiałem powiedzieć mu o jego mamie, że wciąż go kocha i że mówiła o tym w telewizji, żeby wszyscy wiedzieli.
Ale bałem się, co będzie, jeżeli w opuszczonym domu zastanę tatę i starego?
Spojrzałem ku horyzontowi. Niebo, płaskie i szare, wisiało ciężko nad polami pszenicy. Wzgórze było tam, w głębi, ogromne i zamglone od upału.
Jeżeli będę ostrożny, nie zobaczą mnie, powiedziałem sobie.
– O partyzancie, zabierz mnie z sobą, bo mnie tu mają pochować. O partyzancie, zabierz mnie z sobą. O piękna ciao, ciao, ciao – usłyszałem śpiew.
Spojrzałem na dół. Barbara Mura ciągnęła Toga, uwiązała mu sznurek na szyi i wlokła go do wody. – Mamusia zaraz cię wykąpie. Będziesz cały czyściutki. Cieszysz się? Tak, cieszysz się. – Ale Togo nie wyglądał na ucieszonego. Jechał pupą po ziemi, zapierał się łapkami i szarpał głową, usiłując uwolnić się z postronka. – Będziesz śliczny. I zabiorę cię do Lucignano. Pójdziemy na lody i kupię ci smycz. – Chwyciła go, pocałowała, ściągnęła sandały, weszła parę kroków do bagna i zanurzyła go w tej cuchnącej mazi.
Togo zaczął się wyrывać, ale Barbara trzymała go mocno za kark i ogon. Wepchnęła go całego pod wodę. Widziałem, jak znika w błocie.

Znowu zaczęła śpiewać. – Pewnego ranka, gdy się zbudziłam. O piękna ciao! Piękna ciao!
Piękna ciao, ciao, ciao!

Nie wyciągała go.

Chciała go zabić.

Wrzasnąłem. – Co robisz? Zostaw go!

Barbara odskoczyła i omal nie przewróciła się do wody. Puściła psa, który wynurzył się i powiosłował do brzegu.

Jednym skokiem znalazłem się pod drzewem.

– A ty co tu robisz? – zapytała Barbara rozzłoszczona.

– Co mu chciałaś zrobić?

– Nic. Kąpałam go.

– Nieprawda. Chciałaś go zabić.

– Nie!

– Przysięgnij.

– Przysięgam na Pana Boga i na wszystkich świętych! – Położyła sobie rękę na sercu. – Kleszcze i pchły go zjedzą. Dlatego go kąpałam.

Nie wiedziałem, czy jej uwierzyć.

Złapała Toga, który stał na kamieniu i machał uszczęśliwiony ogonem. Już zapomniał o przykrym doświadczeniu. – Patrz, czy mówię prawdę. – Podniosła mu ucho.

– O Boże, co za ohyda!

Wokół i wewnątrz małżowiny roiło się od kleszczy. Z tymi łebkami wbitymi w skórę, z czarnymi nóżkami i ciemnobrązowymi brzuchami, wzdętymi i krągłymi, jak czekoladowe kulki.

– Widzisz? Wysysają z niego krew.

Zmarszczyłem nos. – I wyjdą mu od błota?

– W telewizji Tarzan mówił, że słonie kąpią się w błocie, żeby się pozbyć różnych stworzeń.

– Ale Togo nie jest słoniem.

– I co z tego? Też jest zwierzęciem.

– Według mnie trzeba mu je wyciągnąć – powiedziałem. – W błocie nie wyjdą.

– Ale jak?

– Rękami.

– A kto to robi? Ja się brzydzę.

– Ja spróbuję. – Dwoma palcami złapałem jednego, z tych bardziej pękatych, zamknąłem oczy i mocno pociągnąłem. Togo zaskomlał, ale potwór wyszedł. Położyłem go na kamieniu i przyjrzelśmy się mu. Machał nóżkami, ale nie mógł się podnieść, bo za bardzo był nabrzmiąły od krwi.

– Giń wampirze! Giń! – Barbara zmiażdżyła go kamieniem, robiąc z niego czerwoną papkę.

Wyrwałem mu ich co najmniej ze dwadzieścia. Barbara przytrzymała psa. Po jakimś czasie zmęczyłem się. Togo też już miał dosyć. Skowyczał, ledwie go dotknąłem. – Resztę wyrwiemy mu kiedy indziej. Dobrze?

– Dobrze. – Barbara rozejrzała się dokoła. – Ja idę. A ty, co robisz?

– Zostanę tu jeszcze. – Jak tylko się wyniesie, wsiądę na Gruchota i pojedę do Filipa.

Uwiązała sznurek na szyi Toga.

– To zobaczymy się później? – zapytała, oddalając się.

– Tak.

Zatrzymała się. – Ktoś jest u was w domu. Takim szarym autem. To twój krewny?

– Nie.

– Dzisiaj przyszedł też do nas.
– Czego chciał?
– Nie wiem. Rozmawiał z tatą. Potem pojechali. Chyba był też twój tato. Tym wielkim autem. Jasne. Jechali obciąć uszy Filippowi.
Wykrzywiła się i zapytała: – Tobie on się podoba?
– Nie.
– Mnie też nie.
Stała nic nie mówiąc. Zdawało się, że nie ma zamiaru odejść. Odwróciła się i wyszeptwała: –
Dziękuję.
– Za co?
– Za tamten dzień... Kiedy zaliczyłeś karę zamiast mnie.
Wzruszyłem ramionami. – Drobiazg.
– Słuchaj... – Zrobiła się cała czerwona. Popatrzyła na mnie przez sekundę i wypaliła: –
Chciałbyś ze mną chodzić?
Twarz zaczęła mnie palić. – Co?
Pochyliła się, żeby pogłaskać Toga. – Chodzić ze mną.
– Ja z tobą?
– Tak.
Spuściłem głowę i wlepiłem wzrok w czubki swoich stóp. – Noo... Nie bardzo.
Wypuściła długo powstrzymywany oddech. – Nic nie szkodzi. Nawet nie mamy tyle samo lat.
– Przeczesła dłonią włosy. – No to cześć.
– Cześć.
Odeszła, ciągnąc za sobą Toga.

Obleciał mnie strach przed żmijami, tak z niczego, niespodziewanie.
Aż do tego dnia, kiedy wchodziłem na wzgórze, nigdy nie pomyślałem o żmijach.
Przed oczami migał mi obraz tego ogara, którego w kwietniu żmija ukąsiła w nos. Biedny zwierzak leżał w kącie stodoły, dysząc, z nieruchomym wzrokiem, białą pianą na pysku i wywalonym językiem.
– Nic się już nie da zrobić – powiedział ojciec Czachy.
– Trucizna doszła mu do serca.
Staliśmy wszyscy w kręgu, przyglądając się mu.
– Zawieźmy go do Lucignano. Do doktora dla zwierząt – zaproponowałem.
– Zmarnowane pieniądze. To złodziej, zrobi mu zastrzyk z wody i odda ci psa zdechłego. Idźcie stąd, no, już, dajcie mu umrzeć w spokoju. – Wypchnął nas na zewnątrz. Maria płakała.
Szedłem przez zboże i zdawało mi się, że wszędzie widzę przemykające węże. Podskakiwałem niczym przepiórka i z całej siły waliłem kijem o ziemię, a świerszcze i pasikoniki uciekały w popłochu. Słońce piekło w głowę i szyję, nie było najłżejszego podmuchu wiatru, a równina w oddali rozmywała się.
Kiedy dotarłem do doliny, byłem wykończony. Trochę cienia i łyk wody, tego właśnie było mi trzeba, skierowałem się więc do zagajnika.
Ale było tam jakoś inaczej niż zazwyczaj. Zatrzymałem się.
Przez odgłosy ptaków, świerszczy i cykad przebijała muzyka. Błyskawicznie ukryłem się za pnem.
Niczego nie mogłem stamtąd dojrzeć, ale zdawało mi się, że muzyka dochodzi z domu.

Powiniennem wynosić się biegiem, ale ciekawość popychała mnie, żeby chociaż rzucić okiem. Jeżeli będę ostrożny, jeżeli zostanę pomiędzy drzewami, nie zauważą mnie. Chowając się wśród dębów, zbliżyłem się do podwórza.

Muzyka grała głośno. To była znana piosenka. Słyszałem ją mnóstwo razy. Śpiewała ją jedna blondynka razem z takim eleganckim panem. Widziałem ich w telewizji. Lubiłem tę piosenkę.

Na samym brzegu polany była skała porośnięta zielonymi kępkami mchu, dobre schronienie, podpełzłem do niej.

Wystawiłem głowę i szpiegowałem.

Przed domem stał fiat 127 Felice, z otwartymi drzwiami i bagażnikiem. Muzyka dobiegała z radia samochodowego. Źle było słycać, trzeszczało.

Felice wyszedł z obory. Był w slipkach. Na nogach miał wojskowe buciory, a wokół szyi swoją wieczną czarną chusteczkę. Tańczył z rozpostartymi ramionami, a biodrami kręcił jak w tańcu brzucha.

– Nie zmienisz się. Nie zmienisz się, nie zmienisz się... – śpiewał falsetem razem z radiem.

Potem zatrzymał się i zaśpiewał grubym głosem: – Tyś moim jutrem, tyś dzisiejszym dniem. Tyś moja na zawsze. Niespokojne noce, niespokojne dni.

I jak kobieta: – Wreszcie to powiedz. Udręką nazwij mnie. Nie zwlekaj już dłużej.

Wskazał na kogoś. – Ty jesteś jak wiatr, który skrzypce niesie i róże.

– To słowa, to słowa, to słowa...

– Posłuchaj.

– To słowa, to słowa, to słowa...

– Proszę.

Był świetny. Odstawiał wszystko sam. Mężczyznę i kobietę. A kiedy był mężczyzną, grał twardziela. Oczy zmrużone i usta przymknięte.

– To słowa, to słowa, to słowa...

– Przysięgam.

Potem rzucił się na ziemię, w pył, i zaczął robić pompki. Na obu rękach, na jednej, z kłaśnięciem, i śpiewał dalej, cały naprężony.

– To słowa, to słowa, to słowa, to słowa, to słowa, są tylko słowa, słowa między nami.

Wycofałem się.

W Skośnej Wodzie bawiono się właśnie w raz-dwa-trzy Baba-Jaga patrzy.

Czacha, Barbara i Remo stali nieruchomo, w pełnym słońcu, dziwnie upozowani.

Salvatore ustawił się twarzą do ściany i zawołał: – Raz-dwa-trzy Baba-Jaga patrzyyyy! – Odwrócił się i przyłapał Czachę.

Czacha zawsze przesadzał, zamiast zrobić trzy kroki, robił piętnaście i dawał się złapać. Potem się nie zgadzał. Ty mu mówiłeś, że go widziałeś, a on nie chciał o tym słyszeć. Według niego cały świat szachrował. On nie, on był święty. I wystarczyło coś mu powiedzieć, zaraz rwał się do bitki. Tak czy inaczej, zawsze wygrywał. Nawet gdyby chodziło o zabawę lalkami, znalazłby sposób, żeby wygrać.

Przejechałem między domami, powoli pedałuując. Byłem zmęczony i zły. Nie udało mi się powiedzieć Filippowi o jego mamie.

Ciężarówka ojca stała przed domem, obok szarej limuzyny starego.

Byłem głodny. Wymknąłem się bez śniadania. Ale nie miałem ochoty wchodzić.

Podszedł do mnie Czacha. – Gdzie się podziewałeś?

– Włóczyłem się.

– Stale trzymasz się z boku. Gdzie jeździsz? – Nie lubił, kiedy ktoś miał jakieś własne sprawy.

– Nad strumień.

Przyjrzał mi się podejrzliwie. – Po co?

Wzruszyłem ramionami. – Po nic. Siedzieć na drzewie.

Wykrzywił twarz z obrzydzeniem, jak ktoś, kto zjadł zgniłe jabłko.

Przybiegł Togo i zaczął gryźć koło mojego roweru.

Czacha wymierzył mu kopniaka. – Spadaj, kundlu. Dziurawi opony tymi cholernymi zębami.

Togo uciekł do Barbary, która siedziała na murku, i wskoczył w jej ramiona. Barbara pomachała do mnie. Odpowiedziałem, unosząc rękę.

Czacha obserwował scenę. – Co, zostałeś przyjacielem tłuściochy?

– Nie...

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, chcąc się upewnić, czy mówię prawdę.

– Nie, przysięgam!

– No, dobra – odpuścił. – Zagrasz w piłkę?

Nie miałem ochoty, ale niebezpiecznie było mu odmówić. – Nie za gorąco?

Chwycił kierownicę mojego roweru. – Zaczynasz mnie wkurzać, wiesz?

Przestraszyłem się. – Bo co? – Czacha potrafił niespodziewanie wpaść w złość, ściągnąć cię z roweru i przyłożyć.

– Bo tak.

Na szczęście pojawił się Salvatore. Podbijał piłkę głową. Potem zatrzymał ją stopą i wsadził sobie pod pachę. – Cześć, Michele.

– Cześć.

Czacha zapytał go. – Masz ochotę zagrać?

– Nie.

Czacha zirytował się. – Jesteście gówniarze! Jak tak, to wiecie, co zrobię? Pojadę do Lucignano. – I odszedł rozzłoszczony.

Roześmialiśmy się, a potem Salvatore powiedział:

– Idę do domu. Pójdiesz do mnie zagrać w piłkarzyki?

– Nie chce mi się.

Klepnął mnie w ramię. – Dobra. To zobaczymy się później. Cześć. – Oddalił się, znowu odbijając głową piłkę.

Lubiłem Salvatore. Lubiłem go za to, że zawsze zachowywał spokój i nie obrażał się co pięć minut. Z Czachą, zanim coś powiedziałaś, musiałaś pomyśleć trzy razy.

Podjechałem do pompy.

Maria przyniosła emaliowaną miednicę i urządziła w niej basen dla swoich Barbie.

Miała ich dwie, jedną normalną i jedną całkiem czarną, ze stopioną ręką i bez włosów.

To ja doprowadziłem ją do tego stanu. Pewnego wieczoru obejrzawszy w telewizji historię Joanny d'Arc, chwyciłem Barbie i cisnąłem ją w ogień, krzycząc: – Płoń! Czarownico! Płoń! – Kiedy spostrzegłem, że płonie naprawdę, wyciągnąłem ją za stopę i wrzuciłem do garnka z zupą.

Mama zabroniła mi jeździć przez tydzień na rowerze i zmusiła, żebym sam zjadł cały garnek zupy. Maria błagała, żeby kupić jej nową lalkę. – Na urodziny. Na razie baw się tą. Możesz mieć pretensje do tego idioty, twojego brata. – I Maria dała spokój. Ładna Barbie miała na imię Paola, a ta spalona Biedulka.

– Cześć, Maria – zagadnąłem ją, zsiadając z roweru.

Przytknęła dłoń do czoła, żeby osłonić się przed słońcem. – Tato cię szukał... Mama się gniewa.

– Wiem.

Wzięła Biedulkę i wsadziła ją do basenu. – Zawsze ją denerwujesz.

– Idę na górę.

– Tato powiedział, że musi pogadać z Sergiem i nie chce, żebyśmy się płatali pod nogami.

– Ale ja jestem głodny...

Wyciągnęła morelę z kieszeni spodni. – Chcesz?

– Tak. – Była ciepła i rozmiękła, ale pożarłem ją i wypłułem daleko pestkę.

Tato wyszedł na balkon, zobaczył mnie i zawołał. – Michele, chodź tutaj. – Był w koszuli i krótkich spodenkach.

Nie chciałem z nim rozmawiać. – Nie mogę, jestem zajęty!

Gestem nakazał mi wejść. – Chodź tu.

Oparłem rower o ścianę i wszedłem po schodach, ze spuszczoną głową, zrezygnowany.

Tato usiadł na najwyższym stopniu. – Siadaj tutaj, obok mnie. – Wyciągnął paczkę nazionali z kieszonki koszuli, wziął papierosa, wsunął go do lufki i zapalił.

– Musimy pogadać, ja i ty.

Nie wydawał mi się bardzo rozgniewany.

Trwaliśmy przez chwilę w milczeniu. Wpatrzeni, ponad dachami, w żółte pola.

– Gorąco, nie? – zagadnął.

– Bardzo.

Wypuścił kłęb dymu. – Gdzie się podziewasz całymi dniami, można wiedzieć?

– Nigdzie.

– Nieprawda. Dokądś jeździsz.

– Włóczę się po okolicy.

– Sam?

– Tak.

– Co jest? Nie lubisz być z twoimi kolegami?

– Lubię. Tylko że lubię też być sam.

Skinął potakująco głową, z oczami utkwionymi w przestrzeń. Przyjrzałem mu się. Zdawał się postarzały, wśród czarnych włosów pojawiło się kilka białych, policzki zapadły się i wyglądał, jakby nie spał od tygodnia.

– Zdenerwowałaś matkę.

Zerwałem gałązkę z rozmarynu rosnącego w doniczce i zacząłem obracać ją między dłońmi. – Nie zrobiłem tego specjalnie.

– Powiedziała, że nie chcesz spać w pokoju z Sergiem.

– Nie chcę...

– A dlaczego?

– Bo chcę spać z wami. W waszym łóżku. Wszyscy razem. Jak się ściśniemy, zmieścimy się.

– Co sobie pomyśli Sergio, jeżeli nie będziesz z nim spał?

– Nieważne.

– Nie można tak traktować gości. Wyobraź sobie, że ty jedziesz do czyjś domu i nikt nie chce z tobą spać. Co byś pomyślał?

– Nie zależałoby mi, chciałbym mieć cały pokój dla siebie. Jak w hotelu.

Uśmiechnął się słabo i dwoma palcami rzucił niedopałek na drogę.

Zapytałem: – Sergio jest twoim szefem? To dlatego musi u nas mieszkać?

Spojrzał na mnie zdziwiony. – Jak to, moim szefem?

– No tak, on decyduje o wszystkim.

– Nie, o niczym nie decyduje. Jest moim przyjacielem.

To nie była prawda. Stary nie był jego przyjacielem, był jego szefem. Wiedziałem o tym. Mógł go nawet wymyślać.

– Tato, a ty gdzie śpisz, kiedy jedziesz na Północ?

– Bo co?

– A tak.

– W hotelu, gdzie wypadnie, czasem w ciężarówce.

– A nocą co się dzieje na Północy?

Popatrzył na mnie i zaczerpnął powietrza przez nos i zapytał: – Co jest? Nie cieszysz się, że wróciłem?

– Tak.

– Powiedz prawdę.

– Tak, cieszę się.

Objął mnie ramionami, mocno. Poczulem zapach jego potu. Szepnął mi do ucha: – Uściśnij mnie Michele, uściśnij! Pokaż mi, jaki jesteś silny.

Uściśnałem go najsilniej, jak potrafiłem i zachciało mi się płakać. Łzy napłynęły mi do oczu i ścisnęło mnie w gardle.

– Co robisz, płaczesz?

Załkałem. – Nie, nie płaczę.

Wyciągnął z kieszeni zmiętą chusteczkę. – Wytrzyj te łzy, bo jak ktoś cię zobaczy, pomyśli, żeś baba. Michele, przez parę dni będę bardzo zajęty i dlatego musisz być posłuszny. Matka jest zmęczona. Przestań już z tymi kapryсами. Jeżeli będziesz grzeczny, jak tylko skończę, zabiorę cię nad morze. Popływamy rowerem wodnym.

Wycharczałem. – Co to jest rower wodny?

– To taka łódka, która zamiast wiosła ma pedały jak zwykły rower.

Otarłem łzy. – Można nim popłynąć aż do Afryki?

– Musisz nieźle pedałować, żeby dopłynąć do Afryki.

– Chcę wyjechać ze Skośnej Wody.

– A co, już ci się tu nie podoba?

Oddałem mu chusteczkę. – Jedźmy na Północ.

– Dlaczego chcesz wyjechać?

– Nie wiem... Nie chcę tu dłużej mieszkać.

Spojrzał gdzieś daleko. – Pojedziemy.

Zerwałem następną gałązkę rozmarynu. Ładnie pachniała. – Widziałeś kiedyś szopy pracze?

Zmarszczył brwi. – Szopy pracze?

– Tak.

– Nie, co to takiego?

– Nic... To takie misie, które piorą ubrania... Ale może nie istnieją.

Tato wstał i rozprostował plecy. – Aaach! Słuchaj, ja wracam do domu, muszę pomówić z Sergiem. Może byś poszedł się pobawić, niedługo będzie obiad. – Otworzył drzwi i już miał wejść, ale zatrzymał się. – Mama przygotowała *tagliatelle*. Potem masz ją przeprosić.

W tej samej chwili nadjechał Felice. Zahamował gwałtownie swoim fiatem 127, wzbijając chmurę kurzu, i wyskoczył z auta, jakby zagnieżdżył się tam rój os.

– Felice! – zawołał tato. – Wejdz na chwilę.

Felice kiwnął potakująco głową, a kiedy przechodził obok, palnął mnie w kark i zapytał: – Jak się masz, gnojku?

Teraz u Filippa nie było nikogo.

Wiadro na odchody było pełne. Garnuszek na wodę pusty.

Filippo miał głowę owiniętą kocem. Nawet nie zauważył, że zszedłem do dziury.

Kostka wydała mi się w gorszym stanie, bardziej opuchnięta i sina. Roilo się nad nią od much.

Podszedłem. – Ej! – Nie dawał znaku, że mnie słyszy. – Ej! Słyszysz mnie? – Podszedłem bliżej. – Słyszysz?

Westchnął. – Tak.

Więc tato nie obciął mu uszu.

– Masz na imię Filippo, prawda?

– Tak.

Przygotowałem to sobie podczas drogi. – Przyjechałem, żeby ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Więc... Twoja mama mówi, że cię kocha. I mówi, że za tobą tęskni. Powiedziała tak wczoraj w telewizji. W dzienniku. Powiedziała, żebyś się nie martwił... I że nie chce twoich uszu, ale chce ciebie całego.

Nic.

– Słyszałeś?

Nic.

Powtórzyłem. – Więc... Twoja mama mówi, że cię kocha. I mówi, że za tobą tęskni. Powiedziała tak wczoraj w telewizji. Powiedziała, żebyś się nie martwił... I że nie chce twoich uszu.

– Moja mama umarła.

– Jak to umarła?

Odpowiedział spod koca. – Moja mama umarła.

– Co ty mówisz? Żyje. Sam ją widziałem, w telewizji...

– Nie, umarła.

Położyłem rękę na sercu. – Przysięgam na głowę mojej siostry Marii, że ona żyje. Widziałem ją wczoraj w nocy, była w telewizji. Czuła się dobrze. Ma jasne włosy. Jest szczupła. Trochę stara... Ale ładna. Siedziała na fotelu z wysokim oparciem, brązowym. Wielkim. Jak dla króla. A z tyłu był obraz ze statkiem. Zgadza się czy nie?

– Tak. Obraz ze statkiem... – Mówił cicho, tkanina tłumiała słowa.

– I masz kolejkę elektryczną. Z lokomotywą z kominem. Widziałem ją.

– Już nie mam. Zepsuła się. I niania ją wyrzuciła.

– Niania? Jaka niania?

– Liliana. Ona też umarła. I Peppino umarł. I tato umiał. I babcia Arianna umarła. I mój brat umarł. Wszyscy umarli. Wszyscy umarli i mieszkają w dziurach jak ta. I ja jestem w jednej z nich. Wszyscy, wszyscyutcy. Świat to takie miejsce pełne dziur, w których siedzą umarli. I księżyc też jest kulą pełną dziur i w każdej są następni umarli.

– Nieprawda. – Położyłem rękę na jego plecach. – Nic takiego nie widać. Księżyc jest normalny. A twoja mama nie umarła. Widziałem ją. Musisz mnie posłuchać.

Nie odzywał się przez chwilę, a potem zapytał: – To dlaczego tu nie przyjedzie?

Potrząsnąłem głową. – Nie wiem.

– Dlaczego po mnie nie przyjedzie?

– Nie wiem.

– I dlaczego tu jestem?

– Nie wiem. – Potem dodałem, tak cicho, że nie mógł mnie usłyszeć: – Mój tato cię tu wsadził.

Kopnął mnie. – Ty nic nie wiesz. Zostaw mnie w spokoju. Ty nie jesteś aniołem stróżem. Jesteś zły. Idź sobie. – I wybuchnął płaczem.

Nie wiedziałem, co robić. – Nie jestem zły. To nie moja wina. Nie płacz, proszę.

Dalej kopał nogami. – Idź sobie. Wynoś się.

– Posłuchaj...

– Wynoś się!

Zerwałem się na równe nogi. – To ja przyjechałem aż tutaj, do ciebie, zrobiłem całą tę drogę dwa razy, a ty mnie wypędzasz. Dobrze, pójdę sobie, ale jeżeli pójdę, to już więcej nie wrócę. Nigdy więcej. Zostaniesz tutaj sam, na zawsze i obetną ci uszy. – Chwyciłem sznur i zacząłem się wspinać. Słyszałem, jak płacze. Miałem wrażenie, że się dławi.

Wyszedłem z dziury i zawołałem do niego: – I nie jestem twoim aniołem stróżem!

– Poczekaj...

– Czego chcesz?

– Zostań...

– Nie. Powiedziałeś, że mam się wynieść, i teraz się wynoszę.

– Proszę cię. Zostań.

– Nie!

– Proszę. Chociaż pięć minut.

– Dobrze. Pięć minut. Ale jak zaczniesz świrować, to idę.

– Nie zacznę.

Zszedłem na dół. Dotknął mojej stopy.

– Dlaczego nie wyjdiesz spod tego koca? – zapytałem i przykucnąłem obok niego.

– Nie mogę, jestem ślepy...

– Jak to, jesteś ślepy?

– Oczy się nie otwierają. Chcę je otworzyć, ale są zamknięte. Po ciemku widzę. Po ciemku nie jestem ślepy. – Zawahał się. – Wiesz, powiedziały mi, że wrócisz.

– Kto?

– Szopy pracze.

– Skończ już z tymi szopami! Tato mi powiedział, że nie istnieją. Chcesz pić?

– Tak.

Otworzyłem teczkę i wyjąłem butelkę. – Proszę.

– Chodź. – Uniósł koc.

Skrzywiłem się. – Tam pod spód? – Trochę się brzydziłem. Ale za to mogłem sprawdzić, czy ma jeszcze uszy na miejscu.

Zaczął mnie dotykać. – Ile masz lat? – Przesuwał palcami po moim nosie, ustach, oczach.

Byłem sparaliżowany. – Dziewięć. A ty?

– Dziewięć.

– Kiedy się urodziłeś?

– Dwunastego września. A ty?

– Dwudziestego listopada.

– Jak się nazywasz?

– Michele. Michele Amitrano. Do której klasy chodzisz?

– Do czwartej. A ty?

– Do czwartej.

– Tak samo.

– Tak samo.

– Chce mi się pić.

Podąłem mu butelkę.

Napił się. – Dobra. Chcesz?

Ja też się napiłem. – Mogę trochę podnieść koc? – Umierałem od gorąca i smrodu.

– Trochę.

Ściągnąłem go o tyle, ile trzeba było, żeby zaczerpnąć powietrza i spojrzeć mu w twarz.

Była czarna. Brudna. Włosy, jasne i cienkie, zmieszały się z ziemią, tworząc twardą, suchą skorupę. Zakrzepła krew zapieczętowała mu powieki. Wargi były czarne i spękane. Nozdrza zatkałe smarkami i strupami.

– Mogę umyć ci buzię? – zapytałem.

Wyciągnął szyję, unióśł głowę i uśmiech rozciągnął umęczone wargi. Wszystkie zęby miał czarne.

Ściągnąłem koszulkę, zmoczyłem ją wodą i zacząłem myć mu twarz.

Gdzie przeciągałem szmatą, tam skóra robiła się biała, tak biała, że zdawała się przezroczysta, jak mięso gotowanej ryby. Najpierw czoło, potem policzki.

Kiedy zwilżyłem mu oczy, powiedział: – Pomału, boli.

– Zrobię pomału.

Nie udawało mi się rozpuścić strupów. Były twarde i grube. Ale wiedziałem, że to tak samo jak ze strupami, które robią się psom. Kiedy się je oderwie, psy odzyskują wzrok. Dalej moczyłem mu je, zmiękczałem, aż w końcu jedna powieka uniosła się i natychmiast zamknęła. To było mgnienie, wystarczające, aby promień światła zranił go w oko.

– Aaachhh! – krzyknął i schował głowę w kocu niczym struś.

Potrząsnąłem nim. – No widzisz? Widzisz? Nie jesteś ślepy! Wcale nie jesteś ślepy!

– Nie mogę ich trzymać otwartych.

– To dlatego, że stale siedzisz po ciemku. Ale widzisz, prawda?

– Tak! Jesteś mały.

– Nie jestem mały. Mam dziewięć lat.

– Masz czarne włosy.

– Tak.

Było bardzo późno. Musiałem wracać do domu. – Teraz muszę jechać. Wrócę jutro.

Z głową ukrytą pod kocem zapytał: – Obiecujesz?

– Obiecuję.

Gdy stary wszedł do mojego pokoju, zbierałem się właśnie, żeby załatwić potwory.

Kiedy byłem mały, wciąż śniły mi się potwory. Teraz, kiedy jestem dorosły, też mi się to czasem zdarza, ale już nie potrafię ich załatwić.

Czekały tylko, aż zasną, aby mnie dręczyć.

Aż kiedyś, pewnej nocy, wymyśliłem sposób, żeby nie mieć złych snów.

Znalazłem miejsce, gdzie mogłem zamknąć te niekształtne, straszne istoty, co pozwalało mi spokojnie zasnąć.

Odpnęzałem się i czekałem, aż powieki staną się ciężkie, a kiedy już miałem zapaść w sen, dokładnie w tej samej chwili, wyobraziłem sobie, że je widzę, jak idą, wszystkie razem, pod górę. Jak na procesji w święto Madonny z Lucignano.

Baba-Jaga, garbata i pomarszczona. Wilkołak na czterech łapach, w łachmanach i z białymi kłami. Czarny lud, cień ślizgający się między kamieniami niczym wąż. Łazarz trupożerca, sam zżerany przez robactwo, otoczony chmurą much. Ork, gigant o maleńkich oczkach, z wolem, w ogromnych buciorach, dźwigający na ramieniu wór pełen dzieci. Cyganie, coś jakby lisy na kurzych łapach. Człowiek z kołem, typ w turkusowym kombinezonie, ze świecącym kołem, którym mógł miotać bardzo daleko. Człowiek ryba, który mieszkał w morskich otchłaniach i nosił na plecach swoją matkę. Dziecko ośmiornica, urodzone z mackami zamiast nóg i rąk.

Szli wszyscy razem. W niewiadomym kierunku. Byli przerażający. I rzeczywiście, nikt się nie zatrzymywał, żeby na nich popatrzeć.

Nagle pojawiał się autobus, cały złożony, z dzwonekami i kolorowymi światełkami. Na dachu miał megafon, z którego dobiegało wołanie: Panie i panowie, wsiadajcie do autobusu marzeń! Wsiadajcie do tego wspaniałego autobusu, który zawiezie was wszystkich do cyrku, nie żądając ani grosza! Dzisiaj cyrk gratis! Wsiadajcie! Wsiadajcie!

Potwory, uradowane tą nieoczekiwaną okazją, wsiadały do autobusu. W tym miejscu wyobrażałem sobie, że mój brzuch się otwiera, rozwierało się długie nacięcie i one wjeżdżały do środka, całkiem spokojnie.

Ci dumie wierzyli, że czekał tam na nich cyrk. Ja zamykałem ranę, a oni zostawali uwięzieni. Teraz wystarczyło zasnąć z rękoma na brzuchu, żeby nie mieć złych snów.

Ledwie zdążyłem je schwytać, kiedy wszedł stary, odwróciłem uwagę, zdjąłem ręce i one uciekły. Zamknąłem oczy i udawałem, że śpię.

Stary okropnie hałasował. Grzebał w walizce. Kaszłał. Smarkał.

Zasłoniłem głowę ramieniem i podglądałem, co też on kombinuje.

Promień światła rozjaśniał skrawek pokoju. Stary siedział na łóżku Marii. Chudy, zgarbiony i ciemny. Palił. Kiedy się zaciągał, widziałem, jak nos w kształcie dzioba i zapadnięte oczy rozświetlają się na czerwono. Czuję woń dymu i zapach wody kolońskiej. Od czasu do czasu potrzasał przecząco głową. Potem sapał ze złością, jakby się z kimś kłócił.

Zaczął się rozbierać. Ściągnął kozaczki, skarpety, spodnie, koszulę. Został w samych slipach. Miał sflaczałą skórę, wisiała na tych długich kościach, jakby ją do nich przyszyto. Wyrzucił papierosa przez okno. Niedopałek zniknął w ciemności nocy jak rozżarzona grudka lawy. Rozpuścił włosy, upodabniając się do starego, chorego Tarzana. Wyciągnął się na łóżku.

Teraz nie mogłem go zobaczyć, ale był blisko. Niecałe pół metra od moich stóp. Jeżeli wyciągnie rękę, złapie mnie za kostkę. Zwinąłem się jak jeź.

Nie wolno mi było zasnąć. Gdybym zasnął, mógłby mnie porwać. Musiałem coś sobie wyobrazić. Rozsypać gwoździe w łóżku. W ten sposób nie zasnę.

Odchrząknął.

– Można tu zdechnąć z gorąca. Jak ty to wytrzymujesz?

Przestałem oddychać.

– Wiem, że nie śpisz.

Chciał mnie podpuścić.

– Spryciura z ciebie... Nie lubisz mnie, co?

Nie, nie lubię cię! – miałem ochotę odpowiedzieć. Ale nie mogłem. Spałem. A nawet gdybym nie spał, nigdy bym się nie odważył mu tego powiedzieć.

– Moi synowie też mnie nie lubili. – Podniósł z podłogi butelkę z wodą, którą mama postawiła tam specjalnie dla niego, i pociągnął parę łyków. – Ciepła jak siki – poskarżył się. – Dwóch ich miałem. Jeden żyje, ale jakby umarł. Drugi umarł, ale jakby żył. Ten żywy ma na imię Giuliano. Jest starszy od ciebie. Nie mieszka teraz we Włoszech. Wyjechał. Do Indii... Pięć

lat temu. Żyje w jakiejś komunie. Nabili mu głowę pierdołami. Ogolił się na łyso. Nosi pomarańczowe szmaty i zdaje mu się, że też jest Hindusem. I wierzy, że żyje się Bóg wie ile razy. Ćpa jak pies i zdechnie tam jak pies. Ja na pewno po niego nie pojedę...

Dostał ataku kaszlu. Suchego. Jakby miały mu pęknąć płuca. Odzyskał oddech i ciągnął dalej: – Francesco umarł pięć lat temu. W październiku skończyłyby trzydzieści dwa lata. Ten był w porządku, jego kochałem. – Zapalił kolejnego papierosa. – Pewnego dnia poznał taką jedną. Jak tylko ją zobaczyłem, nie spodobała mi się. Od razu. Mówiła, że jest nauczycielką gimnastyki. Kurewka... Chuda blondyneczka... pół-Słowianka. Słowianie są najgorsi. Owinęła go sobie wokół palca. To była nędzarka i jak zobaczyła Francesca, przypięła się do niego, bo Francesco był dobrym chłopcem, szczerym, takim, co to w końcu wszystkim da się nabić w butelkę. Kto wie, co ona mu zrobiła, żeby go tak otumanić. Potem opowiadali mi, że ta dziwka kręciła z takim jakby magiem. Kawał gnoja, musiał rzucić na niego jakiś urok. Ta dwójka wspólnie go załatwiła. Wyssali z niego wszystkie siły. Wychudł. Był z niego kawał chłopca, a zamienił się w szkielet, ledwie trzymał się na nogach. Jednego dnia przychodzi i mówi, że się żeni. Nic nie można było poradzić. Próbowałem mu powiedzieć, że ona go niszczy, ale w końcu to było jego życie. Pobrali się. Pojechali w podróż poślubną samochodem. Wybierali się do Positano i Amalii, na wybrzeże. Mijają dwa dni, a on nie dzwoni. Normalne, mówię, są w podróży poślubnej. Zadzwoń. A tymczasem kto dzwoni? Komisarjat z Sorrento. Mówią, że muszę natychmiast przyjechać. Pytam dlaczego. Nie mogą mi powiedzieć przez telefon. Muszę przyjechać, jeżeli chcę wiedzieć. Mówią, że chodzi o mojego syna. I jak ja tam, kurwa, miałem jechać? Nie mogłem jechać. Gdyby mnie sprawdzili, byłbym skończony. Szukali mnie, bo się nie stawiałem na warunkowym. Wsadziliby mnie z powrotem. Poprosiłem jednego znajomego, żeby do nich zadzwonił. Kompana. I on mi mówi, że mój syn nie żyje. Jak to nie żyje? A on mi mówi, że się zabił, że skoczył z urwiska. Że przeleciał dwieście metrów i rozbił się o skały. Mój syn? Francesco miałby się zabić? Chcą mnie zrobić w ciula? Ja tam nie mogłem jechać. No więc wysłałem tę kretynkę, jego matkę, żeby zobaczyła, co się stało.

– Co się stało? – wyrwało mi się.

– Według nich Francesco zatrzymał się przy drodze, żeby popatrzeć na panoramę, ona siedziała w aucie, on zrobił jej zdjęcie, potem przeskoczył murek i rzucił się na dół. Facet robi zdjęcie żonie, a potem rzuca się w przepaść? Powiedzieli, że znaleźli go rozbitego, z ptaszkiem na wierzchu i aparatem fotograficznym na szyi. Według ciebie, ktoś, kto chce się zabić, robi zdjęcie, wyciąga na wierzch ptaszka i rzuca się w przepaść? Co to za bzdety? Ja wiem, jak to było... Żadna tam panorama. Francesco zatrzymał się, bo potrzebował się wysikać. Nie chciał tego zrobić na środku drogi. Był dobrze wychowanym chłopcem. Przeskoczył murek, rozpiął spodnie, a ta dziwka zepchnęła go na dół. Ale nikt mi nie wierzy. Jedno pchnięcie i już. Zamordowany.

– A dlaczego?

– Właśnie. Dlaczego? Nie wiem. Nie miał ani grosza. Zupełnie nie wiem. Nie śpię przez to po nocach. Ale gówniara zapłaciła za to... Ja ją... Dobra, zostawmy to, już późno. Dobranoc.

Wyrzucił papierosa przez okno, ułożył się do spania i po dwóch minutach spał, a po trzech chrapał.

Kiedy się zbudziłem, starego już nie było. Zostawił rozgrzebane łóżko, zmiętą paczkę dunhilli na parapecie, slipy na podłodze i na wpół opróżnioną butelkę wody.

Było gorąco. Cykady wrzeszczały.

Wstałem z łóżka i zajrzałem do kuchni. Mama prasowała, słuchając radia. Siostra bawiła się na podłodze. Zamknąłem drzwi.

Walizka starego była pod łóżkiem. Otworzyłem ją i zajrzałem do środka.

Ubrania. Flakonik perfum. Butelka Stocka 84. Karton papierosów. Tekturowa teczka z plikiem fotografii. Na pierwszej był chłopak, wysoki i szczupły, w granatowym kombinezonie mechanika. Uśmiechał się. Podobny był do starego. Francesco, ten, który rzucił się w przepaść z ptaszkiem na wierzchu.

W teczce były też wycinki z gazet. Mówiły o śmierci Francesca. I była tam fotografia jego żony. Wyglądała jak tancerka z telewizji. Znalazłem jeszcze szkolny zeszyt w kratkę, w okładce z kolorowego plastiku. Otworzyłem go. Na pierwszej stronie było napisane: ten zeszyt należy do Filippa Carducci. Czwarta C.

Początkowe kartki zostały wyrwane. Przerzuciłem zeszyt. Były w nim dyktanda, streszczenia i jedno wypracowanie.

Opowiedz, co robiłeś w niedzielę.

W niedzielę wrócił tato. Mój tato mieszka przeważnie w Ameryce, ale czasami przyjeżdża. Ma willę z basenem i trampoliną i są tam szopy pracze. Żyją w ogrodzie. Ja też mam tam jechać. Mieszka w Ameryce, bo tam pracuje, a kiedy wraca, zawsze przywozi mi prezenty. Tym razem przywiózł takie jakby rakiety do tenisa, które zakłada się pod stopy i wtedy można chodzić po śniegu. Bez nich człowiek się zapada i może nawet umrzeć. Kiedy pojedę w góry, będę musiał ich używać, jeżeli będę chodził po śniegu. Tato powiedział, że takie rakiety noszą Eskimosi. Eskimosi mieszkają na biegunie północnym i mają domy z lodu. W środku nie mają lodówki, bo nie jest im potrzebna. Jedzą dużo fok i czasem pingwiny. Powiedział, że kiedyś mnie tam zabierze. Ja zapytałem, czy może pojechać z nami Peppino. Peppino jest naszym ogrodnikiem i musi przycinać wszystkie rośliny, a w zimie zbierać liście z trawnika. Peppino ma przynajmniej sto lat i kiedy tylko widzi jakąś roślinę, przycina ją. Bardzo się męczy i wieczorem musi wkładać stopy do gorącej wody. Jeżeli pojedzie z nami na biegun północny, nie będzie musiał nic robić, bo tam nie ma roślin, jest tylko śnieg, i będzie mógł odpocząć. Tato powiedział, że się zastanowi, czy Peppino może z nami jechać. Z lotniska pojechaliśmy na obiad do restauracji, ja, tato i mama. Rozmawiali o tym, gdzie będę chodził do gimnazjum. Czy mam zostać w Pawii, czy jechać do Ameryki. Ja nic nie powiedziałem, ale wolę Pawię, gdzie są wszyscy moi koledzy. W Ameryce mógłbym bawić się z szopami praczami. Po obiedzie wróciliśmy do domu, ja znowu coś zjadłem i poszedłem do łóżka. To wszystko, co robiłem w niedzielę. Lekcje odrobiłem w sobotę.

Zamknąłem zeszyt Filippa i wsunąłem go z powrotem do teczki.

Na dnie walizki leżał zrolowany ręcznik. Odwinąłem go, w środku był pistolet. Przez chwilę wpatrywałem się w niego. Był wielki i czarny, z drewnianą kolbą. Podniosłem go. Był bardzo ciężki. Być może nabity. Odłożyłem go na miejsce.

Ważkę po łące w dniu tym goniłem, gdy zerwać z przeszłością postanowiłem, śpiewał głos w radiu.

Mama tańczyła, a jednocześnie prasowała i śpiewała do wtóru. – Gdy powodzenia pewność już miałem, na ziemi boleśnie wylądowałem.

Była w dobrym humorze. Od tygodnia miotała się jak wściekły pies, a teraz śpiewała radośnie tym swoim zachrypłym, męskim głosem. – Jedno zdanie głupie, gra słów pospolita, jak alarm zabrzmiały...

Wyszedłem ze swojego pokoju, zapinając guziki krótkich spodenek. Ona uśmiechnęła się do mnie. – No i proszę! Ten co nie może spać z gośćmi... Dzień dobry! Chodź no dać mi całusa. I żeby był wielki. Chcę zobaczyć, jakiego potrafisz dać wielkiego.

– Złapiesz mnie?

– Tak. Złapię.

Wziąłem rozbieg i skoczyłem jej w ramiona, a ona złapała mnie w locie i wycisnęła pocałunek na policzku. Potem przygarnęła mnie do siebie i zakręciła mną w kółko. A ja zasypałem ją całusami.

– Ja też chcę! Ja też! – zawołała Maria. Rzuciła lalki i przypadła do nas.

– To moja kolej. Moja. Uciekaj – powiedziałem do niej.

– Michele, nie bądź taki. – Mama podniosła też Marię. – Oboje! – I zaczęła wirować po izbie, śpiewając na cały głos. – W magazynie różne skrzynie, czarne, żółte i czerwone...

Z jednej strony na drugą. Z jednej na drugą. Aż w końcu padliśmy na kanapę.

– Zobaczcie... Serce. Zobaczcie, serce... waszej... matki... umiera... – Miała zadyszczkę. Położyliśmy ręce na jej piersi, pod spodem dudnił bęben.

Leżeliśmy obok siebie, wsparci o poduszki. Potem mama poprawiła sobie włosy i zapytała mnie: – I co, nie zjadł cię Sergio w nocy?

– Nie.

– Pozwolił ci spać?

– Tak.

– Chrapał?

– Tak.

– Jak chrapał? Chcę usłyszeć.

Spróbowałem go naśladować.

– Przecież to jest świnka! Tak robią świnki. Maria, pokaż nam, jak chrapie tato.

I Maria zachrapała jak tato.

– Nie potraficie. Teraz posłuchajcie, jak chrapie tato.

Odtworzyła go dokładnie. Z poświstem.

Śmialiśmy się jeszcze długo.

Potem podniosła się i obciągnęła sukienkę. – Zagrzeję ci mleko.

Zapytałem: – A tato, gdzie jest?

– Wyszedł z Sergiem... Obiecał, że w przyszłym tygodniu zabierze nas nad morze. I pójdziemy do restauracji, na małże.

Ja i Maria zaczęliśmy skakać po kanapie. – Nad morze! Nad morze! Na małże!

Mama wyjrzała na pola, a potem opuściła rolety. – Miejmy nadzieję.

Zjadłem śniadanie. Był biskopt. Pochłonałem dwa kawałki, maczając je w mleku. Odkroiłem jeszcze jeden, starając się, żeby nikt tego nie zauważył, owinąłem go w serwetkę i wsunąłem sobie do kieszeni.

Filippo się ucieszy.

Mama sprzątała ze stołu. – Jak tylko skończysz, zanieś to ciasto do domu Salvatore. Włóż czystą koszulkę.

Mama była dobrą kucharką. I kiedy piekła ciasto albo chleb, czy przyrządzała zapiekanki z makaronem, zawsze robiła ich trochę więcej i sprzedawała mamie Salvatore.

Umyłem zęby, włożyłem koszulkę z olimpiady i wyszedłem z blachą ciasta w rękach.

Nie było wiatru. Słońce bombardowało promieniami domy.

Maria siedziała na schodach ze swoimi Barbie, w skrawku cienia. – Umiałbyś zbudować dom dla lalek?

– Pewnie. – Nigdy tego nie robiłem, ale to chyba nie takie trudne. – W ciężarówce ojca jest pucho. Możemy je pociąć i zrobić z niego dom. A potem pomalować. Ale teraz nie mam czasu. Muszę iść do Salvatore. – Zszedłem na drogę.

Nie było nikogo. Tylko kury grzebały w kurzu i jaskółki wciskały się pod dachy.

Ze stodoły dobiegał hałas. Podeszedłem. Fiat 127 Felice miał podniesioną maskę i stał mocno przechylony na jedną stronę. Spod spodu wystawała para czarnych wojskowych buciorów.

Kiedy Felice przyjeżdżał do Skośnej Wody, zawsze robił coś przy samochodzie. Mył go. Smarował. Odkurzał. Wymalował na karoserii czarny pas, taki jaki mają auta policyjne w Ameryce. Rozkręcał silnik, a potem nie potrafił złożyć go z powrotem, albo ginęła mu jakaś śruba i musiał chodzić aż do Lucignano, żeby ją dokupić.

– Michele! Michele, chodź tutaj! – wrzasnął Felice spod samochodu.

Przystanąłem. – Czego chcesz?

– Pomóż mi.

– Nie mogę. Mama kazała mi coś zrobić. – Zamierzałem oddać ciasto mamie Salvatore, wskoczyć na Grucho ta i pędzić do Filipa.

– Chodź tutaj.

– Nie mogę... – Muszę coś zrobić.

– Jeżeli tu nie przyjdiesz, zamorduję cię... – wycharczał.

– Czego chcesz?

– Utknąłem. Nie mogę się ruszyć. Koło odpadło, kiedy byłem pod spodem, do kurwy nędzy. Leżę tu już pół godziny!

Zajrzałem w otwartą maskę, pod silnikiem widać było twarz umazaną smarem i czerwone, zdesperowane oczy.

– Mam pójść po twojego ojca?

Ojciec Felice był w młodości mechanikiem. I kiedy Felice dłubał przy samochodzie, okropnie się wściekał.

– Zwariowałeś? Dopiero by mi dokopał... Pomóż.

Mogłem odejść i zostawić go tam. Rozejrzałem się dokoła.

– Nawet o tym nie myśl... Ja i tak stąd wyjdę, a kiedy wyjdę, połamię cię na kawałki jak korzonek lukrecji.

Zostanie po tobie tylko grób, na który twoi rodzice będą nosić kwiatki – uprzedził mnie Felice.

– Co mam zrobić?

– Weź lewarek z bagażnika i podłóż go obok koła.

Podłożyłem i zakręciłem korbą. Samochód uniósł się powoli.

Felice jęczał z radości. – Dobrze. Dobrze, już wyjdę. Dobry chłopak!

Wysunął się na zewnątrz. Koszulę miał upapraną czarnym olejem. Ręką przeczesał włosy. – Już myślałem, że tam umrę. Kręgosłup mi pęka. Wszystko przez tego zasrańca z Rzymu! – Zabrał się do robienia pompek, klnąc przy tym.

– Przez starego?

– Tak, nienawidzę go. – Zerwał się na równe nogi i zaczął kopać worki z kukurydzą. – Mówiłem mu, że nie mogę jeździć na górę tym autem. Na tej drodze rozwalają mi się amortyzatory, ale jego to gówno obchodzi. Dlaczego sam tam nie pojedzie swoim pieprzonym mercedesem? Dlaczego on tam nie siedzi? Ja już nie daję rady. I jeszcze w kółko nie rób tego, nie rób tamtego. Truje mi dupę bez końca, bo parę razy wyskoczyłem nad morze. Dużo lepiej było tu bez niego. Ale ja się stąd wynoszę... – Rąbnął pięścią w traktor i wyładował się, rozbijając drewniane skrzynki. – Jeżeli jeszcze raz mi powie, że jestem idiota, przywalę mu, że się przyklei do ściany. I jak do cholery mam tam jechać... – Przerwał i przypomniał sobie o mojej obecności. Chwycił mnie za koszulkę, podniósł do góry i przytknął mi do twarzy swój nos. – Nie powtarzaj nikomu tego, co mówiłem, rozumiesz? Jeżeli się dowiem, że wyśpiewałeś chociaż jedno słowo, urnę ci siusiaka i zjem z brokułami... – Wyciągnął z kieszeni nóż. Ostrze wystrzeliło dwa centymetry od czubka mojego nosa.

– Jasne?

– Jasne – wymamrotałem.

Cisnął mną o ziemię. – Nikomu! A teraz spadaj!

– I zaczął krążyć po stodole.

Zabrałem ciasto i uciekłem.

Rodzina Scardaccione była najbogatsza w Skośnej Wodzie.

Ojciec Salvatore, adwokat Emilio Scardaccione, miał ogromny kawał ziemi. Mnóstwo ludzi, zwłaszcza w porze żniw, pracowało dla niego. Ściągali z innych wiosek. Z daleka. Na ciężarówkach. Pieszko.

Także tato przez wiele lat, zanim został kierowcą, pracował sezonowo u mecenasa Scardaccione.

Żeby dostać się do domu Salvatore, trzeba było przejść przez bramę z kutego żelaza, przemierzyć dziedziniec z przyciętymi na kwadratowo krzakami, wysoką palmą i kamienną fontanną z czerwonymi rybkami, potem wspiąć się po marmurowych schodach o wysokich stopniach i było się na miejscu.

Gdy już wszedłeś do środka, znajdowałeś się w ciemnym korytarzu bez okien, tak długim, że można by jeździć po nim na rowerze. Po jednej stronie był szereg sypialni, zawsze zamkniętych, po drugiej salon. Było to ogromne pomieszczenie z aniołkami wymalowanymi na suficie, wielkim połyskliwym stołem pośrodku i krzesłami wokół niego. Pomiędzy dwoma obrazami w złotych ramach stała przeszklona szafka z cennymi filiżankami i kieliszkami oraz fotografiami mężczyzn w mundurach. Obok drzwi wejściowych średniowieczna zbroja trzymała w żelaznej ręce kij zakończony nabijaną gwoździami kulą. Mecenas kupił ją w miasteczku Gubbio. Nie wolno jej było dotknąć, bo mogła się przewrócić.

Za dnia nigdy nie podnoszono rolet. Nawet zimą. Czuć było zapach zamkniętego pomieszczenia, starego drewna. Jak w kościele.

Pani Scardaccione, matka Salvatore, była bardzo graba, mierzyła półtora metra wzrostu i nosiła siatkę na włosach. Nogi miała opuchnięte jak balerony, stale ją bolały, przez co opuszczała dom tylko przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą, żeby pojechać do fryzjerki do Lucignano. Spędzała życie w kuchni, jedynym jasnym pomieszczeniu w całym domu, razem z siostrą, ciotką Lucillą, wśród oparów i zapachu ragout.

Przypominały dwie foki. Pochylały jednocześnie głowy, jednocześnie wybuchaly śmiechem i jednocześnie klaskały w dłonie. Dwie tłuste tresowane foki z trwałą ondulacją. Siedziały całymi dniami na dwóch podniszczonych fotelach i pilnowały, żeby Antonia, służąca, czegoś nie pomyliła albo za długo nie odpoczywała.

Wszystko musiało być w porządku, kiedy mecenas Scardaccione wróci z miasta. Ale mecenas nie wracał. A kiedy wracał, od razu chciał wyjechać.

– Lucilla! Lucilla, popatrz, kto przyszedł! – zawołała Letizia Scardaccione, kiedy zobaczyła mnie w drzwiach kuchni.

Ciotka Lucilla uniosła głowę znad maszyny do szycia i uśmiechnęła się. Na nos miała nasadzone dwa denka od butelek, za którymi jej oczy zdawały się maleńkie jak ołowiane ciężarki. – Michele! Nasz Michele! Co nam przyniosłeś, ciasto?

– Tak, proszę pani. Tu jest. – Podałem jej blachę.

– Daj je Antonii.

Antonia faszerowała właśnie paprykę, siedząc przy stole.

Antonia Ammirati miała osiemnaście lat, była szczupła, ale nie za bardzo. Włosy miała rude, a oczy niebieskie, kiedy była mała, jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

Podszedłem do Antonii i wręczyłem jej ciasto. Ona pogłaskała mnie po głowie wierzchem dłoni.

Antonia bardzo mi się podobała, była piękna i chętnie bym się z nią zaręczył, ale była dużo starsza i miała chłopaka w Lucignano, który montował anteny telewizyjne.

– Dzielna kobieta z tej twojej mamy, co? – powiedziała Letizia Scardaccione.

– I jaka piękna – dodała ciotka Lucilla.

– Ty też jesteś ślicznym chłopcem. Prawda, Lucillo?

– Jest naprawdę śliczny.

– Antonio, czyż on nie jest śliczny? Gdyby był duży, wyszłabyś za niego?

Antonia zaśmiała się. – Zaraz bym za niego wyszła.

Ciotka Lucilla złapała mnie za policzek tak, że omal mi go nie urwała. – A ty wziąłbyś sobie Antonię?

Zrobiłem się całkiem czerwony i pokręciłem przecząco głową.

Obie siostry wybuchnęły śmiechem, całe uszczęśliwione, i śmiały się bez końca.

Potem Letizia Scardaccione sięgnęła po jakiś worek.

– Tutaj są ubrania, z których Salvatore wyrósł. Weź je. Gdyby spodnie były za długie, skróć ci je. Weź, zrób mi tę przyjemność. Popatrz, jaki chodzisz wyszykowany.

Chciałbym. Były jak nowe. Ale mama mówiła, że my nie przyjmujemy jałmużny od nikogo. Zwłaszcza od tych dwóch. Mówiła, że moje ubrania w zupełności mi wystarczą. I że to ona będzie decydować, kiedy przyjdzie pora je zmienić. – Dziękuję pani. Ale nie mogę.

Ciotka Lucilla otworzyła blaszaną puszkę i klasnęła w ręce. – Popatrz, co tu mam. Cukierki miodowe! Lubisz miodowe cukierki?

– Bardzo, proszę pani.

– Poczęstuj się.

Cukierki mogłem wziąć. Mama tego nie odkryje, bo zjem je wszystkie. Zrobiłem sobie niezły zapas. Napelniłem nimi kieszenie.

A Letizia Scardaccione dodała: – I daj trochę siostrze. Następnym razem przyprowadź ją ze sobą.

Powtarzałem jak papuga: – Dziękuję, dziękuję, dziękuję...

– Zanim pójdziesz, wstąp do Salvatore. Jest w swoim pokoju. Ale pamiętaj, nie siedź za długo, bo on musi grać. Ma dziś lekcję.

Wyszedłem z kuchni i mszyłem tym ponurym korytarzem, z czarnymi, smutnymi meblami. Minąłem pokój Nunzia. Drzwi były zamknięte na klucz.

Pewnego razu zastałem je otwarte i wszedłem do środka. Nie było tam nic oprócz wysokiego łóżka z metalowymi barierkami i pasami ze skóry. Pośrodku posadzki płytki były mocno porysowane i zniszczone. Dawniej, kiedy przechodziło się obok willi, widać było Nunzia, który chodził tam i z powrotem od drzwi do okna.

Mecenas próbował wszystkiego, żeby go wyleczyć, zawiózł go nawet do ojca Pio, ale Nunzio uczeplił się jakiejś figury Madonny, strącił ją i braciszczowie wyrzucili go z kościoła. Od kiedy zaniknęli go w domu wariatów, nigdy już nie wrócił do Skośnej Wody.

Musiałem jechać do Filippa, przyrzekłem mu to. Miałem mu zawieźć ciasto i cukierki. Ale było gorąco. Może poczekać. I tak mu to nie robi różnicy. A poza tym miałem ochotę posiedzieć chwilę z Salvatore.

Przez drzwi jego pokoju słychać było fortepian. Zapukałem.

– Kto tam?

– Michele.

– Michele? – Otworzył mi, rozejrzał się na boki, jak poszukiwany przestępca, wepchnął mnie do środka i zamknął drzwi na klucz.

Pokój Salvatore był wielki, nieprzytulny, z wysokim sufitem. Pod jedną ze ścian stało pianino. Pod drugą łóżko tak wysokie, że potrzebny był taboret, żeby się na nie wdrapać. I długa biblioteczka z mnóstwem książek, uporządkowanych według kolorów okładek. Zabawki były złożone w komodzie. Biała ciężka zasłona przepuszczała promień światła, w którym tańczył kurz.

Pośrodku pokoju, na podłodze, leżała zielona plansza do gry w piłkarzyki. Na niej ustawione naprzeciw siebie Juventus i Torino.

– Co ty tu robisz? – spytał.

– Nic. Przyniosłem ciasto. Mogę zostać? Twoja matka powiedziała, że masz lekcję...

– Tak, zostań – ściszył głos – ale jak się spostrzegą, że nie ćwiczę, nie dadzą mi spokoju. – Wziął płytę i założył ją na adapter. – W ten sposób myślą, że gram. – I dodał bardzo poważnie. – To Chopin.

– Kto to jest Chopin?

– Taki jeden, dobry.

Byliśmy z Salvatore w tym samym wieku, ale on wydawał mi się starszy. Trochę dlatego, że był ode mnie wyższy, trochę dlatego, że zawsze nosił czyste białe koszule i długie spodnie z kantem. A trochę z powodu opanowanego tonu, jakim mówił. Zmuszali go do grania, raz w tygodniu przyjeżdżał z Lucignano nauczyciel, który udzielał mu lekcji, a on, chociaż nienawidził muzyki, nie skarżył się i tylko powtarzał zawsze:

– Ale kiedy dorosnę, rzucę to.

– Masz ochotę na jeden mecz? – zapytałem go.

Piłkarzyki były moją ulubioną grą. Nie byłem w niej szczególnie dobry, ale podobała mi się ogromnie. Zimą urządzaliśmy z Salvatore niekończące się turnieje, spędzaliśmy całe popołudnia na pstrykaniu tymi maleńkimi plastikowymi piłkarzami. Salvatore grał nawet sam ze sobą. Przenosił się z jednej strony na drugą. Kiedy nie grał w piłkarzyki, zajmował się ustawianiem w kolumnach tysięcy figurek żołnierzy, po całym pokoju, aż zupełnie zakrywał podłogę i nie było nawet gdzie stanąć. A kiedy wreszcie wszyscy byli ustawieni w geometrycznych zastępach,

zaczynał ich przesuwając, jednego po drugim. Długie godziny spędzał w ciszy, rozmieszczając wojska, aby potem, kiedy nadchodziła Antonia i oznajmiała, że podano kolację, zgarnąć je wszystkie do pudeł po butach.

– Patrz – powiedział i wyciągnął z jednej z szuflad osiem pudełek z zielonej tektury. Każde zawierało jedną drużynę piłkarską. – Patrz, co mi подарował tato. Przywiózł mi je z Rzymu.

– Wszystkie? – Wziąłem je do ręki. Musiał być naprawdę bogaty, mecenas, żeby wydać tyle pieniędzy.

Każdego roku, który mijał z Bogiem, na moje urodziny i na Boże Narodzenie, błagałem tatę i Dzieciątka Jezus, żebym dostał w prezencie piłkarzyki, ale nie było rady, żaden z nich nie chciał mnie wysłuchać. Starczyłaby mi jedna drużyna. Bez boiska i bramek. Nawet z drugiej ligi. Dałbym wiele, żeby przyjść do Salvatore z własną drużyną, ponieważ, byłem tego pewien, gdyby była moja, grałbym lepiej, nie przegrywałbym tak bardzo. Kochałbym moich piłkarzy, dbałbym o nich i pokonałbym Salvatore.

On miał ich już cztery. A teraz ojciec kupił mu następne osiem.

Dlaczego ja nie miałem nic?

Dlatego, że mojemu tacie na mnie nie zależało, mówił, że mnie kocha, ale to nie była prawda. Podarował mi idiotyczną łódkę z Wenecji, do postawienia na telewizorze. I nie mogłem jej nawet ruszyć.

Chciałem jedną drużynę. Gdyby ojciec подарował mi cztery, nic bym nie powiedział, ale było ich osiem. Razem miał już dwanaście.

Jedna mniej, co to dla niego za różnica?

Odchrząknąłem i wyszeptałem: – Dasz mi jedną?

Salvatore zmarszczył brwi i zaczął krążyć po pokoju. Potem powiedział: – Przykro mi, ja bym ci nawet dał, ale nie mogę. Gdyby tato się dowiedział, wściekłby się.

Nieprawda. Gdzieżby tam ojciec sprawdzał mu drużyny. Salvatore był skąpy.

– Rozumiem.

– Zresztą, jaka to różnica? Możesz tu przychodzić i grać, kiedy chcesz.

Gdybym miał coś na wymianę, może by mi dał. Ale nie miałem niczego.

Nie, coś jednak miałem na wymianę.

– Jak ci powiem sekret, dasz mi jedną?

Salvatore spojrział na mnie z ukosa. – Jaki sekret?

– Niesamowity sekret.

– Nie ma takiego sekretu, który byłby wart drużyny.

– Mój jest. – Pocałowałem się w czubki palców wskazujących. – Przysięgam.

– A jeżeli mnie tylko nabierasz?

– Nie nabieram. Ale jak uznasz, że cię nabrałem, oddam ci drużynę.

– Nie interesują mnie sekrety.

– Wiem. Ale ten jest super. Nie zdradziłem go nikomu. Gdyby Czacha się dowiedział, skakałby z radości...

– No to idź z tym do Czachy.

Ale ja byłem już zdecydowany na wszystko. – Wezmę nawet Lanerossi Vicenza.

Salvatore wybałuszył oczy.

– Nawet Lanerossi Vicenza?

– Tak.

Nienawidziliśmy drużyny Lanerossi Vicenza. Była przeklęta. Kiedy nią grałeś, musiałeś przegrać. Żaden z nas dwóch nigdy nie wygrał tą drużyną. I miała jednego gracza bez głowy, drugi był posklejany, a bramkarz całkiem wygięty.

Salvatore zastanowił się przez chwilę i w końcu oświadczył: – Zgoda. Ale jeżeli to jakiś gówniany sekret, nie dam ci jej.

I w ten sposób opowiedziałem mu wszystko. O tym, jak spadłem z drzewa. O dziurze. O Filippie. O tym, że był zwariowany. O jego chorej nodze. O smrodzie. O tym, że Felice go pilnował. O tacie i o starym, którzy chcieli obciąć mu uszy. O Francescu, który skoczył w przepaść z ptaszkiem na wierzchu. O matce Filippa w telewizji.

Wszystko.

Doświadczałem cudownego uczucia. Jak wtedy, kiedy zjadłem cały słoik brzoskwiń w syropie. Potem byłem chory, zdawało mi się, że pęknę, w brzuchu miałem trzęsienie ziemi i nawet dostałem gorączki, tak że mama najpierw zabiła mnie po buzi, a potem wepchnęła mi głowę do ustępu i wsadziła dwa palce do gardła. I wyrzuciłem z siebie nieskończoną ilość żółtej i kwaśnej papki. I wróciłem do życia.

Kiedy mówiłem, Salvatore siedział w milczeniu, nieporuszony.

Na zakończenie dodałem: – I ciągle gada o tych szopach pracach. Że to niby takie misie, które robią pranie. Mówiłem mu, że nie istnieją, ale on mnie nie słucha.

– Istnieją szopy pracze.

Rozdziawiłem usta. – Jak to istnieją? Mój ojciec powiedział, że nie istnieją.

– Żyją w Ameryce. – Sięgnął po wielką encyklopedię zwierząt i przerzucał kartki. – O, jest. Patrz. – Podał mi książkę.

Kolorowa fotografia przedstawiała coś jakby lisa. Z białym pyszczkiem i czarną maseczką na oczach, jak Zorro. Tyle że był bardziej kudłaty od lisa, miał krótsze łapki i potrafił trzymać nimi przedmioty. Ścisnął, niby rękami, jabłko. Było to bardzo ładne zwierzątko. – A więc istnieje...

– Tak. – Salvatore przeczytał: – Gatunek ssaków drapieżnych z rodziny szopowatych, o zwartej budowie ciała, spiczastym pysku, dużej głowie, dużych oczach otoczonych brunatno-czarnymi plamami. Sierść szara, ogon niezbyt długi. Żyje w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Zwany szopem praczem z powodu dziwnego zwyczaju płukania w wodzie pokarmu przed spożyciem.

– Nie pierze ubrań, tylko myje jedzenie... Więc to tak – Byłem wstrząśnięty. – A ja mu powiedziałem, że nie istnieją...

Salvatore zapytał: – A dlaczego go tam trzymają?

– Dlatego, że nie chcą oddać go matce. – Złapałem go za nadgarstek. – Chcesz ze mną pojechać i go zobaczyć? Możemy jechać od razu. Chcesz? Znam jeden skrót... Dojedziemy szybko.

Nie odpowiedział. Poukładał piłkarzy w pudełkach i złożył boisko.

– No co? Chcesz?

Przekręcił klucz i otworzył drzwi. – Nie mogę. Przyjeżdża nauczyciel. Jak nie odrobuję lekcji, powie tym dwóm, a potem będą gadały.

– Ale jak to? Nie chcesz go zobaczyć? Nie spodobał ci się mój sekret?

– Niespecjalnie. Nie obchodzą mnie wariaci w dziurach.

– Dasz mi Vicenzę?

– Weź ją sobie. I tak jej nie znoszę. – Wsunął mi do ręki pudełko i wypchnął mnie z pokoju. I zamknął drzwi.

Pedałowałem w stronę wzgórze i nie mogłem zrozumieć.

Jak mógł go nie obchodzić chłopiec przykuty łańcuchem w dziurze? Salvatore powiedział, że mój sekret mu się nie podoba.

Nie powinienem był mu go zdradzić. Zmarnowałem swój sekret. I co na tym zyskałem? Lanerossi Vicenza, która w dodatku przynosiła pecha.

Byłem gorszy od Judasza, który przehandlował Jezusa za trzydzieści srebrników. Za trzydzieści srebrników kto wie, ile drużyn można by kupić.

Pudełko wsunąłem za spodenki. Przeszkadzało mi. Krawędzie wbijały mi się w skórę. Chciałem je wyrzucić, ale nie miałem odwagi.

Marzyłem, żeby cofnąć się w czasie. Oddałbym ciasto pani Scardaccione i poszedłbym sobie, nawet nie zaglądając do Salvatore.

Piąłem się pod górę w takim pędzie, że kiedy dotarłem na miejsce, zbierało mi się na wymioty.

Rower porzuciłem u podnóża i ten ostatni stromy odcinek pokonałem pieszo, biegnąc przez zboże. Miałem wrażenie, że serce próbuje wyrwać mi się z piersi. Chciałem od razu pędzić do Filippa, ale padłem pod drzewem i musiałem poczekać, aż przejdzie mi zadyszka.

Kiedy poczułem się lepiej, rozejrzałem się, czy gdzieś w pobliżu nie ma Felice. Nie było nikogo. Wszedłem do domu, zabrałem sznur.

Odsunąłem płytę i zawołałem. – Filippo!

– Michele! – Poruszył się gwałtownie. Czekał na mnie.

– Przyszedłem, widzisz? Widzisz, że przyszedłem?

– Wiedziałem, że przyjdiesz.

– Powiedziały ci szopy pracze?

– Nie. Sam wiedziałem. Obiecałeś.

– Miałeś rację, szopy pracze istnieją. Czytałem o nich w książce. Nawet widziałem je na zdjęciu.

– Ładne, prawda?

– Bardzo. Ty widziałeś kiedyś jakiegoś?

– Tak. Słyszysz je? Słyszysz, jak gwizdzą?

Nie słyszałem żadnego gwizdania. Nic z tego. To wariat.

– Idziesz? – Dał mi znak, żebym zszedł.

Uchwyciłem się sznura. – Idę. – Opuściłem się na dół.

Posprząтали. Wiadro było puste. Garnuszek pełen wody. Filippo dalej owinięty był swoim ohydny kocem, ale za to go umyli. Obwiązali mu kostkę bandażem. I nie miał już łańcucha na nodze.

– Umyli cię!

Uśmiechnął się. Zębów mu nie umyli.

– Kto to zrobił?

Jedną ręką osłaniał oczy. – Pan od robaków i karzelki, jego sługi. Zeszli i umyli mnie całego. Ja im powiedziałem, że mogą mnie myć, ile chcą, ale ty i tak ich dopadniesz i że mogą uciekać tak daleko, jak chcą, ale ty będziesz ich gonił przez całe kilometry i się nie zmęczysz.

Złapałem go za rękę. – Powiedziałaś im moje imię?

– Jakie imię?

– Moje.

– A jakie jest twoje imię?

– Michele...

– Michele? Nie!

- Przecież dopiero co mnie wołałeś...
- Ty nie masz na imię Michele.
- A jak mam na imię?
- Dolores.
- Nie jestem Dolores. Jestem Michele Amitrano.
- Jak chcesz.

Miałem wrażenie, że się ze mnie nabija.

- Ale co mu powiedziałaś, temu panu od robaków?
- Powiedziałem, że mój anioł stróż ich dopadnie. Odetchnąłem z ulgą. – Aha, to świetnie! Powiedziałeś, że jestem aniołem stróżem. – Wyjąłem ciasto z kieszeni. – Popatrz, co ci przyniosłem. Pokruszyło się... – Nie zdążyłem nawet dokończyć zdania, kiedy rzucał się na mnie.

Wyrwał mi to, co pozostało z ciasta, i wsadził sobie wszystko do ust, a potem, z zamkniętymi oczami, szukał okruszków.

Wpychał mi ręce wszędzie. – Jeszcze! Jeszcze! Daj mi jeszcze! – Drapał mnie paznokciami.

– Nie mam więcej. Przysięgam. Czekał... – W tylnej kieszeni miałem cukierki. – Trzymaj. Bierz.

Odwiął z papierków, żuł i połykał je z niewiarygodną prędkością.

– Jeszcze! Jeszcze!

– Dałem ci już wszystkie.

Nie chciał uwierzyć, że nie miałem nic więcej. Wciąż szukał okruszków.

– Jutro znowu coś ci przyniosę. Co chcesz?

Zaczął drapać się po głowie. – Chcę... chcę... chleba. Chleba z masłem. Z masłem i marmoladą. Z szynką. I z serem. I czekoladę. Bardzo dużą kanapkę.

– Zobaczą, co jest w domu.

Usiadłem. Filippo nie przestawał dotykać moich stóp i rozpinać mi sandałów.

Nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Wspaniały pomysł.

Nie miał łańcucha. Był wolny. Mogłem go stąd wyciągnąć.

Zapytałem: – Masz ochotę wyjść?

– Wyjść dokąd?

– Wyjść na zewnątrz.

– Na zewnątrz?

– Tak, na zewnątrz. Wyjść z dziury.

Chwilę pomilczał, a potem zapytał: – Z dziury? Jakiej dziury?

– Tej dziury, tutaj. Tu w środku. Tej, w której jesteśmy.

Pokręcił przecząco głową. – Nie ma żadnych dziur.

– To nie jest dziura?

– Nie.

– Ależ tak, to jest dziura i sam tak powiedziałeś.

– Kiedy to powiedziałem?

– Powiedziałeś, że na świecie pełno jest dziur, w których siedzą umarli. I że na księżycu też jest pełno dziur.

– Wcale nie. Ja tak nie mówiłem.

Zaczynałem tracić cierpliwość. – No to gdzie jesteśmy?

– W miejscu, gdzie się czeka.

– A na co się czeka?

– Żeby pójść do nieba.

W sumie miał trochę racji. Jeżeli zostaniesz tu na całe życie, w końcu umrzesz i twoja dusza polecą do nieba. Od dyskusji z Filippem człowiekowi płątały się myśli.

– No już, wyciągnę cię na zewnątrz. Chodź. – Złapałem go, ale usztywnił się cały i drżał. – No dobrze. Dobrze. Nie wychodzimy. Ale uspokój się. Nic ci nie zrobię.

Schował głowę pod koc. – Na zewnątrz nie ma powietrza. Uduszę się. Nie chcę tam iść.

– Nieprawda. Na zewnątrz jest mnóstwo powietrza. Ja zawsze jestem na zewnątrz i się nie duszę. No i co?

– Ty jesteś aniołem.

Trzeba było zmusić go do myślenia. – Posłuchaj mnie uważnie. Wczoraj obiecałem ci, że wrócę, i wróciłem. Teraz obiecuję ci, że jeżeli stąd wyjdiesz, nic ci się nie stanie. Musisz mi uwierzyć.

– Po co mam stąd wychodzić? Tu jest mi dobrze. Musiałem go okłamać. – Bo na zewnątrz jest niebo.

I ja mam cię zabrać do nieba. Jestem aniołem, a ty umarłeś i teraz mam cię zaprowadzić do nieba. Zastanawiał się przez chwilę. – Naprawdę?

– Naprawdę.

– No to chodźmy. – I poruszył się z ożywieniem. Usiłowałem postawić go na nogi, ale trzymał je ugięte.

Nie mógł ustać. Kiedy go nie podtrzymałem, padał. Wreszcie obwiązałem go sznurem wokół bioder. I owinąłem mu głowę kocem, wtedy był spokojny. Wyszedłem na górę i zacząłem go wciągać. Był za ciężki. Wisiał tak, dwadzieścia centymetrów nad ziemią, całkiem sztywny i przekrzywiony, a ja tkwiłem w górze, ze sznurem na ramionach, zgięty w pół nad dołem, bez siły, żeby go wydzwignąć.

– Pomóż mi, Filippo. Nie dam rady.

Ale on ciążył jak kamień i sznur wysuwał mi się z rąk. Zrobiłem krok w tył i sznur się poluzował. Filippo opadł na ziemię.

Nachyliłem się nad dołem. Leżał przewrócony, brzuchem do góry, z kocem na głowie.

– Filippo, wszystko w porządku?

– Jestem na miejscu? – zapytał.

– Poczekaj. – Obiegnąłem dom dokoła w poszukiwaniu deski, drąga, czegoś, co mogłoby mi pomóc. W stajni znalazłem stare drzwi, odrapane i mocno zniszczone. Zaciągnąłem je na podwórze. Chciałem opuścić je do dziury i wyciągnąć po nich Filippa. Ustawiłem je pionowo na krawędzi, ale upadły mi i rozleciały się na dwie połowy, najeżone ostrymi drzazgami. Drewno było całkiem przeżarte przez komiki. Nie nadawały się do niczego.

– Michele? – Filippo mnie wołał.

– Chwila! Poczekaj chwilę! – krzyknąłem, złapałem kawałek tych przeklętych drzwi, uniosłem go ponad głowę i cisnąłem w stronę drabiny.

Drabiny?

Stała obok, dwa metry od dołu. Piękna drewniana drabina pomalowana na zielono, wsparta o bluszcz, który porastał kupę gruzu i ziemi. Była tam zawsze, a ja nigdy jej nie zauważyłem. Więc to tak schodzili.

– Znalazłem drabinę! – obwieściłem Filippowi. Wziąłem ją i spuściłem do dziury.

Zaciągnąłem go do zagajnika, pod jedno z drzew. Były tam ptaki. Cykady. Cień. I panował przyjemny zapach wilgotnej ziemi, mchu.

Zapytałem go: – Mogę ci ściągnąć koc z twarzy?

– Jest słońce?

– Nie.

Nie chciał odwinąć koca, ale w końcu udało mi się przekonać go, żeby dał sobie zawiązać oczy moją koszulką. Był zadowolony, widać to było po tym, jak się uśmiechał. Lekki wiaterek pieścił mu skórę, a on poddawał się temu z rozkoszą.

Zapytałem: – Dlaczego cię tu wsadzili?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Zupełnie nic?

– Znalazłem się tutaj.

– A co pamiętasz?

– Że byłem w szkole. – Kołysał głową. – Tyle pamiętam. Była gimnastyka. A potem wyszedłem. Biały samochód zatrzymał się. I znalazłem się tutaj.

– A gdzie mieszkasz?

– Na ulicy Modiglianiego 36. Przy skrzyżowaniu z ulicą Cavalier D'Arpino.

– A gdzie to jest?

– W Pawii.

– We Włoszech?

– Tak.

– Tu też są Włochy.

Przestał się odzywać. Pomyślałem, że zasnął, ale w pewnej chwili zapytał: – Co to są za ptaki?

Rozejrzałem się dokoła. – Wróble.

– Pewny jesteś, że to nie są nietoperze?

– Tak. Nietoperze w dzień śpią i wydają inny głos.

– Za to lotokoty, takie koty, co potrafią fruwać, latają też w dzień i skrzeczą prawie jak ptaki. I ważą więcej niż kilo. Jak się uczepią cienkich gałązek, to spadają na ziemię. Te tutaj, według mnie, to są lotokoty.

Po tej całej historii z szopami praczami nie mogłem mu nic powiedzieć, może w Ameryce są też i latające koty. Zapytałem go: – A byłeś kiedyś w Ameryce?

– Wczoraj widziałem mamę. Powiedziała mi, że nie może przyjechać i mnie zabrać, bo umarła. Umarła razem z całą moją rodziną. Inaczej, powiedziała, przyjechałaby od razu.

Zatkałem sobie uszy.

– Filippo, jest późno. Muszę cię odprowadzić na dół.

– Naprawdę mogę tam wrócić?

– Tak.

– Dobrze. Wracajmy.

Spędził te pół godziny bez słowa, z oczami przewiazanymi koszulką. Od czasu do czasu sztywniały mu szyja i usta, a palce rąk i nóg drżały nerwowo, jakby w jakimś tiku. Siedział jak urzeczony, nieruchomo, nasłuchując latających kotów.

– Złap mnie za szyję. – Uchwycił się mnie kurczowo, a ja zaciągnąłem go na brzeg dziury. – Teraz zejdziemy po drabinie, trzymaj się dobrze. Nie puszczaj mnie.

Było to trudne. Filippo wczepił się we mnie tak silnie, że nie mogłem oddychać i nie widziałem szczebli drabiny, musiałem szukać ich po omacku stopami.

Kiedy dotarliśmy na dno, byłem biały jak prześcieradło i sapałem ciężko. Ułożyłem go w kącie. Przykryłem, dałem mu pić i powiedziałem: – Jest strasznie późno. Muszę iść. Tato mnie zabije.

- Ja zostanę tutaj. Ale ty przynieś mi kanapki. I pieczonego kurczaka.
- Kurczaka jemy w niedzielę. Dzisiaj mama robi siekane kotlety. Lubisz siekane kotlety?
- Z sosem pomidorowym?
- Tak.
- Bardzo lubię.

Żał mi było tak go zostawiać. – No to idę... – Już miałem chwycić szczebel, kiedy drabina została wciągnięta do góry.

Uniosłem wzrok.

Przy krawędzi stał ktoś z głową ukrytą pod brązowym kapturem. Ubrany był całkiem jak żołnierz. – A kuku, a kuku, strzela baba z łuku – zaśpiewał i zaczął wywijać piruety. – A dziadek za drzwiami wali kopytami! Zgadnij, kto ja jestem?

– Felice!

– Brawo! – potwierdził i zamilkł na chwilę. – Jak ty to, kurwa, odkryłeś? Czeka! Poczeka! Poczeka no chwilę.

Odszedł, a kiedy pojawił się z powrotem, trzymał w rękach strzelbę.

– To byłeś ty! – Felice klaskał w dłonie. – To ty, do kurwy nędzy! Zawsze znajdowałem coś przestawionego. Najpierw myślałem, że zwariowałem. Potem myślałem, że to duch. A tymczasem to byłeś ty. Michelino. Całe szczęście, bo wpadłbym w obłąd.

Poczułem ucisk wokół kostki. Filippo uczeplił się moich stóp i szeptał: – Pan od robaków przychodzi i odchodzi. Pan od robaków przychodzi i odchodzi. Pan od robaków przychodzi i odchodzi.

Więc to był pan od robaków!

Felice patrzył na mnie przez dziury w kapturze. – Zaprzyjaźniłeś się z królewiczem? Widziałeś, jak ładnie go umyłem? Odstawiał kaprysy, ale w końcu wygrałem. Ale koca to już nie chciał mi oddać.

Byłem w pułapce. Nie mogłem go obserwować. Słońce przeświecające przez listowie oślepiło mnie.

– Łap!

Nóż wbił się w ziemię. Dziesięć centymetrów od mojego sandała i dwadzieścia od głowy Filipa.

– Widziałeś, jakie oko? Mogłem ci odrąbać wielki palec u nogi, jak nic. I co byś zrobił?

Nie mogłem mówić. Miałem zatkałe gardło.

– Co byś zrobił bez palca? – powtórzył. – Powiesz mi? Powiesz mi coś?

– Wykrwawiłbym się na śmierć.

– Brawo. A jeżeli strzelę do ciebie z tego – zademonstrował mi strzelbę – co będzie?

– Umrę.

– Widzisz, jednak znasz się na rzeczy. Włóż na górę, szybko! – Felice sięgnął po drabinę i opuścił ją na dół.

Nie chciałem, ale nie miałem wyboru. Zastrzeliliby mnie. Nie byłem pewny, czy dam radę wyjść, trzęsły mi się nogi.

– Czeka, czeka – powiedział Felice. – Przyniesiesz mi nóż, z łaski swojej?

Schyliłem się i Filippo wyszeptał: – Już nie wrócisz?

Wyrwałem nóż z ziemi i niepostrzeżenie odpowiedziałem mu szeptem: – Wróć.

– Obiecujesz?

Felice polecił mi: – Zamknij go i włóż do kieszeni.

– Obiecuję.

– Szybko! Szybko! Wyłaż, gówniarzu. Na co czekasz?

Zacząłem się wspinać. Filippo tymczasem szeptał nieprzerwanie: – Pan od robaków przychodzi i odchodzi. Pan od robaków przychodzi i odchodzi. Pan od robaków przychodzi i odchodzi.

Kiedy byłem już prawie na zewnątrz, Felice chwycił mnie za spodnie i obiema rękami cisnął mną, niczym workiem, w dom. Uderzyłem o ścianę i padłem na ziemię. Próbowałem się podnieść. Miałem stłuczony bok. Kłujący ból paraliżował mi nogę i ramię. Odwróciłem się. Felice zdjął kaptur i biegł w moją stronę jak do ataku, z wymierzoną strzelbą. Widziałem, jak jego buciory podobne do pancernego wozu stają się coraz większe.

Teraz mnie zastrzeli, pomyślałem.

Zacząłem pełznąć w stronę zagajnika, szorując brzuchem po ziemi.

– Chciałeś mi pomóc, żeby uciekł, co? Ale nie wyszło. Przeliczyłeś się. – Kopnął mnie w tyłek. – Wstawaj, gówniarzu. Co tam robisz na ziemi? Wstawaj! Zrobiłeś sobie krzywdę przez przypadek? – Podniósł mnie za ucho. – Dziękuj Panu Bogu, że jesteś synem swojego ojca. Inaczej już byś... Teraz ci odstawię do domku. Niech twój ojciec postanowi, jak cię ukarać. Ja wykonałem swój obowiązek. Stałem na straży. I powinienem cię zastrzelić. – Zaciągnął mnie do zagajnika. Byłem tak przerażony, że nie mogłem nawet płakać. Potykałem się, przewracałem, a on mnie podnosił, ciągnąc za ucho. – Ruszaj się, dalej, dalej, dalej!

Wyszliśmy spod drzew.

Przed nami żółty i rozgrzany ocean pszenicy ciągnął się po samo niebo. Gdybym w niego wskoczył, nigdy by mnie nie odnalazł.

Lułą strzelby Felice pchnął mnie do fiata 127 i przypomniał sobie: – Aha, oddaj mi nóż!

Próbowałem mu go oddać, ale nie mogłem trafić ręką do kieszeni.

– Ja to zrobię! – Odebrał mi go. Otworzył drzwi auta, odchylił przednie siedzenie i rozkazał: – Wsiadaj!

Wszedłem do środka. Z przodu siedział Salvatore.

– Salvatore, co tu...? – Reszta zamarała mi na wargach.

To Salvatore. To on doniósł Felice.

Salvatore spojrział na mnie i odwrócił głowę.

Usiadłem z tyłu bez słowa.

Felice usadowił się za kierownicą. – Drogi Salvatore, byłeś bardzo dzielny. Dawaj rękę. – Felice uniósł jego dłoń. – Miałeś rację, pan wścibski był tam. A ja ci nie wierzyłem. – Wsiadł. – Obietnica to obietnica. A kiedy Felice Natale coś obieca, to dotrzyma. Prowadź. Tylko jedź powoli.

– Teraz? – zapytał Salvatore.

– A kiedy? Siadaj na moim miejscu.

Felice wsiadł przez drzwi pasażera, a Salvatore przesunął się za kierownicę. – Idealne miejsce na naukę. Wystarczy, żebyś się trzymał drogi i od czasu do czasu przyhamował.

Salvatore Scardaccione sprzedał mnie za lekcję jazdy.

– Rozwalisz mi auto! – krzyczał Felice, który z głową przyklejoną do przedniej szyby kontrolował nierówności drogi. – Hamuj! Hamuj!

Salvatore sięgał niewiele ponad kierownicę, którą ścisnął w dłoniach, jakby zamierzał ją złamać.

Kiedy Felice rzucił się na mnie z wymierzoną strzelbą, posikałem się. Spostrzegłem to dopiero teraz. Miałem przemoczone spodnie.

Samochód pełny był rozszalałych gzów. Podskakiwaliśmy na garbach, wpadaliśmy do dziur. Musiałem trzymać się kurczowo uchwytu.

Salvatore nigdy mi nie mówił, że chciałby prowadzić samochód. Mógł poprosić ojca, żeby nauczył go jeździć. Mecenaz niczego mu nie odmawiał. Czemu wolał prosić Felice?

Bołało mnie wszystko, otarte kolana, żebra, ramię i nadgarstek. Ale przede wszystkim serce. Salvatore złamał mi je.

Był moim najlepszym kumplem. Kiedyś, na jakiejś gałęzi chleba świętojańskiego, złożyliśmy nawet przysięgę wiecznej przyjaźni. Wracaliśmy razem ze szkoły. Jeżeli jeden wychodził wcześniej, czekał na drugiego.

Salvatore mnie zdradził.

Miała rację mama, kiedy mówiła, że ci Scardaccione uważają się za Bóg wie kogo, tylko dlatego że mają pieniądze. I jeszcze mówiła, że mogłby się człowiek topić, a oni nawet nie spojrzeliby mu w twarz. Mnóstwo razy wyobrażałem sobie siostry Scardaccione na brzegu ruchomych piasków, szyjące na maszynie, i siebie, jak się zapadam i wyciągam rękę i błagam o pomoc, a one rzucają mi miodowe cukierki i odpowiadają, że nie mogą się mszyć z powodu spuchniętych stóp. Ale z Salvatore byliśmy przyjaciółmi.

Myliłem się.

Miałem straszliwą chęć rozplakać się, ale przyrzekłem sobie, że jeżeli jedna choćby łza spłynie z moich oczu, wezmę pistolet starego i się zastrzelę. Wydobyłem z za spodenek pudełko z Lanerossi Vicenza. Było całkiem rozmiękłe od sików.

Położyłem je na siedzeniu.

Felice wrzasnął: – Dosyć, stój! Dłużej nie wytrzymam.

Salvatore zahamował gwałtownie, silnik zgasł i samochód utknął w miejscu, a Felice, gdyby nie wyciągnął w porę rąk do przodu, rozbiłby głowę o przednią szybę.

Otworzył z rozmachem drzwi i wysiadł. – Usuń się!

Salvatore bez słowa przeniósł się na miejsce pasażera.

Felice chwycił za kierownicę i oświadczył: – Drogi Salvatore, muszę ci to powiedzieć, jesteś absolutnym antytalentem do jazdy. Daj sobie spokój. Kolarstwo to twoja przyszłość.

Kiedy dotarliśmy do Skośnej Wody, moja siostra, Barbara, Remo i Czacha grali w klasy w tumanach kurzu.

Zauważyli nas i przestań grać.

Ciężarówka ojca nie było. I samochodu starego też.

Felice zaparkował fiata w stodole.

Salvatore wyskoczył z wozu, zabrał rower i odjechał, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Felice odsunął przednie siedzenie. – Wyłaź!

Nie chciałem wychodzić.

Pewnego razu, w szkole, rozbiłem okno od podwórza, takim kijem, jakich używa się do ćwiczeń gimnastycznych. Chciałem udowodnić Angelo Cantiniemu, koledze z klasy, że to szkło jest nietłukące. Tymczasem ono rozpadło się na miliard równych kosteczek. Dyrektor zadzwonił do mamy i oświadczył, że musi z nią pomówić.

Kiedy przyszła, spojrzała na mnie i szepnęła mi do ucha: – Później się policzymy. – I weszła do gabinetu dyrektora, podczas gdy ja czekałem na korytarzu.

Bąłem się wtedy okropnie, ale było to nic w porównaniu z tym, co czułem teraz. Felice opowie wszystko mamie, a ona powtórzy tacie. I tato się wścieknie. I wtedy stary zabierze mnie ze sobą.

– Wyłaź! – powtórzył Felice.

Zebrałem się na odwagę i wysiadłem.

Wstydzilem się. Miałem zmoczone spodnie.

Barbara zasłoniła usta ręką. Remo podbiegł do Czachy. Maria zdjęła okulary i przetarła szkła koszulką.

Światło było oślepiające, nie mogłem utrzymać oczu otwartych. Za plecami słyszałem ciężkie kroki Felice. Mama Barbary wyglądała przez okno. Przez inne wyglądała mama Czachy. Śledziły mnie pustymi oczami. Panowałyby absolutna cisza, gdyby nie Togo, który zaczął szczekać tym swoim piskliwym głosem. Czacha dał mu kopniaka i Togo uciekł, skomląc.

Wszedłem po schodach i otworzyłem drzwi do domu.

Rolety były opuszczone i wpadało niewiele światła. Radio było włączone. Mama, w samej halce, siedziała przy stole i obierała ziemniaki. Zobaczyła, jak wchodzę, a za mną Felice. Nóż wysunął się jej z ręki. Upadł na stół, a stamtąd na podłogę. – Co się stało?

Felice wsadził ręce w kieszenie spodni moro, spuścił głowę i powiedział: – Był na górze. Z dzieciakiem.

Mama zerwała się z krzesła, wyłączyła radio, zrobiła krok, potem drugi, zatrzymała się, zasłoniła sobie twarz rękami i przysiadła na podłodze, patrząc na mnie.

Wybuchnąłem płaczem.

Podbiegła i objęła mnie. Przytuliła mocno do piersi i spostrzegła, że jestem cały zmoczony. Postawiła mnie na krześle i obejrzała moje obtarte nogi i ramiona, zakrzepłą krew na kolanach. Odchyliła mi koszulkę.

– Co ci się stało? – zapytała.

– To on! To on... mnie... pobił! – wskazałem na Felice.

Mama odwróciła się, zmierzyła Felice wzrokiem i warknęła: – Coś ty mu zrobił, matole?

Felice podniósł ręce. – Nic. Co mu zrobiłem? Odwiozłem go do domu.

Mama zmrużyła oczy. – Ty! Na co ty sobie pozwalasz? – Żyły na jej szyi nabrzmiały, a głos drżał. – Na co sobie pozwalasz, co? Biłeś mojego syna, łajdaku! – I rzuciła się na Felice.

On wycofał się. – Dałem mu kopniaka w tyłek. I cóż to znowu wielkiego?

Mama chciała uderzyć go w twarz. Felice chwycił jej dłonie w nadgarstkach, żeby przytrzymać ją w bezpiecznej odległości, ale ona była jak lwica. – Ty świnió! Wydrapię ci ślepią!

– Znalazłem go w dole... Chciał wypuścić dzieciaka. Nic mu nie zrobiłem. Dostyc, przestań już!

Mama była boso, ale i tak kopnęła go solidnie w jajka.

Biedny Felice wydał dziwny dźwięk, coś pomiędzy płukaniem gardła a zassaniem resztki wody w odpływ umywalki, zasłonił przyrodzenie rękami i padł na kolana. Twarz wykrzywił mu grymas bólu, spróbował krzyknąć, ale nie dał rady, brakło mu powietrza, w płucach.

Ja, stojąc wciąż na krześle, przestałem się mazać. Wiedziałem, jak boli kopniak w jajka. A ten kopniak był bardzo silny.

Mama nie miała żadnej litości. Wyciągnęła patelnię ze zlewu i walnęła nią Felice w twarz. On zawył i runął na podłogę.

Mama ponownie uniosła patelnię, chciała go zatłuc na śmierć, ale Felice chwycił ją za kostkę i szarpnął. Mama upadła. Patelnia odskoczyła po podłodze. Felice rzucił się na mamę całym ciałem.

Ja zaskowyczałem rozpaczliwie: – Zostaw ją! Zostaw! Zostaw! Felice przytrzymał ją za rękę, usadowił się na jej brzuchu i unieruchomił ją.

Mama gryzła i drapała jak kotka. Uniosła się jej halka. Widać było siedzenie i czarną kępkę między nogami, jedno ramiączko pękło i wysunęła się pierś, biała i wielka, z ciemnym sutkiem.

Felice zamarł i patrzył na nią.

Widziałem, jak na nią patrzył.

Zeskoczyłem z krzesła, zamierzając go zamordować. Skoczyłem mu na plecy i próbowałem go udusić.

W tej właśnie chwili wszedł tato ze starym.

Tato rzucił się na Felice, chwycił go za ramię i odciągnął znad mamy.

Felice runął na podłogę, a ja razem z nim.

Uderzyłem skronią. Kocioł parowy zaczął gwizdać w mojej głowie, a w nozdrzach poczułem odór środka odkażającego, jaki stosowano w szkolnej ubikacji. Żółte błyskawice eksplodowały mi przed oczami.

Tato kopał Felice, Felice czołgał się pod stół, stary usiłował powstrzymać tatę, który otwierał szeroko usta, wyciągał ręce i wyrzucał krzesła w powietrze kopniakami.

Gwizd w głowie był tak głośny, że nie słyszałem nawet własnego płaczu.

Mama zabrała mnie i zaniósła do swojej sypialni, zaniknęła drzwi łokciem i położyła mnie na łóżku. Nie mogłem opanować płaczu. Cały się trząsałem i byłem purpurowy.

Obejmowała mnie ramionami i powtarzała: – To nic. To nic. Przejdzie. Wszystko przejdzie.

Płacząc, nie potrafiłem oderwać wzroku od fotografii ojca Pio, przyklejonej do szafy. Zakonnik patrzył na mnie i zdawał się uśmiechać z satysfakcją.

W kuchni tato, stary i Felice wrzeszczeli.

Potem wszyscy trzej wyszli z domu, trzaskając drzwiami.

I powrócił spokój.

Gołębie gruchały pod dachem. Hałas lodówki. Cykady. Wentylator. To była cisza.

Mama z opuchniętymi oczami ubrała się, odkaziła sobie zadrapanie na ramieniu, umyła mnie, wytarła i wsunęła do łóżka. Dała mi do zjedzenia brzoskwinie z cukrem i wyciągnęła się obok. Wzięła mnie za rękę. Nic nie mówiła.

Nie miałem siły nawet, żeby zgąć palec. Oparłem czoło o jej brzuch i zamknąłem oczy.

Otworzyły się drzwi.

– Co z nim?

Głos ojca. Mówił cicho, jakby dowiedział się od lekarza, że właśnie rozstaje się z życiem.

Mama pogłaskała mnie po włosach. – Uderzył się w głowę. Ale teraz śpi.

– A ty, jak się czujesz?

– Dobrze.

– Na pewno?

– Tak. Ale tamten niech się więcej nie waży wejść do naszego domu. Jeżeli jeszcze kiedyś tknie Michele, zabiję jego, a potem zabiję ciebie.

– To już załatwiłem. Muszę iść.

Drzwi się zamknęły.

Mama pochyliła się nade mną i szepnęła mi w ucho:

– Kiedy dorośniesz, wyjedź stąd i nigdy tu nie wracaj.

Zapadła noc.

Mamy nie było. Obok mnie spała Maria. Na nocnej szafce tykał zegar. Wskazówki połyskiwały żółto. Poduszka pachniała tatą. Białe światło z kuchni wciskało się klinem pod drzwi.

Po tamtej stronie kłócili się.

Przyjechał nawet mecenas Scardaccione z Rzymu. Pierwszy raz był w naszym domu.

Tego popołudnia wydarzyły się straszne rzeczy. Tak straszne, tak niesamowite, że nawet nie można się było złościć. Zostawili mnie w spokoju.

Nie byłem przestraszony. Czułem się bezpiecznie. Mama zamknęła nas w swojej sypialni i nikomu nie pozwoliła tu wejść.

Na głowie miałem guza, który bolał, kiedy go dotykałem, ale poza tym czułem się dobrze. Trochę mnie to nawet martwiło. Jak tylko odkryją, że nie jestem chory, z powrotem wsadzą mnie do jednego pokoju ze starym. A ja chciałem zostać w ich łóżku na zawsze. Żeby już nigdy nie wychodzić, żeby już nigdy nie oglądać Salvatore, Felice, Filippa, nikogo. Nic by się nie zmieniło.

Słyszałem głosy z kuchni. Stary, adwokat, fryzjer, ojciec Czachy, tato. Kłócili się o jakiś telefon, który muszą wykonać, i o to, co należy powiedzieć.

Schowałem głowę pod poduszkę.

Widziałem rozszalały ocean żelastwa, bałwany gwoździ wznosiły się w górę, a bryzgi śrub uderzały o biały autobus, który tonął bezgłośnie, unosząc pysek, a w środku były potwory, które miały się i wywijają pięściami w przerażeniu.

Nie było rady.

Szyby były niezniszczalne.

Otworzyłem oczy.

– Michele, obudź się. – Tato siedział na krawędzi łóżka i potrząsał moim ramieniem. – Muszę z tobą pomówić.

Było ciemno. Tylko plama światła zalewała sufit. Nie mogłem dojrzeć jego oczu i nie wiedziałem, czy jest zły.

W kuchni dalej dyskutowali.

– Michele, co dziś robiłeś?

– Nic.

– Nie opowiadaj głupot. – Był zły.

– Nie zrobiłem nic złego. Przysięgam.

– Felice znalazł cię u tamtego. Powiedział, że chciałeś go wypuścić.

Poderwałem się. – Nie! To nieprawda! Przysięgam! Wyciągnąłem go, ale zaraz wsadziłem z powrotem. Nie chciałem go wypuścić. Felice kłamie.

– Mów cicho, bo twoja siostra śpi. – Maria leżała na brzuchu i obejmowała poduszkę.

– Nie wierzysz mi? – wyszeptalem.

Patrzył na mnie. Oczy błyszczały mu w ciemnościach jak psu.

– Ile razy go widziałeś?

– Trzy.

– Ile razy?

– Cztery.

– Może cię rozpoznać?

– Jak to?

– Jeżeli cię zobaczy, rozpozna cię?

Zastanowiłem się. – Nie. Nie widzi. Głowę trzyma zawsze pod kocem.

– Powiedziałeś mu, jak się nazywasz?

– Nie.

– Rozmawiałeś z nim?

- Nie... Mało.
- Co ci mówił?
- Nic. Opowiada dziwne rzeczy. Nic nie można zrozumieć.
- A ty co mu powiedziałaś?
- Nic.

Wstał. Wydawało się, że chce wyjść, ale znowu przysiadł na łóżku. – Posłuchaj mnie dobrze. Nie żartuję. Jeżeli tam pojedziesz, zatłukę cię na śmierć. Jeżeli jeszcze raz tam pojedziesz, ci tutaj strzelą mu w łeb. – Potrzęsnał mną gwałtownie. – I to będzie twoja wina.

- Nie pojedę. Przysięgam.
 - Przysięgnij na moją głowę.
 - Przysięgam.
 - Powiedz, przysięgam na twoją głowę, że tam więcej nie pojedę.
- Powiedziałem: – Przysięgam na twoją głowę, że tam więcej nie pojedę.
- Przysięgnę na głowę swojego ojca. – Przez chwilę milczał, siedząc obok mnie.

W kuchni ojciec Barbary krzyczał na Felice.

Tato wyjrzał przez okno. – Zapomnij o nim. Już go nie ma. I nie rozmawiaj o tym z nikim. Nigdy więcej.

- Rozumiem. Już tam nie pojedę.

Zapalił papierosa.

Zapytałem go: – Gniewasz się jeszcze na mnie?

– Nie. Kładź się spać. – Zaciągnął się głęboko i oparł dłońmi o parapet. Jego gładko zaczesane włosy błyszczały w świetle przydrożnej latarni. – Ale, na litość Boską, dlaczego inne dzieciaki mogą być grzeczne, a ty włóczysz się ciągle i szukasz kłopotów?

- Więc jeszcze się na mnie gniewasz?

– Nie, nie gniewam się na ciebie. Przestań. – Złapał się rękami za głowę i wyszeptał: – Co za burdel. – Potrzęsnał głową. – Są sprawy, które wydają się pomyłką, kiedy ktoś... – Głos mu się łamał i nie mógł znaleźć słów. – Świat jest pomyłony, Michele.

Wstał, rozprostował plecy i ruszył do drzwi. – Śpij. Muszę wracać.

- Tato, powiesz mi jedną rzecz?

Wyrzucił papierosa przez okno. – Co takiego?

- Dlaczego wsadziliście go do tej dziury? Nie rozumiem tego za dobrze.

Chwycił klamkę, pomyślałem, że nie zechce mi odpowiedzieć, ale po chwili odparł: – Nie chciałeś wyjechać ze Skośnej Wody?

- Chciałem.
- Niedługo przeniesiemy się do miasta.
- Dokąd pojedziemy?
- Na Północ. Cieszysz się?

Kiwnąłem głową.

Wrócił do mnie i spojrzał mi w oczy. Czuć było wino w jego oddechu. – Michele, mówię teraz do ciebie jak do mężczyzny. Posłuchaj uważnie. Jeżeli tam pojedziesz, zabiją go. Przysięgli to. Nie możesz tam jechać, jeżeli nie chcesz, żeby go zastrzelili, i jeżeli chcesz, żebyśmy wyjechali do miasta. I masz o tym nigdy nie mówić. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem.

Pocałował mnie w głowę. – Teraz śpij i nie myśl o tym. Kochasz swojego ojca?

- Tak.
- Chcesz mi pomóc?

- Tak.
- No to zapomnij o wszystkim.
- Dobrze.
- Śpij już. – Pocałował Marię, która nawet tego nie zauważyła, i wyszedł z pokoju, zamykając cicho drzwi.

Wszędzie panował nieporządek.

Stół zastawiony był butelkami, brudnymi filiżankami i talerzami. Muchy brzęczały nad resztkami jedzenia. Niedopałki wysypywały się z popielniczek, krzesła i fotele stały w nieładzie. Śmierdziało dymem.

Drzwi do mojego pokoju były uchylone. Stary spał w ubraniu na łóżku mojej siostry. Jedną ręką zwisała na dół. Usta otwarte. Od czasu do czasu odpędzał muchę, która laziła mu po twarzy. Tato leżał na moim łóżku z głową opartą o ścianę. Mama spała skulona na kanapie. Nakryła się białą pikowaną kołdrą. Wystawały czarne włosy, kawałeczek czoła i bosa stopa.

Drzwi domu były otwarte na oścież. Lekki ciepły powiew szeleścił gazetą na komodzie.

Zapiał kogut.

Otworzyłem lodówkę. Wyjąłem mleko, nalałem sobie do szklanki i wyszedłem na zewnątrz. Usiadłem na schodach, patrząc na świt.

Był jaskrawopomarańczowy, zabrudzony galaretowatą siną masą, która rozsunęła się niczym wata nad horyzontem, ale wyżej niebo było czyste i czarne i świeciło jeszcze parę gwiazd.

Dopiłem mleko, odstawiłem szklankę na stopień i zszedłem na drogę.

Piłka Czachy leżała koło ławki, kopnąłem ją. Wylądowała pod samochodem starego.

Ze stodoły wynurzył się Togo. Zaskomlał, ziewając jednocześnie. Przeciągnął się, prężąc grzbiet i prostując tylne łapy, po czym podbiegł do mnie, machając ogonem.

Przykląknęłam. – Togo, jak się masz?

Złapał mnie za rękę i pociągnął. Nie ścisnął mocno, ale miał ostre zęby.

– Gdzie chcesz mnie zaprowadzić, co? Gdzie chcesz mnie zaprowadzić? – Poszedłem za nim do stodoły. Gołębie, przycupnięte na żelaznych belkach pod dachem, zerwały się do lotu.

W kącie, rzucone na gołą ziemię, leżało jego legowisko, stary szary koc, cały w dziurach.

– Chcesz mi pokazać swój dom?

Togo wyciągnął się na grzbiecie, rozkładając nogi jak nadziewany kurczak.

Wiedziałem, czego chce. Drapałem go po brzuchu, a on zamarł ze szczęścia, tylko ogon chodził mu na prawo i lewo.

Koc był taki sam jak Filipa.

Powąchałem go. Nie śmierdział jak tamten.

Miał zapach psa.

Leżałem na łóżku i czytałem komiks o Teksie. Zostałem w pokoju przez cały dzień. Jak wtedy, kiedy miałem gorączkę i nie szedłem do szkoły. Zajrzał do mnie Remo, żeby zapytać, czy chciałbym zagrać w piłkę, ale odpowiedziałem mu, że nie, że jestem chory.

Mama wysprzątała dom, aż wszystko znowu stało się lśniące, a potem poszła do matki Barbary. Tato i stary zbudzili się i wyszli.

Moja siostra wpadła biegiem do pokoju i wskoczyła na łóżko cała rozpromieniona. Chowiała coś za plecami.

– Zgadnij, co mi pożyczyła Barbara?

Opuściłem komiks. – Nie wiem.

– Zgadnij, no!

– Nie wiem. – Nie miałem ochoty na zabawę. Pokazała mi Kena. Męża Barbie, tego długonogiego zarozumialca. – Możemy się pobawić. Ja wezmę Paolę, a ty jego. Rozbierzemy ich i wsadzimy do lodówki... Żeby się objęli, rozumiesz?

– Nie chce mi się.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. – Co ci jest?

– Nic. Zostaw mnie w spokoju, czytam.

– Ale z ciebie nudziarz! – Westchnęła i wyniosła się. Zabrałem się z powrotem do czytania. To był nowy numer, pożyczył mi go Remo. Ale nie mogłem się skupić. Cisnąłem gazetką o podłogę.

Myślałem o Filippie.

Co mam teraz zrobić? Obiecałem mu, że do niego wrócę, ale nie mogę, przyrzekłem tacie, że tam nie pojedę.

Gdybym pojechał, zastrzeliliby go.

Ale dlaczego? Przecież go nie wypuściłem, tylko z nim rozmawiałem. Nie zrobiłem nic złego.

Filippo na mnie czekał. Siedział tam, w dziurze, i zastanawiał się, kiedy wrócę, kiedy mu przyniosę siekane kotlety.

– Nie mogę przyjechać – oznajmiłem głośno.

Ostatnim razem, kiedy u niego byłem, powiedziałem mu: Widzisz, że przyjechałem? A on mi odpowiedział, że był tego pewny. I że to nie szopy pracze go uprzedziły. Obiecałeś mi.

Starczyłoby mi porozmawiać z nim przez pięć minut. Filippo, nie mogę tu więcej wracać. Jeżeli wrócę, zabiją cię. Przepraszam, to nie moja wina. I przynajmniej wiedziałby, jak się sprawy mają. Tymczasem myśli pewnie, że już go nie chcę widzieć i że nie dotrzymuję obietnic. A to nieprawda. Ta myśl mnie zadreczęła.

Skoro ja tam nie mogę jechać, mógłby mu to powiedzieć tato. Przykro mi, ale Michele nie może przyjechać, to dlatego nie dotrzyma obietnicy. Gdyby przyjechał, zabiliby cię. Prosił, żeby cię pozdrowić.

– Dosyć, muszę o nim zapomnieć! – oświadczyłem do pustego pokoju. Podniosłem komiks, poszedłem do łazienki i zacząłem czytać, usadowiwszy się na sedesie, ale zaraz musiałem przerwać.

Tato wołał mnie z ulicy.

A teraz czego znowu chce ode mnie? Byłem grzeczny, nie ruszyłem się z domu. Podciągnąłem spodnie i wyszedłem na schody.

– Chodź tutaj! Chodź! – Dał mi znak, żebym zszedł. Stał przy ciężarówce. Byli tam też mama, Maria, Czacha i Barbara.

– Co jest?

Mama powiedziała: – Zejdz, masz niespodziankę.

Filippo. Tato uwolnił Filippa. I przywiózł go do mnie.

Serce przestało mi bić. Rzuciłem się w dół po schodach. – Gdzie jest?

– Zostań tu. – Tato wszedł do ciężarówki i wyciągnął niespodziankę.

– I co? – zapytał mnie tato.

– I co? – powtórzyła mama.

Był to rower, cały czerwony, z kierownicą, która przypominała rogi byka. Przednie koło mniejsze. Przerzutka z trzema biegami. Opony z grubym bieżnikiem. Siodełko długie, tak żeby można było jeździć w dwójkę.

Mama zapytała znowu: – Co jest? Nie podoba ci się?

Przytaknąłem, kiwając głową.

Widziałem taki, prawie identyczny, parę miesięcy wcześniej, w sklepie rowerowym w Lucignano. Tyle że był brzydszy, nie miał posrebrzanego światełka i przednie koło nie było mniejsze. Wszedłem do środka, żeby go obejrzeć, a sprzedawca, wysoki wąsaty mężczyzna w szarym fartuchu, zagadnął: – Ładny, co?

– Bardzo.

– Ostatni został. To okazja. Może byś poprosił rodziców, żeby zrobili ci prezent?

– Chciałbym...

– No więc?

– Już mam jeden.

– Ten? – Sprzedawca zmarszczył nos, wskazując na Gruchota opartego o latarnię.

Usprawiedliwiłem się. – Należał do ojca.

– To czas go wymienić. Powiedz rodzicom. Całkiem inaczej byś wyglądał na takim cacku jak to.

Wyszedłem. Nawet mi nie przyszło do głowy, żeby zapytać, ile kosztuje.

Ten tutaj był dużo ładniejszy.

Na ramie miał wypisane złotą farbą Red Dragon.

– Co to znaczy Red Dragon? – zapytałem tatę.

On wzruszył ramionami i odparł: – Twoja matka wie.

Mama zasłoniła usta dłonią i roześmiała się. – Wariat z ciebie, bo to ja niby znam angielski?

Tato spojrział na mnie. – No jak, co robisz? Nie wypróbujesz go?

– Teraz?

– A kiedy, jutro?

Krępowąło mnie wsiąść na nowy rower przy wszystkich. – Mogę go zabrać do domu?

Czacha wskoczył na siodło. – Jak ty nie chcesz, to ja go wypróbuję.

Mama klepnęła go w głowę. – Złaż zaraz z tego roweru! On należy do Michele.

– Naprawdę chcesz go zabrać na górę? – zapytał tato.

– Tak.

– A dasz radę?

– Tak.

– Dobrze, ale tylko na dzisiaj...

Mama zaprotestowała: – Czyś ty oszalał, Pino? Rower w domu. Porysuje podłogę.

– Będzie uważał.

Moja siostra zdjęła okulary, rzuciła je na ziemię i wybuchnęła płaczem.

– Maria, podnieś natychmiast te okulary – rozzłościł się tato.

Ona skrzyżowała ramiona. – Nie! Nie podniosę ich, to niesprawiedliwe. Wszystko dla Michele, a dla mnie nic!

– Poczekaj na swoją kolej. – Tato wydobyl z ciężarówki paczkę w niebieskim papierze, z kokardą. – To dla ciebie.

Maria założyła z powrotem okulary, spróbowała rozsypać węzeł, ale nie potrafiła, zaczęła więc szarpać go zębami.

– Czekaj! Papier jest ładny, schowamy go. – Mama rozplątała kokardę i odwinęła papier.

W środku była Barbie z wiankiem na głowie i w wąskiej sukience z białej satyny, z odsłoniętymi ramionami.

Maria omal nie zemdląła. – Barbie tancerka... – Osunęła się na mnie osłabiona. – Jest cudna.

Tato opuścił plandekę ciężarówki. – Starczy wam tych prezentów na następne dziesięć lat.

Razem z Marią wchodziliśmy po schodach do domu. Ja z rowerem na ramieniu, ona ze swoją Barbie baletnicą w ręce.

– Śliczna, prawda? – zapytała Maria, oglądając lalkę.

– Tak. Jak jej dasz na imię?

– Barbara.

– Dlaczego Barbara?

– Bo Barbara powiedziała, że jak dorosnie, będzie taka jak Barbie. A Barbie to po angielsku Barbara.

– A z Biedulką co zrobisz, wyrzucisz ją?

– Nie. Będzie pokojówką. – Potem spojrzała na mnie i zapytała: – Nie spodobał ci się twój prezent, co?

– Spodobał się. Ale myślałem, że to coś innego.

Tej nocy spałem w naszej sypialni, razem ze starym. Ledwie położyłem się do łóżka i doczytywałem Texa, kiedy wszedł do pokoju. Wyglądał, jakby mu dorzucili następne dwadzieścia lat. Twarz, już wcześniej wychudła, teraz skurczyła się do samej czaszki.

– Śpisz? – ziewnął.

Zamknąłem komiks i odwróciłem się do ściany. – Nie.

– Ahhh! Jestem wykończony. – Zapalił lampę obok łóżka i zaczął się rozbierać. – Tam i z powrotem zrobiłem kilometrów od Boskiej pamięci. Kręgosłup mam w kawałkach. Muszę się przespać. – Podniósł spodnie, obejrzał je uważnie i zmarszczył nos. – Czas zmienić garderobę.

– Ściągnął kozaczki i skarpetki i położył je na parapecie. Śmierdziały mu nogi.

Pogrzebał w walizce, wy dostał butelkę Stocka 84 i solidnie z niej pociągnął. Skrzywił się i otarł usta dłonią.

– Cholera, co za świństwo. – Wziął tekturową teczkę, otworzył ją, popatrzył na plik fotografii i zapytał:

– Chcesz zobaczyć mojego syna? – Podał mi zdjęcie.

To samo, które widziałem rano, kiedy szperałem w jego rzeczach. Francesco w stroju mechanika.

– Ładny chłopak, prawda?

– Tak.

– Tu wygląda jeszcze dobrze, potem wychudł.

Brązowa ćma wpadła przez okno i objęła się o żarówkę. Słysząc było głuchy odgłos, za każdym razem kiedy uderzała o rozżarzone szkło.

Stary wziął gazetę i rozgniół ćmę na ścianie. – Te zasrane motyle. – Podał mi następne zdjęcie. – Mój dom.

Był to niski domek z framugami okien pomalowanymi na czerwono. Zza słomianego dachu wystawały korony czterech palm. W drzwiach siedziała czarna dziewczyna w żółtym dwuczęściowym kostiumie kąpielowym. Miała długie włosy, a w rękach trzymała wielką szynkę, niczym trofeum. Obok domu był mały kwadratowy garaż, a przed nim samochód, ogromny, biały, bez dachu i z ciemnymi szybami.

– Co to za auto? – zapytałem.

– Cadillac. Kupiłem używanego. W doskonałym stanie. Wymieniłem mu tylko opony. – Zdjął koszulę. – To był dobry interes.

– A kto to jest ta Murzynka?

Wyciągnął się na łóżku. – Moja żona.

– Masz żonę Murzynkę?

– Tak. Tamtą starą zostawiłem. Ta ma dwadzieścia trzy lata. Kwiatusek. Ma na imię Sonia. A jeżeli myślisz, że to jest szynka, mylisz się, to speck. Oryginalny z Veneto. Przywiozłem jej z Włoch. W Brazylii tego nie kupisz, to rarytas. Kłopot był, żeby go przywieźć. Zatrzymali mnie na granicy. Chcieli go rozkroić, myśleli, że w środku są narkotyki... No dobra, gaszę światło, jestem zmęczony.

W pokoju zapadła ciemność. Słyszałem, jak oddycha i wydaje dziwne dźwięki ustami.

W pewnej chwili powiedział: – Nie wiesz, jak tam jest. Życie nic nie kosztuje. Wszyscy ci usługują. Nie robisz ni cholery przez cały dzień. Nie to co tutaj, w tym zasranym kraju. Ja z tym krajem skończyłem.

Zapytałem go: – Gdzie jest Brazylia?

– Daleko. Za daleko. Dobranoc i złotych snów.

– Dobranoc.

I wszystko stanęło w miejscu.

Jakaś wróżka uspiła Skośną Wodę. Dni następowały po sobie, jeden za drugim, rozpalone, identyczne i bez końca.

Dorośli przestali wychodzić z domów nawet wieczorami. Dawniej, po kolacji, wystawiali na zewnątrz stoliki i grali w karty. Teraz siedzieli w zaniknięciu. Felice zniknął. Tato całymi dniami leżał na łóżku i rozmawiał tylko ze starym. Mama gotowała. Salvatore ukrył się w domu.

Jeździłem na moim nowym rowerze. Wszyscy chcieli się przejechać. Czacha śmigał na jednym kole przez całą Skośną Wodę. Ja nie potrafiłem tak nawet na dwa metry.

Często włóczyłem się samotnie. Zapuszczałem się poza linię wyschniętego strumienia, na pyliste dróżki wśród pól, które wiodły mnie daleko, gdzie nie zostało już nic oprócz przewróconych palików z drutem kolczastym przeżartym rdzą. W oddali czerwone kombajny drżały w falach upału, który zalewał pola.

Wyglądało to tak, jakby Pan Bóg zgolił światu włosy na zero. Czasami ciężarówki z workami pszenicy przejeżdżały przez Skośną Wodę, zostawiając za sobą smugi czarnego dymu.

Kiedy byłem na dworze miałem wrażenie, że wszyscy obserwują, co robię. Zdawało mi się, że dostrzegam za oknami matkę Barbary, która mnie szpieguje, Czachę, który wskazuje na mnie i szepcze z Remem, Barbarę, która dziwnie się do mnie uśmiecha. Ale nawet kiedy byłem sam, kiedy siedziałem na gałęzi chleba świętojańskiego, czy jeździłem na rowerze, wrażenie to mnie nie opuszczało. Nawet kiedy wciskałem się między pozostałości niedawnego morza kłosów, przeznaczone do sprasowania w bele, i wokół miałem tylko niebo, zdawało mi się, że patrzą na mnie tysiące oczu.

Nie pojedę, bądźcie spokojni. Przyrzekłem.

Ale wzgórze było tam i czekało na mnie.

Zacząłem jeździć drogą, która prowadziła na farmę Melichettiego. I każdego dnia, nie zdając sobie z tego sprawy, jechałem kawałeczek dalej.

Filippo zapomniał o mnie. Czuję to.

Usiłowałem przywołać go myślą.

Filippo? Filippo, słyszysz mnie?

Nie mogę przyjechać. Nie mogę.

Nie myślał o mnie.

Może nie żył. Może go już nie było.

Pewnego popołudnia, po obiedzie, położyłem się na łóżku, żeby poczytać. Światło napierało na rolety i wciskało się do rozgrzanego pokoju. W uszach grały mi świerszcze. Zasnąłem z komiksem o Człowieku Gumie w ręce.

Śniło mi się, że była noc, ale ja i tak wszystko widziałem. Wzgórza poruszały się w ciemnościach. Przemieszczały się powoli, jak żółwie pod dywanem. Nagle wszystkie naraz otworzyły oczy, czerwone dziury, które rozwarły się wśród pszenicy, a potem wstały, pewne, że nikt ich nie widzi, i stały się olbrzymami ulepionymi z ziemi, pokrytymi kłosami. Szli, kiwając się przez pola i przydeptywali mnie, grzebiąc pod ziemią.

Przebudziłem się zlany potem. Poszedłem do lodówki, napić się wody. Ciągle widziałem olbrzymów.

Wyszedłem z domu i wsiadłem na Gruchota.

Stałem u wylotu ścieżki, która prowadziła do opuszczonego domu.

Wzgórze było tuż obok. Zamglone, zasnutę woalem upału. Zdawało mi się, że dostrzegam dwoje czarnych oczu wśród pszenicy, nieco poniżej szczytu, ale była to tylko gra światła na nierównościach terenu. Słońce zaczynało się zniżać i przygasać. Cień wzgórza z wolna zakrywał równinę.

Mogłem tam jechać.

Ale powstrzymywał mnie głos taty: Posłuchaj uważnie. Jeżeli tam pojedziesz, zabiją go. Przysięgli to.

Kto? Kto przysięgł? Kto ma go zabić?

Stary? Nie. Nie on. On nie ma takiej mocy.

Oni, olbrzymi ulepiani z ziemi. Panowie wzgórza. Teraz leżą rozciągnięci na polach i są niewidoczni, ale nocą budzą się i idą przez okolicę. Gdybym teraz pojechał do Filippa, nieważne że jest dzień, podnieśliby się jak fale na oceanie i przyszliby tam, i zrzucili swoją ziemię do dołu, i przysypaliby go.

Wracaj, Michele. Wracaj, wołał głosik mojej siostry.

Zawróciłem rower i rzuciłem się w pszenicę, nie zważając na dziury i mając nadzieję, że przejadę im po grzbietach, tym przeklętym potworom.

Kryłem się pod głazem w suchym stłumieniu. Pociłem się. Muchy nie dawały mi spokoju.

Czacha wytropił już wszystkich. Zostałem tylko ja. Teraz czekało mnie najtrudniejsze. Musiałem wyskoczyć i biegiem, bez zatrzymywania, przeciąć ściernisko, dopaść chleba świętojańskiego i zawołać: Za klepane!

Ale Czacha był tam, w pobliżu drzewa, czujny niczym ogar i gdy tylko zobaczy, że biegnę, też rzuci się do biegu i załatwi mnie w czterech susach.

Muszę biec i tyle, jeżeli dam radę, to dobrze, a jak nie, to też nieważne.

Już miałem się mszyć, kiedy spadł na mnie czarny cień.

Czacha!

To był Salvatore. – Posuń się, bo mnie zobaczy. Jest niedaleko.

Zrobiłem mu miejsce i wśliznął się pod głaz obok mnie.

Wyrwało mi się wbrew woli: – A inni?

– Złapał wszystkich. Zostaliśmy tylko ja i ty. Rozmawialiśmy ze sobą po raz pierwszy od tamtego dnia z Felice.

Czacha zapytał mnie kiedyś, o co się pokłóciliśmy. Nie pokłóciliśmy się. Po prostu nie lubię Salvatore, odpowiedziałem.

Czacha położył mi rękę na ramieniu: Słusznie. To gnojek.

Salvatore otarł pot z czoła.

– Kto pójdzie zaklepać?

– Idź ty.

– Dlaczego?

– Bo jesteś szybszy.

– Biegnę szybciej na większą odległość, ale do drzewa to ty będziesz szybszy.

Nie odpowiedziałem.

– Mam pomysł – ciągnął. – Wskoczmy razem, obaj. Jak przybiegnie Czacha, ja mu zablokuję drogę, a ty pędź do drzewa. Załatwimy go. Co ty na to?

– Dobry pomysł. Tylko że to ja zaklepię, a ty przegrasz.

– Nie szkodzi. To jedyny sposób, żeby go wykiwać, tego dupka.

Uśmiechnąłem się.

Spojrzał na mnie i podał mi rękę.

– Na zgodę?

– Dobra. – Uścisnąłem mu ją.

– Wiesz, że Destani już nie będzie z naszą klasą? W tym roku przyjdzie nowa nauczycielka.

– Kto ci to powiedział?

– Moja ciotka rozmawiała z dyrektorem. Mówi, że jest ładna. I może nie truje jak Destani.

Zerwałem źdźbło trawy. – Mnie tam i tak wszystko jedno.

– Dlaczego?

– Bo wyjeżdżamy ze Skośnej Wody.

Salvatore przyglądał mi się zaskoczony. – A dokąd się wybieracie?

– Na Północ.

– Gdzie?

Wypaliłem. – Do Pawii.

– A gdzie jest ta Pawia?

Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem. Ale będziemy mieszkać w kamienicy, na ostatnim piętrze. I tato kupi sobie mirafiori 131. I tam pójdę do szkoły.

Salvatore podniósł kamyk i przerzucał go z ręki do ręki. – I już nie wrócisz?

– Nie.

– I nie zobaczysz nauczycielki?

Spuściłem wzrok. – Nie.

– Szkoda – wyszeptał. – Spojrzał na mnie. – Gotowy?

– Gotowy.

– No to chodu. I nie zatrzymuj się. Na trzy.

– Raz, dwa i trzy – i wyskoczyliśmy.

– Tam! Tam są! – zawołał Remo, przyczajony na chlebie świętojańskim.

Ale Czacha nic nie mógł zrobić, byliśmy szybsi. Razem dopadliśmy drzewa i krzyknęliśmy: – Zaklepane!

Kiedy się obudziliśmy, wszystko wokół przesłaniała szarość. Było gorąco, wilgotno, a niespodziewane poddmuchy wstrząsały dusznym, stojącym powietrzem. W ciągu nocy wielkie, niespokojne chmury zgromadziły się na horyzoncie i zaczęły przesuwając się w stronę Skośnej Wody.

Patrzyliśmy na nie urzeczeni. Zdążyliśmy już zapomnieć, że z nieba może spływać woda.

Byliśmy w stodole. Leżałem wyciągnięty na workach z ziarnem, z rękami pod głową, spokojnie, obserwując osy, które budowały gniazdo. Inni usadowili się w kręgu, obok traktora. Salvatore rozpiął się na metalowym siodełku traktorzysty, opierając stopy o kierownicę.

Kochałem te osy. Remo stracił im to gniazdo kamieniami już co najmniej dziesięć razy, ale one, uparte, zawsze wracały, żeby odbudować je w tym samym miejscu, w rogu pomiędzy dwiema kratownicami i rynną.

Tamci gadali, ale ja nie zwracałem na nich uwagi. Czacha jak zwykle mówił coś głośno, a Salvatore słuchał w milczeniu.

Miałem nadzieję, że zacznie padać, wszyscy mieli już dosyć suszy.

Usłyszałem Barbarę: – A może byśmy pojechali do Lucignano na lody? Mam forszę.

– Dla nas też masz forszę?

– Nie. Nie starczy. Może na dwie gałki.

– To po co mamy jechać do Lucignano? Patrzeć na ciebie, jak się napychasz lodami i robisz się jeszcze grubsza?

Dlaczego osy budują gniazda? Kto je tego nauczył?

Same umieją. Taka jest ich natura – wyjaśnił mi tato kiedyś, gdy go o to zapytałem.

Moja siostra podeszła do mnie i powiedziała: – Ja idę do domu. A ty?

– Zostaję.

– Dobra. Idę wziąć sobie chleba z masłem i cukrem. Cześć. – I odeszła, a za nią Togo.

A jaka jest moja natura? Co ja potrafię robić?

– No i co? – zapytał Remo. – Może by tak jakieś wyścigi?

Potrafiłem wdrapać się na chleb świętojański. To umiałem robić bardzo dobrze, a nikt mnie tego nie uczył.

Czacha wstał i kopnął piłkę, wysyłając ją na drugą stronę drogi.

– Chłopaki, mam świetny pomysł. Pojedziemy do tamtego miejsca co wtedy?

Może mógłbym dogonić Marię i też zjeść kromkę chleba z masłem i cukrem, ale nie byłem głodny.

– Gdzie?

– Na górę.

– Jaką górę?

– Do opuszczonego domu. Przed farmą Melichettiego.

Odwrociłem się. Ciało niespodziewanie rozbudziło się, serce zaczęło wybijać marsza w piersi, a żołądek przeszył skurcz.

Barbara nie była przekonana. – Po co mamy tam jechać? To daleko. A jak zacznie padać?

Czacha zaczął ją przedrzeźniać. – A jak zacznie padać? To nas zmoczy! A zresztą nikt cię nie zapraszał.

Nawet Remo nie przejawiał entuzjazmu. – Po co mamy tam jechać?

– Przeszukamy dom. Tamtym razem wszedł tylko Michele.

Remo powiedział coś do mnie.

Spojrzałem na niego. – Co? Nie rozumiałem.

– Co jest w tym domu? – zapytał.

– Jak to?

– Co jest w tym domu?

Nie mogłem mówić, brakowało mi śliny. Wybełkotałem. – Nic... Nie wiem... – Miałem wrażenie, że lodowata ciecz spływa mi z głowy po szyi i bokach. – Trochę starych mebli, kuchnia, takie tam rupiecie.

Czacha zwrócił się do Salvatora: – Jedziemy?

– Nie, nie chce mi się. – Salvatore potrząsnął głową.

– Barbara ma rację, to daleko.

– Ja jadę. Możemy tam założyć naszą sekretną bazę.

– Czacha sięgnął po rower oparty o traktor. – Kto chce, niech jedzie. Kto nie chce, niech nie jedzie. – Zapytał Rema: – Ty co robisz?

– Jadę. – Remo wstał i zagadnął Barbarę: – Ty jedziesz?

– Jak nie będzie wyścigów.

– Żadnych wyścigów – zapewnił Czacha i znowu zaczepił Salvatora. – Czyli że ty nie jedziesz?

Ja czekałem, nic nie mówiąc.

– Zrobię tak jak Michele – oświadczył Salvatore, i patrząc mi w oczy, zapytał: – A ty co, jedziesz?

Zerwałem się na nogi i odparłem: – Tak, jadę. Salvatore zeskoczył z traktora. – Dobra, to jedźmy.

Szliśmy znowu, wszyscy w komplecie, jak poprzednim razem, w stronę wzgórza.

Pedałowaliśmy jedno za drugim. Brakowało tylko mojej siostry.

Powietrze było ciężkie, a niebo miało nienaturalny, szkarłatny kolor. Chmury, wcześniej stłoczone na horyzoncie, teraz przewalały się nad nami, przepychając się między sobą, niczym hordy Hunów przed bitwą. Były wielkie i ciemne. Słońce było zszarzałe i mętne, jakby przesłaniał je jakiś filtr. Nie było ani gorąco, ani zimno i wiał wiatr. Wzdłuż drogi i na polach słoma była zrolowana w bele, rozmieszczone jak pionki na szachownicy. Tam gdzie nie przejechał jeszcze kombajn, wiatr wzbudzał długie fale, czochrając pszenicę.

Remo z niepokojem obserwował horyzont. – Zaraz zaczniesz lać.

Im bardziej zbliżałem się do wzgórza, tym gorzej się czułem. Jakiś ciężar uciskał mi żołądek. Resztki śniadania turlały się w brzuchu. Brakowało mi powietrza, a woal potu zalewał plecy i szyję.

Co ja robię? Każdy obrót pedałów był kolejnym ukruszonym kawałeczkiem przysięgi.

„Posłuchaj Michele, nie wolno ci tam jechać. Jeżeli tam pojedziesz, zabiją go. I to będzie twoja wina.

Nie pojedę.

Przysięgnij na moją głowę.

Przysięgam.

Powiedz, przysięgam na twoją głowę, że tam więcej nie pojedę.

Przysięgam na twoją głowę, że tam więcej nie pojedę”.

Łamałem przysięgę, jechałem do Filipa i jeżeli mnie nakryją, zamordują go.

Chciałem zawrócić, ale moje nogi pedałowwały i jakaś nieodparta siła przyciągała mnie do wzgórza.

Daleki grzmot rozdarł ciszę.

– Wracajmy do domu – powiedziała Barbara, jakby usłyszała moje myśli.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza. – Tak, wracajmy do domu.

Czacha przejechał obok nas, śmiejąc się szyderczo. – Jak macie robić pod siebie przez odrobinę wody, to już lepiej jedźcie do domu.

Ja i Barbara spojrzeliśmy po sobie i pedałowaliśmy dalej.

Wiatr wzmagął się. Duł po polach i wzbijał plewy w powietrze. Ciężko było utrzymać rowery prosto, gwałtowne podmuchy spychały nas z drogi.

– No i jesteście. Daleko było, co? – powiedział Czacha, hamując gwałtownie na tłuczniu.

Ścieżka, która prowadziła do domu była tuż przed nami.

Salvatore popatrzył na mnie i zapytał: – Jedziemy?

– Tak, jedziemy.

Zaczęliśmy drogę pod górę. Z trudem dotrzymywałem kroku innym. Red Dragon był buble. Nie chciałem tego przyznać, ale tak było. Kiedy się podnosiłeś na pedałach, kierownica wchodziła ci do buzi, a kiedy zmieniałeś biegi, wyskakiwał łańcuch. Żeby nie zostać w tyle, musiałem użyć najtwardszego przełożenia.

Z pół po naszej prawej stronie zerwało się stado kruków. Krakąły i szybowały na rozpostartych skrzydłach, unoszone prądami powietrza.

Szarość pochłonęła słońce i zdawało się, że nagle nastał wieczór. Grzmot. Następny. Patrzyłem na chmury, które kłębiły się i przewalały jedna na drugą. Chwilami któraś z nich rozświećlała się, jakby w jej wnętrzu wybuchały fajerwerki.

Nadciągała burza.

A jeżeli Filippo nie żyje?

Biały trup skulony na dnie dołu. Pokryty muchami i wzdęty od larw i robaków, ręce wyschnięte, a usta stężałe i szare.

Nie, nie umarł.

A jeżeli mnie nie pozna? Jeżeli nie będzie chciał ze mną rozmawiać?

Filippo, jestem Michele. Wróciłem. Tak jak ci przyrzekłem, wróciłem.

Ty nie jesteś Michele. Michele umarł. I jest w jakiejś dziurze, jak ja. Idź sobie.

Przed nami otworzyła się dolinka. Była ciemna i cicha. Ptaki i świerszcze milczały. Kiedy przejeżdżaliśmy między dębami, pierwsza kropla, wielka i ciężka, uderzyła mnie w czoło, druga w rękę, a następna w ramię i zwała się na nas burza. Zaczęło padać gęsto i mocno. Ulewa smagała korony drzew, wiatr szarpał gałęziami, świstał między liśćmi, ziemia chłonęła wodę niczym wyschnięta gąbka, krople odbijały się od spieczonych grud i znikwały wessane, a pioruny spadały na pola.

– Schowajmy się! – zawołał Czacha. – Uciekajmy.

Uciekaliśmy, ale i tak byliśmy już przemoczeni. Zwolniłem, gdybym zobaczył fiata 127 albo coś podejrzanego, zdążyłbym wziąć nogi za pas.

Samochodów nie było i nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Wpadli do obory. Dziura była tuż za krzakami jeżyn, chciałem pobiec i odsłonić ją, i zobaczyć Filippa, ale zmusiłem się, żeby iść za nimi.

Wszyscy stali i podskakiwali, podnieceni burzą. Ściągnęliśmy koszulki i wykręciliśmy je. Barbara musiała naciągnąć bluzkę do przodu, inaczej widać jej było piersi.

Wszyscy śmiali się nerwowo, masowali sobie wyziębione ramiona i wyglądali na zewnątrz. Zdawało się, że rozdarło się niebo. Wśród huku grzmotów pioruny łączyły chmury z ziemią. W ciągu paru minut podwórze pokryło się kałużami, a ze zboczy doliny spływały strumienie wody, brudne od czerwonej ziemi.

Filippo musiał umierać ze strachu. Cała ta woda wciskała się do jego dołu i jeżeli zaraz nie przestanie lać, może się utopić. Hałas deszczu uderzającego o płytę ogłuszał go.

Musiałem do niego iść.

– Na górze jest motor – usłyszałem, jak mówi mój głos.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na mnie.

– Tak, jest tam motor...

Czacha zerwał się na równe nogi, jakby usiadł na mrowisku. – Motocykl?

– Tak.

– Gdzie jest?

– Na piętrze. W ostatnim pokoju.

– A co tam robi?

Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem.

– Myślisz, że jest jeszcze na chodzie?

– Może.

Salvatore przyglądał mi się z drwiącym uśmiechem na ustach. – A czemu wcześniej nam tego nie powiedziałeś?

Czacha przekrzywił głowę. – Racja! Czemu nam nie powiedziałeś, co?

Przełknąłem ślinę. – Bo nie miałem ochoty. Zaliczyłem karę.

Błysk zrozumienia mignął mu w oczach. – Chodźmy go obejrzyć. Pomyśl tylko, gdyby tak był dobry...

Czacha, Salvatore i Remo wypadli pędem z obory, osłaniając sobie głowy rękami i spychając się nawzajem w kałuże.

Barbara mszyła za nimi, ale zatrzymała się w deszczu.

– Ty nie idziesz?

– Zaraz przyjdę. Idź.

Woda wygładziła jej włosy, które spływały w dół niczym brudne spaghetti. – Nie chcesz, żebym na ciebie poczekała?

– Nie, idź. Zaraz przyjdę.

– No dobra. – Pobiegła.

Obszedłem dom i przecisnąłem się przez jeżyny. Serce waliło mi w uszach, a nogi ugiwały się. Dotarłem na podwórze. Zamieniło się w bagno smagane deszczem.

Dziura była odsłonięta.

Nie było zielonej płyty ani materaca.

Woda zalewała mnie, spływała mi do spodenek i majtek, włosy kleiły mi się do czoła, a dziura była tam, czarne usta rozwarte w ciemnej ziemi, zbliżałem się, ledwie oddychając, zaciskałem pięści, podczas gdy wokół mnie waliło się niebo, a fale piekącego bólu ścisnęły mi gardło.

Zamknąłem i otworzyłem na powrót oczy, mając nadzieję, że coś się zmieni.

Dziura wciąż tam była. Czarna jak odpływ umywalki.

Zataczając się, podszedłem bliżej. Stopy brodziły w błocie. Przesunąłem dłonią po twarzy, żeby otrzeć ją z wody. Niemal padałem na ziemię, ale posuwałem się naprzód.

Nie ma go. Nie patrz. Idź stąd.

Zatrzymałem się.
Idź. Idź zobaczyć.
Nie dam rady.

Wpatrywałem się w swoje sandały pokryte błotem. Zrób jeden krok, powiedziałem sobie. Zrobiłem go. Zrób jeszcze jeden. Zrobiłem. Brawo. Jeszcze jeden i następny. Aż zobaczyłem krawędź dziury przed moimi stopami.

Jesteś.

Teraz trzeba tylko zajrzeć do środka.

Miałem pewność, że nie było tam nikogo.

Podniosłem głowę i zajrzałem.

Zgadzało się. Nie było tam już niczego. Nawet wiadra i garnuszka. Tylko bmdna woda i zamoknięty koc.

Zabrali go. I nic mi nie powiedzieli. Nie uprzedzili mnie.

Odszedł, a ja nawet się z nim nie pożegnałem.

Gdzie jest? Tego nie wiedziałem, ale wiedziałem, że był mój i że mi go odebrali.

– Gdzie jesteś? – krzyknąłem w deszcz.

Upadłem na kolana. Wbiłem palce w błoto i zacisnąłem dłonie.

– Nie ma żadnego motom.

Odwróciłem się.

Salvatore.

Stał kilka metrów ode mnie, koszula przemoknięta, spodnie brudne od błota. – Nie ma żadnego motom, prawda?

Wybełkotałem jakieś nie.

Wskazał na dziurę. – Tutaj siedział?

Przytaknąłem kiwnięciem głowy i wymamrotałem:

– Zabrali go.

Salvatore podszedł bliżej, zajrzał do środka a potem utkwiał wzrok we mnie. – Ja wiem, gdzie on jest.

Uniosłem powoli głowę. – Gdzie jest?

– Jest u Melichettiego. W wąwozie.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem wczoraj. Tato rozmawiał z twoim ojcem i z tym z Rzymu. Stałem za drzwiami gabinetu i słyszałem ich. Przenieśli go. Wymiana się nie powiodła, powiedzieli. – Odgarnął do tyłu zmokłą grzywkę. – Powiedzieli, że to miejsce nie jest już bezpieczne.

Burza ustała.

Równie nagle, jak przedtem wybuchła.

Była już daleko. Ciemna masa, która nadciągała nad pola, zalewała je wodą, po czym sunęła dalej swoją drogą.

Zjeżdżaliśmy ścieżką.

Powietrze było tak czyste, że w oddali, za równiną w kolorze ochry, widać było zielony paseczek. Morze. Pierwszy raz zdarzyło mi się je zobaczyć ze Skośnej Wody.

Ulewa pozostawiła po sobie zapach trawy i mokrej ziemi oraz nieco chłodu. Chmury, które zostały na niebie, były białe i rozproszone, a ostrza oślepiającego słońca cięły równinę. Ptaki znowu zaczęły śpiewać i zdawało się, że urządzają śpiewaczy konkurs.

Czasze powiedziałem, że zrobiłem mu kawał.

– Piękny chujowy kawał – odpowiedział.

Miałem przeczucie, że już nikt nigdy nie wybierze się na to wzgórze, było za daleko, a w dodatku w tej starej ruderze nie kryło się nic ciekawego. A ta ukryta dolinka przynosiła nieszczęście.

Filippo trafił do Melichettiego, pomiędzy świnie, ponieważ wymiana się nie udała, a dół nie był już bezpieczny, tak powiedzieli. I nie mieli tu nic do rzeczy panowie wzgórze ani potwory, które sobie wymyśliłem.

Daj spokój z tymi potworami, Michele. Potwory nie istnieją. Powinieneś bać się ludzi, nie potworów. Tak mi powiedział tato.

To była jego wina. Nie wypuścił go i nigdy go nie wypuści.

Koty, kiedy złapią jaszczurkę, bawią się nią i nie przestają się bawić nawet wtedy, gdy jaszczurka ma już rozpruty brzuch, flaki na wierzchu i brak jej ogona.

Śledzą ją sobie spokojnie, przysiadają i uderzają, i zabawiają się tak, dopóki jaszczurka nie umrze, a kiedy już nie żyje, szturczą ją lekko łapą, jakby się brzydziły, a ponieważ ona się nie msza, rzucają ostatnie spojrzenie i odchodzą.

Ogłuszający huk, metaliczny grzmot rozdarł ciszę i stłumił wszystko.

Barbara zawołała, wskazując na niebo: – Patrzcie! Patrzcie!

Za wzgórze wynurzyły się dwa helikoptery. Dwie stalowe ważki, dwie ogromne niebieskie ważki z wypisanym na bokach słowem KARABINIERZY.

Obniżyli lot nad nami, a my zaczęliśmy machać rękami i krzyżeć, ustawili się bokiem i skręcili jednocześnie, jakby chcieli nam pokazać, jacy są sprawni, a potem śmignęli nad polami, przelecieli nad Skośną Wodą i zniknęli za horyzontem.

Dorosłych nie było.

Samochody stały na miejscu, ale ich nie było.

Puste domy, otwarte drzwi.

Biegaliśmy wszyscy od domu do domu.

Barbara była wzburzona. – U ciebie jest ktoś?

– Nie. A u ciebie?

– Też nie.

– Gdzie oni są? – Remo miał zadyszkę. – Patrzyłem nawet w ogrodzie.

– Co robimy? – zapytała Barbara.

Odpowiedziałem: – Nie wiem.

Czacha przechadzał się środkiem drogi, z rękami w kieszeniach i groźnym spojrzeniem, niczym rewolwerowiec w jakimś nierealnym miasteczku z westernu.

– Olewam to. Nawet lepiej. Od dawna czekałem, żeby wszyscy wynieśli się w cholerę. – I splunął.

– Michele!

Odwrociłem się.

Moja siostra, w majtkach i podkoszulku, stała przed stodołą ze swoimi Barbie w rękach i z Togo, który trzymał się jej jak cień.

Pobiegłem do niej. – Maria! Maria! Gdzie są starzy?

Odpowiedziała spokojnie. – W domu Salvatore.

– Dlaczego?

Wskazała na niebo. – Helikoptery.

– Jak to?

– Tak, przeleciały helikoptery, a potem wszyscy wyskoczyli na drogę i krzyczeli, i poszli do domu Salvatore.

– Po co?

– Nie wiem.

Rozejrzałem się dokoła. Salvatore już nie było.

– A ty co tu robisz?

– Mama kazała mi tutaj czekać. Pytała, gdzie pojechałeś.

– A ty co jej powiedziałaś?

– Że pojechałeś na górę.

Dorośli zostali w domu Salvatore przez cały wieczór.

My czekaliśmy na dziedzińcu, siedząc na brzegu fontanny.

– Kiedy skończą? – zapytała mnie Maria setny raz.

A ja setny raz odpowiedziałem: – Nie wiem.

Kazali nam czekać, rozmawiali.

Barbara wchodziła na schody i pukała do drzwi co pięć minut, ale nikt nie otwierał. Była niespokojna. – O czym oni mogą rozmawiać tyle czasu?

– Nie wiem.

Czacha poszedł sobie razem z Remem. Salvatore był w domu, na pewno zaszył się w swoim pokoju.

Barbara usiadła obok mnie. – Ale co się dzieje? Wzruszyłem ramionami.

Przyjrzała mi się. – Co z tobą?

– Nic. Jestem zmęczony.

– Barbara! – Angela Mura wychyliła się z okna. – Barbara, idź do domu!

– Kiedy wrócisz?

– Niedługo. Biegaj.

Barbara pożegnała się z nami i poczłapała noga za nogą.

– Kiedy wyjdzie moja mama? – Maria zapytała Angelę Mura.

Tamta spojrziała na naszą dwójkę i odparła: – Idźcie do domu i zjedzcie coś, niedługo wróci. – Zamknęła z powrotem okno.

Maria pokręciła głową. – Ja nie idę, zaczekam tutaj.

Podniosłem się. – Idziemy, tak będzie lepiej.

– Nie!

– No, już. Daj mi rękę.

Skrzyżowała ramiona. – Nie! Ja zostanę tutaj całą noc, nic mnie to nie obchodzi.

– Daj mi rękę, już.

Poprawiła sobie okulary i wstała. – Ale nie będę spać.

– A nie śpij.

I tak, ręka w rękę, wróciliśmy do domu.

Wrzeszczeli tak głośno, że nas obudzili.

Przywykliśmy już do wszystkiego. Do nocnych zgromadzeń, do hałasu, do głośnych rozmów, do tłuczonych talerzy, ale teraz wrzeszczeli za bardzo.

– Dlaczego tak krzyczą? – zapytała mnie Maria, wyciągnięta na swoim łóżku.

– Nie wiem.

– Która godzina?

– Późno.

Była głęboka noc, w pokoju panowała ciemność, a my siedzieliśmy w naszej sypialni, całkiem rozbudzeni.

– Każ im przestać – skarżyła się Maria. – Przeszkadzają mi. Powiedz im, żeby krzyczeli ciszej.

– Nie mogę.

Usiłowałem zrozumieć, o czym mówią, ale głosy mieszały się.

Maria położyła się obok mnie. – Boję się.

– Oni się boją.

– Skąd wiesz?

– To dlatego krzyczą.

Te wrzaski były tym, czym jest sapanie u jaszczurek zielonych.

Jaszczurki zielone, kiedy nie mają już dokąd uciec i wiedzą, że zaraz je złapiesz, rozdziwiają paszczę, nadymają się i sapią, próbując cię przestraszyć, ponieważ same bardzo boją się ciebie, ty jesteś ogromny, i jedyne co im pozostaje, to starać się wzbudzić w tobie strach. I jeżeli nie wiesz, że są nieszkodliwe, że nic nie mogą zrobić, że to tylko udawanie, nie ruszysz ich.

Otworzyły się drzwi.

Na mgnienie pokój rozjaśnił się. Zobaczyłem czarną postać mamy, a w głębi starego.

Mama zamknęła za sobą drzwi. – Nie śpisz?

– Nie – odpowiedzieliśmy.

Zapaliła lampę. W ręce trzymała talerz z chlebem i serem. Usiadła na krawędzi łóżka. – Przyniosłam wam jedzenie. – Mówiła powoli, zmęczonym głosem. Miała podkrążone oczy, rozczochrane włosy i postarzała się.

– Zjedzcie i kładźcie się do spania.

– Mamo...? – zaczęła Maria.

Mama postawiła sobie talerz na kolanach. – Co takiego?

– Co się dzieje?

– Nic. – Mama usiłowała pokroić ser, ale drżała jej ręka. Nie potrafiła udawać. – Teraz jedzcie, a potem...

– Pochyliła się, odstawiła talerz na podłogę, zasłoniła twarz dłonią i zaczęła płakać po cichu.

– Mamo... Mamo... Czemu płaczesz? – Maria zanosła się łkaniem.

Ja też czułem gulę, która pęczniała mi w gardle. Powiedziałem: – Mamo? Mamo?

Uniosła głowę i spojrzała na mnie czerwonymi, błyszczącymi oczami. – Co takiego?

– On umarł, prawda?

Wymierzyła mi policzek i potrząsnęła mną, jakbym był szmacianą lalką. – Nikt nie umarł! Nikt nie umarł! Rozumiesz? – Grymas bólu wykrzywił jej twarz i wyszeptła. – Jesteś za mały... – Otworzyła usta i przycisnęła mnie do piersi.

Wybuchnąłem płaczem.

Teraz płakaliśmy wszyscy.

Po tamtej stronie drzwi stary grzmiał.

Mama usłyszała go i odsunęła się ode mnie. – Dosyć tego!

– Otarła łzy. Podała nam dwie kromki chleba. – Jedzcie. Maria wbiła zęby w chleb, ale nie mogła go przełknąć, wstrząsana łkaniem. Mama wyrwała jej kromkę z ręki.

– Nie jesteście głodni? Nie szkodzi. – Zabrała talerz.

– Kładźcie się. – Uniosła poduszki i zgasiła światło.

– Jeżeli przeszkadzają wam hałasy, wsadźcie głowy pod spód. No, już! – Nakryła nam głowy poduszkami.

Próbowałem się uwolnić. – Mamo, proszę. Nie mogę oddychać.

– Bądźcie grzeczni! – Warknęła i docisnęła mocno. Maria wrzeszczała rozpaczliwie, jakby ją zarzynali.

– Przestań! – Mama krzyknęła tak głośno, że na moment nawet tamci przestali się kłócić. Przestraszyłem się, że ją zbije.

Maria ucichła.

Kiedy tylko ruszyliśmy się, kiedy coś powiedzieliśmy, mama powtarzała jak zepsuta płyta: – Ssst! Śpijcie.

Zacząłem udawać, że śpię, i miałem nadzieję, że Maria zrobi to samo. I po jakimś czasie ona też się uspokoila.

Mama siedziała bardzo długo, byłem pewny, że zostanie przy nas przez całą noc, ale w końcu wstała. Myślała, że usnęliśmy. Wyszła, zamykając drzwi.

Ściągnęliśmy z siebie poduszki. Było ciemno, ale słaby odblask latami przy drodze rozświetlał pokój. Wstałem.

Maria usiadła, założyła okulary i pociągając nosem, zapytała mnie: – Co robisz?

Położyłem palec na ustach. – Cicho.

Przytknąłem ucho do drzwi.

Nadal dyskutowali, teraz ciszej. Słyszałem głosy Felice i starego, ale nic nie mogłem zrozumieć. Spróbowałem podglądać przez dziurkę od klucza, ale widać było tylko ścianę.

Złapałem za klamkę.

Maria ugryzła się w dłoń. – Co robisz, zwariowałaś?

– Cicho! – Uchyliłem odrobinę.

Felice stał obok kuchenki. Miał na sobie zielony dres, zamek rozsunięty poniżej żeber pozwalał dojrzeć wydatne mięśnie klatki piersiowej. Miał nieruchome spojrzenie i wargi rozchylone na mlecznobiałych ząbkach. Zgolił sobie włosy na zero.

– Ja? – zapytał, kładąc rękę na piersi.

– Tak, ty – przytknął stary. Siedział na stole, z jedną nogą założoną na kolano drugiej, z papierosem między palcami i perfidnym uśmiechem na ustach.

– Ja mam być ciotą? Pedalem? – dopytywał się Felice.

Stary potwierdził. – Dokładnie.

Felice przekrzywił głowę. – A... A niby jak to odkryłeś?

– Widać po wszystkim. Jesteś ciota. Nic na to nie poradzisz. I... – Stary zaciągnął się. – Wiesz, co jest najgorsze?

Felice zmarszczył brwi, zainteresowany. – Nie, co takiego?

Wyglądali jak dwójka przyjaciół, którzy zwierzają się sobie z sekretów.

Stary zgasił niedopałek w talerzu. – To, że o tym nie wiesz. To jest twój problem. Urodziłeś się ciotą i nie wiesz o tym. Masz już swoje lata, nie jesteś smarkaczem. Przyjmij to do wiadomości. Będzie ci łatwiej. Będziesz robił to, co robią cioty, czyli dawał dupy. A tak odstawiasz twardziela, udajesz mężczyznę, gadasz i gadasz, ale wszystko, co robisz i co mówisz, zalatuje fałszem, zalatuje ciotą.

Tato stał i zdawał się śledzić dyskusję, ale naprawdę był gdzieś indziej. Fryzjer podpierał drzwi, jakby dom miał się zaraz zawalić, a mama, siedząc na kanapie, oglądała telewizję z całkiem wyciszonym głosem. Żyrandol otaczała chmara muszek, które spadały, czarne i nieżywe, na białe talerze.

– Posłuchajcie, posłuchajcie, oddajmy im go. Oddajmy im go – niespodziewanie odezwał się tato.

Stary spojrzał na niego, potrząsnął głową i uśmiechnął się. – Ty siedź cicho, tak będzie lepiej.

Felice popatrzył na tatę, a potem podszedł do starego.

– Może i jest ze mnie pedał, ale póki co, ty rzymski zasańcu, dostaniesz w mordę. – Podniósł rękę i rąbnął tamtego pięścią w usta.

Stary zwałił się na podłogę.

Zrobiłem dwa kroki w tył i złapałem się za głowę. Felice uderzył starego. Zacząłem się trząść i zebrało mi się na wymioty, ale nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wrócić i patrzeć dalej.

W kuchni krzyczał teraz tato: – Co ty, kurwa, robisz? Zwariowałeś? – Chwycił Felice za ramię i starał się go odciągnąć.

– Powiedział mi, że jestem pedał, ten skurwysyn... – Felice zaczynał się mazać. – Ja go zabiję...

Stary leżał na podłodze. Było mi go żal. Chciałem mu pomóc, ale nie miałem jak. Usiłowałem się podnieść, ale stopy ślizgały mu się po podłodze, a ramiona nie mogły go udźwignąć. Z ust ciekła mu krew i ślina. Okulary, które nosił odsunięte na czubek głowy, leżały teraz pod stołem. Patrzyłem na te białe łydki, wyschnięte i bezwłose, które wystawały mu ze spodni z błękitnego płótna. Uczepił się rękami krawędzi stołu, podciągnął się powoli i stanął na nogi. Wziął serwetkę i przytknął ją sobie do warg.

Mama płakała na kanapie. Fryzjera przygwoździło do drzwi, jakby zobaczył diabła.

Felice zrobił dwa kroki w stronę starego, chociaż tato próbował go powstrzymać. – No i co? Według ciebie to jest pięść pedała, tale? Jeszcze raz mi powiedz, że jestem pedał, a przysięgam, że już się nie pozbierasz.

Stary usiadł na krześle i serwetką tamował rozbitą wargę. Potem podniósł głowę, utkwiał wzrok w Felice i powiedział stanowczym głosem. – Jeżeli jesteś mężczyzną, udowodnij to. – Zły błysk zapalił się w jego oczach. – Opowiadałeś, że to zrobisz, a potem wszystko odszczekałeś. Jak to mówiłeś? Ja go wypatroszę jak baranka, nie ma sprawy, ja się nie boję. Ja jestem spadochroniarzem. Ja to, ja tamto. Bajarz jesteś, tylko bajarz. Jesteś gorszy od psa, nie nadajesz się nawet do pilnowania dzieciaka. – Splunął strużką krwi na stół.

– Sukinsyn! – zawołał płaczkliwie Felice, ciągnąc za sobą tatę. – Ja tego nie zrobię! Dlaczego ja mam to zrobić, dlaczego? – Po wygolonych policzkach spływały mu dwa strumyczki łez.

– Pomóż mi! Pomóż mi! – krzyknął tato do ojca Barbary. I fryzjer rzucił się na Felice. Ledwie mogli we dwóch go utrzymać.

– Ja tego nie zrobię, gnoju! – powtórzył Felice. – Ja nie pójdę do pierdła przez ciebie. Zapomnij o tym!

Teraz go zabije, powiedziałem do siebie.

Stary wstał. – Więc ja to zrobię. Ale bądź spokojny, jeżeli ja wpadnę, to ty też wpadniesz. Pociągnę cię za sobą, niedojdo. Możesz być pewny.

– Niby gdzie mnie pociągniesz, ty rzymski zasańcu? – Felice rzucił się do przodu z pochyloną głową. Tato i fryzjer usiłowali go powstrzymać, ale on strząsnął ich z siebie i znowu mszył na starego.

Stary wyciągnął z kieszeni spodni pistolet i przyłożył mu go do czoła. – Spróbuj mnie jeszcze raz uderzyć. Spróbuj. No, zrób to. Proszę, zrób to...

Felice znieruchomiał, jakby bawił się w raz-dwa-trzy Baba-Jaga patrzy.

Tato stanął między nimi. – Uspokójcie się, dosyć tego! Obaj przeholowaliście. – I rozdzielił ich.

– Spróbuj! – Stary wsunął sobie pistolet za pasek. Na czole Felicego odcisnęło się czerwone kółeczko.

Mama siedziała w kącie, płakała i powtarzała z ręką na ustach: – Spokojnie! Uspokójcie się! Uspokójcie się! Spokojnie!

– Dlaczego chce go zastrzelić?

Odwrociłem się.

Maria wyszła z łóżka i stała za moimi plecami.

– Wracaj do łóżka – krzyknąłem półgłosem.

Pokręciła głową.

– Maria, wracaj do łóżka!

Moja siostra wykrzywiła buzię i pokazała, że nie.

Podniosłem rękę, chciałem ją uderzyć, ale powstrzymałem się. – Wracaj do łóżka i nawet nie próbuj płakać.

Posłuchała.

Tato tymczasem zdołał zmusić ich, żeby usiedli. On natomiast chodził tam i z powrotem, z błyszczącymi oczami, w których płonęło światło szaleństwa.

– Dosyć tego. Zrobmy odliczanie. Ilu nas jest? Czterech. Na koniec, z wszystkich, którzy w tym byli, zostaliśmy w czwórkę. Największe dupki. Niech będzie. Kto przegra, zabije go. To proste.

– I załatwi sobie dożywocie – dodał fryzjer, przykładając rękę do czoła.

– Brawo! – Stary klasnął w dłonie. – Widzę, że zaczynamy rozumować.

Tato sięgnął po pudełko zapalek i pokazał je wszystkim. – Patrzcie. Zagramy. Znacnie żołnierskie losowanie? Zamknąłem drzwi.

Znałem tę grę.

W ciemności odnalazłem koszulkę i spodnie i ubrałem się. Gdzie są sandały?

Maria siedziała na łóżku i przyglądała mi się. – Co robisz?

– Nic. – Były w kącie.

– Dokąd idziesz?

Włożyłem je. – W jedno miejsce.

– Wiesz co, jesteś niedobry, bardzo niedobry.

Wszedłem na łóżko, a z niego na parapet.

– Co robisz?

Spojrzałem w dół.

– Jadę do Filippa. – Tato zaparkował ciężarówkę pod naszym oknem, na szczęście.

– Kto to jest Filippo?

– Mój przyjaciel.

Było wysoko, a plandeka była zbutwiała. Tato ciągle powtarzał, że musi kupić nową. Gdybym skoczył na nią nogami, podarłaby się, a ja rąbnąłbym o pakę ciężarówki.

– Jeżeli to zrobisz, zawołam mamę.

Spojrzałem na nią. – Uspokój się. Ciężarówka jest na dole. Ty śpij. Jak przyjdzie mama... – Co mogłaby jej powiedzieć? – Powiedz jej... Powiedz jej, co chcesz.

– Będzie się gniewać.

– Nieważne. – Przeżegnałem się, wstrzymałem oddech, zrobiłem krok i runąłem do tyłu z otwartymi ramionami.

Wylądowałem na plecach pośrodku plandeki, bez jednego draśnięcia. Wytrzymała.

Maria wychyliła się przez okno. – Wracaj szybko, proszę.

– Zaraz wrócę. Nie martw się. – Wdrapałem się na kabinę kierowcy, a stamtąd zszedłem na ziemię.

Droga była czarna, tak jak ta noc bez gwiazd. Domy ciemne i ciche. Jedyne oświetlone okna były w moim domu. Wokół latarni przy pompie krążyła kula owadów.

Niebo znowu było zaciągnięte i Skośną Wodę spowijała czarna, gęsta kołdra ciemności. Musiałem w nią wejść, żeby dostać się do farmy Melichettiego.

Musiałem zdobyć się na odwagę.

Tiger Jack. Pomyśl o Tiger Jacku.

Indianin mi pomoże. Zanim zrobię jakiś ruch, muszę się zastanowić, co na moim miejscu zrobiłby Indianin. Oto cały sekret.

Pobiegłem za dom po rower. Serce waliło mi w piersi.

Red Dragon, wyzywający i kolorowy, stał oparty o Gruchota.

Już miałem na niego wsiąść, ale powiedziałem sobie, czy ja zgłupiałem? Dokąd się wybieram na tym kretyńskim rupieciu?

Pędziłem na starym Gruchocie.

Dopingowałem się: – Pędź, Tiger, pędź.

Zanurzyłem się w atrament. Ledwie widziałem drogę, a kiedy nie widziałem, domyślałem się jej. Od czasu do czasu słaby blask księżyca rozświetlał pierzynę chmur, która pokrywała niebo, i wtedy przez parę chwil mogłem dostrzec pola i czarne kształty wzgórz po obu stronach drogi.

Zaciskałem zęby i liczyłem obroty pedałów.

Raz, dwa, trzy, wdech...

Raz, dwa, trzy, wdech...

Opony szurały o tłuczeń. Wiatr kleił mi się do twarzy niczym gorąca ścierka.

Piskliwe wołanie sowy, ujadanie dalekiego psa. Panowała cisza. Ale ja słyszałem ich szepty w ciemnościach.

Wyobrażałem ich sobie, jak stoją na skraju drogi, małe stworzenia z uszami lisa i czerwonymi oczami, obserwują mnie, rozmawiają między sobą.

Patrz! Patrz, jakiś chłopiec!

Co on robi nocą w tych stronach?

Bierzmy go!

Tak, tak, tak, dobry jest... Bierzmy go!

A z tyłu byli panowie wzgórz, olbrzymi z ziemi i kłosów, którzy śledzili mnie, czekali tylko, żebym wypadł z drogi, żeby na mnie wleźć i pogrzebać żywcem. Słyszałem ich oddechy. Wydawali ten sam dźwięk co wiatr w pszenicy.

Sekret polegał na tym, aby trzymać się środka drogi. Ale musiałem być gotowy na wszystko.

Łazarz nie boi się niczego.

Zobaczysz go, powiedziałem sobie.

Nocą Łazarz świeci. Zapala się i gaśnie niczym szyld baru Perła w Lucignano. A kiedy się zapala, widać, jak mrówki łażą w jego żyłach. Nie może poruszać się prędko, tego byłem pewien, gdyby zaczął biec, rozpadłby się na kawałki. Ważne, żeby przemknąć obok niego, nie zatrzymując się, nie zwalniając.

– Filippo... już jadę... Filippo... jadę... – powtarzałem dysząc z wysiłku.

Podczas gdy zbliżałem się do farmy, zaczął narastać we mnie nowy, jeszcze bardziej przytłaczający strach. Włosy na karku sterczały mi sztywno jak igły.

Świnie Melichettiego.

Panowie wzgórz z całą wesołą kompanią przerażali mnie, ale wiedziałem, że nie istnieją, że to ja ich wymyśliłem, że nie mógłbym opowiedzieć o nich nikomu, bo zostałbym wyśmiany, o świniach natomiast mogłem rozmawiać bez problemu, ponieważ istniały naprawdę i były głodne.

Żywego mięsa.

Jamnik próbował uciekać, ale świnie nie dały mu szansy. Zmasakrowany w dwie sekundy, tak mówił Czacha.

Może na noc Melichetti puszcza je wolno. Krążą wokół farmy, ogromne, złe, z ostrymi kłami i węszą w powietrzu.

Im dalej będę się trzymał od tych bestii, tym lepiej.

W oddali słabe światło zamajaczyło wśród ciemności.

Farma.

Byłem prawie na miejscu.

Zahamowałem. Wiatr ucichł. Powietrze było nieruchome i gorące. Z niedalekiego wąwozu dobiegało cykanie świerszczy. Zsiadłem z roweru i cisnąłem go między krzaki jeżyn przy drodze.

Nic nie było widać.

Szedłem szybko, prawie bez oddechu i co chwila oglądałem się za siebie. Bałem się, że ostry pazur któregoś z potworów wpije się w moją szyję. Teraz, kiedy szedłem pieszo, słyszałem mnóstwo odgłosów, szmerów, kłaskań, dziwnych dźwięków. Otaczała mnie czarna, zwarta masa, która napierała na drogę. Zwilżyłem językiem wyschnięte wargi, w ustach miałem gorzki smak. Serce waliło młotem, czułem je aż w przelyku.

Podeszwa sandała natknęła się na coś śliskiego, odskoczyłem z tłumionym okrzykiem i upadłem na ziemię, ocierając sobie kolano.

– Kto tam? Kto tam? – wybełkotałem i zwinąłem się w kłębek, spodziewając się, że otoczą mnie galaretowate i piekące macki meduzy.

Dwa głucho klaśnięcia i bua, bua, bua.

Ropucha! Nadepnąłem na ropuchę. Wylazła kretynka na środek drogi.

Pozbierałem się i kuśtykając mszyłem dalej w kierunku światła.

Nawet nie zabrałem ze sobą latarki. Mogłem wziąć tę, którą tato trzymał w ciężarówce.

Kiedy dotarłem do granicy podwórza, ukryłem się za drzewem.

Dom był jakieś sto metrów ode mnie. Okna były ciemne. Tylko jedna żarówka wisiała obok drzwi i oświetlała kawałek łuszczącego się muru i zardzewiały bujak.

Nieco dalej, w ciemności, znajdowały się zagrody dla świń. Czułem już odpychający smród ich odchodów.

Gdzie mógł być Filippo?

Na dole, w wąwozie, powiedział Salvatore. Do tego długiego, wielkiego rowu schodziłem już parę razy z tatą, zimą, na grzyby. Same skały, dziury i kamienne ściany.

Jeżeli przejdę przez pola, dostanę się do krawędzi wąwozu i będę mógł zejść na dół, nie zbliżając się za bardzo do domu.

Plan był dobry.

Biegiem przeciąłem pole. Pszenica była już skoszona. Za dnia zobaczyliby mnie na otwartej przestrzeni, ale teraz, bez księżycy, byłem bezpieczny.

Stanąłem na brzegu wąwozu. W głębi było tak czarno, że nie mogłem nawet dojrzeć, jak stroma była ściana, czy skała była gładka, czy też były w niej występy.

Przeklinałem sam siebie za to, że nie zabrałem latarki. Nie powinienem schodzić od tej strony. Mogłoby to źle się skończyć.

Jedyne wyjście to podejść bliżej domu, gdzie wąż robił się płytszy i gdzie była ścieżka prowadząca w dół, między skałami. Ale tam właśnie czyhały świnię.

Cały byłem zlany potem.

Świnię mają najlepszy węch na świecie, nie to co ogary, mawiał ojciec Czachy, który był myśliwym.

Nie mogłem tamtędy przejść. Wyczułyby mnie.

Co na moim miejscu zrobiłby Tiger Jack?

Zmierzyłby się z nimi. Zmasakrowałby je za pomocą swojego winchestera i przerobiłby na kiełbasy, które upiekłby na ognisku razem z Texem i Srebrnowłosa.

Nie. To nie w jego stylu.

No więc co by zrobił?

Pomyśl, powiedziałem sobie. Wysił się.

Spróbowałby pozbyć się ludzkiej woni, to by zrobił.

Indianie, kiedy wyruszali polować na bizona, smarowali się ich tłuszczem i narzucali skóry na plecy. To właśnie powinienem zrobić: wysmarować się ziemią. Nie ziemią, gnojem. Tak będzie lepiej. Kiedy będę śmierdział gnojem, nie zauważą mnie.

Podszedłem jak najbliżej domu, pozostając w ciemności.

Smród się nasilał.

Poprzez cykanie świerszczy słyhać było jeszcze coś innego. Muzykę. Dźwięki fortepianu i zachrypnięty głos, który śpiewał: Toń lodowata i znikąd ratunku. Wypadłem za burtę, wypadłem za burtę, gdy na pokładzie trwał bal. Fala za falą...

Melichetti potrafi śpiewać?

Ktoś siedział na bujanym fotelu. Obok, na ziemi, stało radio. Albo był to Melichetti, albo jego kulawa córka.

Obserwowałem przez chwilę, przyczajony za starymi oponami od traktora.

Postać zdawała się martwa.

Podszedłem bliżej.

To był Melichetti.

Zasuszona głowa oparta o brudną poduszkę, usta rozdziawione i strzelba na kolanach. Chrapał tak głośno, że słyzałem go na odległość.

Droga wolna.

Wyszedłem na otwarty teren i zrobiłem kilka kroków, gdy ostre ujadanie psa rozdarło ciszę. Na chwilę umilkły nawet świerszcze.

Pies! Zapomniałem o psie.

Para czerwonych oczu biegała w ciemności. Szarpał się na łańcuchu i szczekał przyduszony.

Padłem płasko na ściernisko.

– Co jest? Co z tobą? Co cię wzięło? – Melichetti podskoczył. Siedział na bujaku i kręcił głową w koło niczym puszczyc. – Tyberiusz! Spokój! Uspokój się, Tyberiusz!

Ale bestia nie zamierzała przestać szczekać, więc Melichetti przeciągnął się, założył kołnierz ortopedyczny, wstał, wyłączył radio i zapalił latarkę.

– Kto tam? Kto tam? Jest tam kto? – zawołał w ciemność i okrążył z ociąganiem parę razy podwórze, ściskając strzelbę pod pachą i celując dokoła strumieniem światła. Wrócił zrzędząc. – Przestań już hałasować. Nie ma nikogo.

Zwierzę przywarło do ziemi i warczało przez zęby.

Melichetti wszedł do domu, trzaskając drzwiami.

Starając się trzymać możliwie najdalej od psa, podszedłem do zagrody dla świń. Dostrzegałem w ciemnościach kanciaste kształty płotów. Cierpki odór wzmagał się i drapał mnie w gardle.

Musiałem się zamaskować. Ściągnąłem koszulkę i spodenki. Zostałem w majtkach i zanurzyłem ręce w ziemi przesiąkniętej moczem, wykręcało mi nos, kiedy nakładałem sobie na pierś, ramiona, nogi i twarz tę ohydną papkę.

– Idź, Tiger. Idź i nie zatrzymuj się – wyszeptalem i mszyłem na czworakach. Było ciężko. Dłonie i kolana zapadały mi się w błocie.

Pies znowu zaczął szczekać.

Znalazłem się pomiędzy dwoma płotami. Przede mną był korytarz, szeroki na niecały metr, który ginął w ciemności.

Słyszałem je. Były tam. Wydawały dźwięki niskie i głębokie, podobne do ryku lwa. Wyczuwałem w ciemnościach ich siłę, poruszały się w stadzie i przebierały racicami, a belki płotu drżały pod ich naporem.

Idź przed siebie i nie odwracaj się, przykazałem sobie.

Modliłem się, żeby ta zbroja ulepiona z gnoju zadziałała. Gdyby któraś z tych bestii precyzyjnie rył pomiędzy belkami, jednym kłapnięciem mogłaby odgryźć mi nogę.

Widziałem już koniec ogrodzenia, kiedy usłyszałem gwałtowne dreptanie i chrząkanie, jakby się pokłóciły.

Nie mogłem się powstrzymać się od spojrzenia w ich stronę.

Z odległości jednego metra wpatrywało się we mnie dwoje żółtych, złośliwych oczu. Za tymi małymi latarenkami musiały być setki kilogramów mięśni, mięso, szczecina, racice, kły i głód.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez nieskończenie długą chwilę, potem stworzenie rzuciło się gwałtownie i byłem pewny, że zaraz rozwali płot.

Krzyknąłem i zerwałem się na nogi, biegłem, pośliznąłem się na gnoju, podniosłem się, znowu mszyłem biegiem, z otwartymi ustami, w czerń, zaciskając pięści do bólu, i naraz znalazłem się w powietrzu, leciałem, serce skoczyło mi do gardła, a wnętrzności skurczyły się w bolesną grudę.

Przekroczyłem krawędź wąwozu.

Spadałem w próżnię.

Wylądowałem metr niżej, między gałęziami drzewka oliwnego, które wyrastało krzywo pośród urwistych skał i wznosiło koronę nad przepaścią.

Uczepiłem się gałęzi. Gdyby nie to błogosławione drzewo, które powstrzymało mój upadek, rozbiłbym się o skały. Jak Francesco.

Rąbek księżycy przedarł się przez sine chmury i mogłem teraz dojrzeć pode mną tę długą ranę, rozdzierającą pola.

Spróbowałem się obrócić, ale pień ugiął się niczym maszt. Zaraz się złamie, pomyślałem. Polecę na dół z całym drzewem.

Trzęsły mi się ręce i nogi, przy każdym ruchu miałem wrażenie, że spadam. Kiedy wreszcie zacisnąłem palce na skale, odzyskałem oddech. Wdrapałem się z powrotem na brzeg wąwozu.

Był głęboki i ciągnął się kilkaset metrów na prawo i lewo. Pełno w nim było dziur, załamów skalnych i drzew.

Filippo mógł być wszędzie.

Po mojej prawej stronie odchodziła ścieżka, która wciskała się stromo pomiędzy białe skały. Był tam pał wbity w ziemię, z przywiązaniem do niego mocno zużytym sznurem, którym pewnie posługiwał się Melichetti dla ułatwienia sobie zejścia. Uczepiłem się go i zacząłem zsuwać się urwistą ścieżką. Po paru metrach trafiłem na ziemny nasyp, pokryty łajnem. Ogrodzony był barierką z powiązanych między sobą gałęzi. Na skalnym występie wisiały ubrania, sznury i sierpy. Nieco dalej leżały na stosie drewniane kołki. Przywiązane do korzenia, który wstawał z ziemi, stały trzy kózki i jedna większa koza. Przyglądały mi się.

Odezwałem się do nich: – Zamiast gapić się na mnie jak kretyнки, powiedzcie mi, gdzie jest Filippo.

Jakiś cień, czarny i bezgłośny runął na mnie z nieba i przeleciał tuż nade mną, aż osłoniłem głowę rękami.

Sowa.

Wzbiła się w górę, rozplynęła w ciemności, a potem znowu opadła w stronę nasypu i zawróciła ku niebu.

Dziwne, to przecież łagodne ptaki.

Dlaczego mnie atakuje?

– Idę już, idę – wyszeptalem.

Ścieżka biegła dalej i znowu ruszyłem w dół, trzymając się sznura. Musiałem posuwać się skulony i jak ślepiec macać rękami przeszkody, które wyrastały przede mną. Kiedy dotarłem na dno wąwozu, wpadłem w osłupienie. Krzaki ostrokrzewu, osty, Chróściny jagodne, mchy i skały pokryte były świetlistymi punkcikami, które migotały w ciemności niczym maleńkie latarenki. Świetliki.

Chmury przerzedziły się i półksiężyc zalewał wąwóz złotym światłem. Grały świerszcze. Pies Melichettiego przestał ujadać. Panował spokój.

Przede mną rósł mały gaj oliwny, a z tyłu, w przeciwnym zбочu wąwozu, wśród skał otwierała się szczelina.

Ze środka wydobywał się kwaśny odór łajna. Ledwie przekroczyłem wejście, usłyszałem ruch i beczenie. Dywan owiec. Zamknęli je w grocie metalową siatką. Stłoczone jak sardynki. Nie było tam miejsca dla Filippa.

Wróciłem na drugą stronę, ale nie znalazłem dziur ani jam, gdzie można by ukryć chłopca.

Kiedy rzucałem się z okna, nawet nie przyszło mi do głowy, że być może nie uda mi się go znaleźć. Wystarczy, że przebrnę przez ciemności i nie dam się pożreć świniom, a on tam będzie.

Ale tak się nie stało.

Ten wąwóz był bardzo długi, a Filippa mogli ukryć w drugim jego końcu.

Byłem załamany. – Filippo, gdzie jesteś? – zawołałem. Ale bardzo cicho. Melichetti mógłby mnie usłyszeć. – Odpowiedz! Gdzie jesteś? Odpowiedz.

Nic.

Odpowiedziała mi tylko sowa. Krzyczała dziwnie, zdawało się, że mówi: Tomoje, tomoje, tomoje. Możliwe, że to ta sama, która zaatakowała mnie wcześniej.

To niesprawiedliwe. Pokonałem całą tę drogę, ryzykowałem życie dla niego, a on nie dawał się odnaleźć. Zaczęłem biegać tam i z powrotem między skałami i drzewami oliwnymi, bezładnie, ogarnięty rozpaczą.

Ze złości podniosłem z ziemi gałąź i waliłem nią o skałę, aż otarłem sobie dłonie. Potem usiadłem.

Potrząsałem głową i starałem się odpędzić myśl, że wszystko było na próżno.

Uciekłem z domu jak wariat.

Tato musiał się wściekać. Zatlucze mnie na śmierć.

Musieli już zauważyć, że nie ma mnie w pokoju. A nawet jeżeli tego nie odkryli, niedługo przyjadą tutaj, żeby zabić Filippa.

Tato i stary z przodu, Felice i fryzjer za nimi. Na pełnym gazie, po ciemku, tym szarym autem z celownikiem na masce, miażdżąc kołami ropuchy.

Michele, na co czekasz? Wracaj do domu, polecił mi głos Marii.

– Wracam – powiedziałem.

Zrobiłem, co mogłem, a on nie dał się znaleźć. Nie moja wina.

Muszę się prędko zbierać, mogą nadjechać w każdej chwili.

Jeżeli będę pędził, nie zatrzymując się, być może dotrę do domu, zanim oni wyjadą. Nikt niczego nie zauważy. To byłoby piękne.

Wspinałem się pospiesznie między skałami, z powrotem tą samą drogą. Teraz, przy odrobinie światła, było łatwiej.

Sowa. Krążyła ponad nasypem, a kiedy przelatowała na tle księżycy, widziałem czarną sylwetkę o szeroko rozpostartych skrzydłach.

– Czego ty chcesz? – Wpadłem pędem na nasyp, obok kóz i wtedy ptak zaatakował ponownie. Odkoczyłem i odwróciłem się, żeby przyjrzeć się tej zwariowanej sowie.

Ciągle krążyła nad nasypem. Ocierała się o stos kołków, ułożony przy skale, zataczała koło i z uporem powracała.

Ale dlaczego tak robiła? Może była tam mysz? Nie. No to co?

Gniazdo!

Jasne. Gniazdo. Pisklęta.

Nawet jaskółki, kiedy zrzucisz im gniazdo, będą fruwać dokoła, aż padną ze zmęczenia.

Tej sowie odcięli dostęp do gniazda. A sowy robią gniazda w dziurach.

Dziura!

Zawróciłem i zacząłem odrzucać ułożone kołki, a sowa wisiała nade mną. – Czekaj, czekaj – uspokajałem ją.

Była tam zamaskowana byle jak skalna rozpadlina. Owalna jama o szerokości koła od ciężarówki.

Sowa wcisnęła się do środka.

Ciemność czarna jak smoła. Zapach palonego drewna i popiołu. Nie miałem pojęcia, jak mogło być głęboko.

Wsunąłem głowę i zawołałem: – Filippa?

Odpowiedziało mi echo.

– Filippa? – Wsunąłem się głębiej. – Filippa?

Czekałem. Żadnego dźwięku.

– Filippa, słyszysz mnie?

Nie było go tam.

Nie ma go. Pędź do domu, powtórzył głos mojej siostry.

Zrobiłem trzy kroki wstecz, kiedy wydało mi się że słyszę jakiś lament, jakiś głuchy jęk.

Zdawało mi się?

Zawróciłem i wsadziłem głowę do jamy.

– Filippo? Filippo, jesteś tam?

I z jamy wydobyło się jakieś Mmmm! Mmmm!.

– Filippo, to ty?

– Mmmm!

Był tam!

Poczułem, jak jakiś ciężar rozplywa mi się w piersi, oparłem się o skałę i osunąłem na ziemię. Siedziałem tak przez chwilę bezsilnie, na tym nasypie pokrytym kozimi bobkami, z uśmiechem na ustach.

Znalazłem go.

Zbierało mi się na płacz. Otarłem oczy rękami.

– Mmmm!

Wstałem. – Idę. Już idę. Widzisz? Przyszedłem, dotrzymałem obietnicy. Widzisz?

Sznur. Znalazłem zwój obok sierpów. Przywiązałem go do korzenia, przy którym stały kozy, a drugi koniec zrzuciłem do jamy. – Jestem.

Spuściłem się do środka. Serce pompowało tak silnie, że drżała mi pierś i ramiona. Ciemności przyprawiały mnie o zawrót głowy. Brakowało mi powietrza. Czułem się, jakbym był zanurzony w nafcie i było mi zimno.

Nie zrobiłem nawet dwóch metrów, kiedy dotknąłem dna. Zawalone było kołkami, kawałkami drewna, stosami skrzynek na pomidory. Na czworakach, wyciągając ręce do przodu, macałem ciemność. Byłem nagi i trząsałem się z zimna.

– Filippo, gdzie jesteś?

– Mmmm!

Zakneblowali mu usta.

– Już... – Stopa utkwiała mi między gałęziami, z wyciągniętymi rękami padłem na kolczaste wiązki chrustu. Ostrze bólu przeszło mi kostkę. Krzyknąłem i strumień wymiotów, gorący i kwaśny od żółci, podszedł mi do gardła. Lodowaty podmuch omiół mi plecy, a moje uszy płonęły.

Trzęsącymi się rękami wyszarpnąłem zakleszczoną stopę. Ból rozsadzał mi kostkę od środka. – Chyba zwichnąłem nogę – wycharczałem. – Gdzie jesteś?

– Mmmm!

Powłokłem się, z zaciśniętymi zębami, w stronę tego jęku i znalazłem go. Był pod wiązkami chrustu. Zrzuciłem je z niego i obmacałem go. Leżał na ziemi. Nagi. Ręce i nogi miał skrepowane taśmą klejącą.

– Mmmm!

Przesunąłem ręce po jego twarzy. Usta też miał zaklejone.

– Nie możesz mówić. Czekać, zdejmę d to. Może cię trochę zabołec.

Zerwałem mu taśmę. Nie krzyknął, ale zaczął dyszeć.

– Jak się masz?

Nie odpowiedział.

– Filippo, co z tobą, odpowiedz mi.

Dyszał jak ogar ukąszony przez żmiję.

– Źle się czujesz?

Dotknąłem jego piersi. Podnosiła się i opadała za szybko.

– Teraz stąd wyjdziemy. Wyjdziemy stąd. Poczekaj. – Usiłowałem oswobodzić jego nadgarstki i kostki. Były ciasno skrępowane. W końcu, zdesperowany, zacząłem piłować taśmę zębami. Najpierw uwolniłem mu ręce, potem stopy.

– Zrobione. Idziemy. – Chwyciłem go za ramię. Ale ramię opadło bezsilnie. – Wstań, proszę cię. Musimy uciekać, zaraz przyjadą. – Usiłowałem go podnieść, ale opadał z powrotem jak marionetka. Nie było już ani odrobiny energii w tym wycieńczonym ciałku. Jedyłą oznaką, że jeszcze nie umarł, było to, że nadal oddychał.

– Ja nie mogę wynieść cię na górę. Boli mnie noga! Błagam, Filippo, pomóż mi... – Złapałem go pod ramiona. – No! No! – Zdołałem go posadzić, ale gdy tylko puściłem, osunął się na ziemię. – Co mam zrobić? Nie rozumiesz, że cię zastrzelą, jak tu zostaniesz? – Jakaś gula tkwiła mi w gardle.

– No to umieraj, ty głupi, głupi matole! Ja przyszedłem tu dla ciebie, aż tutaj, ja dotrzymałem obietnicy, a ty... a ty...

– Wybuchnąłem płaczem. Wstrząsało mną łkanie. – Musisz... się... podnieść... głupi, głupi... jesteś. – Próbowałem na nowo, raz za razem, uporczywie, aż upadł na popiół, z głową całkiem przekreconą, jak nieżywa kura. – Wstawaj! Wstawaj! – krzyknąłem i zacząłem okładać go pięściami.

Nie wiedziałem, co robić. Przykucnąłem, opierając głowę o kolana. – Jeszcze nie umarłeś, rozumiesz? – Pozostałem tak, płacząc. – To nie jest niebo.

Na moment przestał dyszeć i coś wyszeptał. Przysunąłem ucho do jego ust. – Co powiedziałaś?

– Nie dam rady.

Potrząsałem nim. – Jak to nie dasz rady?

– Nie dam rady, przepraszam.

– Pewnie, że dasz radę. Pewnie...

Nie odpowiedział. Objąłem go. Usmarowani błotem, dygotaliśmy z zimna. Nic już nie można było zrobić. Ja też już nie dawałem rady. Czuję się śmiertelnie zmęczony, wyczerpany, kostka wciąż pulsowała. Zamknąłem oczy, serce zaczęło się uspokajać i nie chcąc tego, zasnąłem.

Otworzyłem gwałtownie oczy.

Było ciemno. Przez sekundę sądziłem, że jestem w domu, w swoim łóżku.

Potem usłyszałem szczekanie psa Melichettiego. I głosy.

Przyjechali.

Szarpnąłem go. – Filippo! Filippo, są tutaj! Chcą cię zamordować. Wstawaj.

– Nie mogę – wysapał.

– Właśnie, że tak. Założysz się? – Ukląkłem i rękami popychałem go do przodu, między gałęziami, nie przejmując się bólem. Moim, jego. Musiałem wyciągnąć go z tej jamy. Chrust ranił mi skórę, ale nie przestawałem pchać, zaciskając zęby, aż pod otwór w skale.

Głosy były już blisko. I światło majaczyło w koronach drzew.

Chwyciłem go pod ramiona. – Teraz musisz stanąć na nogi. Musisz to zrobić. I koniec. – Podciągnąłem go do góry, złapał mnie za szyję. Stał wyprostowany. – Widzisz, głupi? Widzisz, że wstałeś, co? Ale teraz musisz wyjść. Ja cię podsadzę, ale ty musisz chwycić się brzegu.

Zaniósł się kaszlem. Zdawało się, że w piersi grzechoczą mu kamienie. Kiedy wreszcie przestał, potrząsnął głową i powiedział: – Bez ciebie nie idę.

– Co takiego?

– Bez ciebie nie idę.

Obejmowałem go, jakby był kukiełką. – Nie udawaj kretyna. Zaraz też wyjdę.
Zdawało się, że są już na miejscu. Pies szczekał nad moją głową.

– Nie.

– Masz iść, zrozumiano? – Gdybym go puścił, upadłby na ziemię. Wziąłem go na rękę i wypchnąłem do góry. – Złap sznur, no, dawaj.

I poczułem, że jest lżejszy. Złapał! Ten sukinsyn na koniec chwycił się sznura! Stał na mnie. Opierał stopy o moje ramiona.

– Teraz cię popchnę, ale ty podciągaj się na rękach, rozumiesz? Nie puszczaj.

Widziałem jego małą głowę, otoczoną słabą poświatą wpadającą przez otwór.

– Już jesteś. Teraz wyciągnij się na wierzch.

Spróbowałem. Czuję, jak wysila się bezskutecznie.

– Poczekaj. Pomogę ci – powiedziałem, chwytając go za kostki. – Wypchnę cię. A ty się podrzuć. – Wsparłem się silnie na nogach i wypchnąłem go na zewnątrz, zobaczyłem, jak znika połknięty przez otwór i w tej samej chwili poczułem, jak długi zaostrowany gwóźdź wbija się w moją kostkę aż do szpiku, a tnące ostrze bólu przenika niczym prąd całą nogę aż do pachwiny, i padłem na ziemię.

– Michele! Michele, udało się! Chodź.

Odbiło mi się kwaśnym powietrzem. – Idę. Już idę.

Spróbowałem się podnieść, ale noga nie reagowała. Usiłowałem dosięgnąć sznura z ziemi, ale na próżno.

Głosy słyhać było coraz bliżej. Hałas kroków.

– Michele, idziesz?

– Idę.

Kręciło mi się w głowie, ale zdołałem uklęknąć. Nie dałem rady się podciągnąć.

Powiedziałem: – Filippo, uciekaj!

Nachylił się nad dołem. – Wychodź!

– Nie dam rady. Noga. Ty uciekaj!

Pokręcił głową. – Nie, nie idę. – Światło za jego plecami stało się silniejsze.

– Uciekaj. Już tu są. Uciekaj.

– Nie.

– Musisz iść! Proszę cię! Idź!

– Nie. – Krzyczałem i błagałem. – Wynoś się! Wynoś się! Jeżeli nie pójdziesz, zabiją cię, zrozum to wreszcie!

Rozpłakał się.

– Idź. Wynoś się. Błagam cię, zaklinam. Idź sobie... I nie zatrzymuj się. Nigdy się nie zatrzymuj. Nigdy więcej... Schowaj się! – Upadłem na ziemię.

– Nie dam rady – powiedział. – Boję się.

– Nie, ty się nie boisz. Nie boisz się. Nie ma się czego bać. Schowaj się.

Kiwnął głową i zniknął.

Leżąc na ziemi, zacząłem szukać w ciemności sznura, namacałem go, ale wymknął mi się. Spróbowałem ponownie, ale był za wysoko.

W otworze zobaczyłem tatę. W jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej latarkę.

Przegrał.

Jak zwykle.

Światło oślepiło mnie. Zamknąłem oczy. – Tato, to ja, Miche...

Potem zrobiło się białe.

Otworzyłem oczy.

Bolała mnie noga. Nie ta co wcześniej. Druga. Ból był jak pnąca roślina. Jak kolczasty drut, który oplata się wokół wnętrzości. Siła, która porywa i unosi. Czerwień. Zerwana tama.

Nic nie może powstrzymać fali, kiedy pęka tama.

Zbliżał się jakiś hałas. Metaliczny hałas, który narastał i zagłuszał wszystko. Łomotało mi w uszach.

Byłem mokry. Pomacałem nogę. Cały byłem wysmarowany czymś gęstym i ciepłym.

Nie chcę umierać. Nie chcę.

Otworzyłem oczy.

Otaczał mnie wir słomy i świateł.

Był tam helikopter.

I był tato. Trzymał mnie w ramionach. Mówił do mnie, ale go nie słyszałem. Jego włosy lśniły, szarpane wiatrem.

Światła oślepiały mnie. Z ciemności wyskakiwały czarne postacie i psy. Zbliżały się w naszą stronę.

Panowie wzgórze.

Tato, nadchodzą. Uciekaj. Uciekaj.

Poprzez ten hałas serce waliło mi w piersi.

Zwymiotowałem.

Znowu otworzyłem oczy.

Tato płakał. Głaskał mnie. Czerwonymi rękami. Jakaś ciemna postać podeszła do nas. Tato spojrzał na nią.

Tato, musisz uciekać.

Wśród hałasu tato powiedział: – Nie poznałem go. Pomóżcie mi, błagam, to mój syn. Jest ranny. Nie pozna... Znowu zapadła ciemność.

I był tato.

I byłem ja.